

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 8 (892)

SIERPIEŃ 2020

ISSN 0867-4523

NORMAN DAVIES:
BOLSZEWICY NIE DOCENILI
PATRIOTYZMU W KRAJU, KTÓRY
DOPIERO CO ODZYSKAŁ
NIEPODLEGŁOŚĆ

TEMAT NUMERU

WŚCIEKŁY GALOP SIERPNIOWY

ZWYCIĘSTWO W BITWIE WARSZAWSKIEJ. CUD CZY MOŻE RACZEJ
EFEKT CHŁODNEJ STRATEGICZNEJ KALKULACJI?



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

Sprawdzone rozwiązania dla nowoczesnych sił zbrojnych



ŻOŁNIERZE,

w dniu Święta Wojska Polskiego dziękujemy Wam
za służbę i poświęcenie dla kraju.

Niech żołnierskie szczęście zawsze Wam towarzyszy!

Dziękujemy za dobrą współpracę dla wspólnego bezpieczeństwa.

Zarząd i Pracownicy Grupy PGZ



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



MIAŁ TO BYĆ TRIUMF CZERWONEJ
GWIAZDY. CELEM BYŁA WARSZA-
WA, A W EFEKCIE RÓWNIEŻ ZA-
CHODNIA EUROPA.

Dziś, jak podkreślają historycy, świat nadal niewiele wie o wojnie polsko-bolszewickiej. W 100-lecie jednej z najważniejszych bitew w dziejach świata pamiętamy i świętujemy zwycięski Cud nad Wisłą. Morale i stan materialny armii bolszewickiej dalekie były wówczas od ideału. Przede wszystkim jednak Sowieci, pewni zwycięstwa, nie spodziewali się polskiego przeciwnatarcia.

„Wydarzenia z 1920 roku miały znaczny wpływ na postępowanie Sowietów wobec Polski w czasie II wojny światowej. Stalin miał traumę po tej klęsce i pałał za nią nienawiścią do Polski”, podkreśla prof. Norman Davies w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej”. Z kolei inny historyk dr Endre László Varga opowiada o transportach węgierskiej broni i amunicji dla polskiego wojska.

W rozkazie z 4 sierpnia 1923 roku gen. broni Stanisław Szeptycki, ustanawiając Święto Żołnierza, podkreślił, że „w dniu tym wojsko i społeczeństwo czci chwałę oręża polskiego, której uosobieniem i wyrazem jest żołnierz. W rocznicę wiekopomnego rozgromienia nawały bolszewickiej pod Warszawą święci się pamięć poległych w walkach z wiekowym wrogiem o całość i niepodległość Polski”.

I tak właśnie świętujemy 15 sierpnia, okazując szacunek i wdzięczność żołnierzom Wojska Polskiego. Świętujemy przez edukowanie młodych pokoleń, udzielanie pomocy kombatantom i weteranom. Pamiętajmy o tych, którzy oddali swe życie za Ojczyznę. ■



Andrzej Duda

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

*Czcigodni Weterani!
Żołnierze Rzeczypospolitej!
Szanowni Państwo!*

Przed stu laty Polska odniosła wielkie zwycięstwo, stawiając czoła bolszewickiej nawaie. Ofiarność i męstwo uratowały nasz kraj, ale i całą Europę przed zalewem okrucieństwa niesionego przez komunistyczną dyktaturę. Sprawność w dowodzeniu, odwaga i wielka determinacja żołnierzy sprawiły, że plan ponownego zagarnięcia polskich ziem i wzniesienia pożogi w innych krajach nie powiódł się, a wojska sowieckie poniosły dotkliwe straty.

W rocznicę tamtych wydarzeń obchodzimy Święto Wojska Polskiego. To dzień, w którym oddajemy hołd polskim żołnierzom poległym w walce o wolność naszej Ojczyzny i z wdzięcznością myślimy o kombatantach i weteranach. To także wielkie święto wszystkich, którzy dziś stoją na straży bezpieczeństwa Polski, służąc w szeregach Sił Zbrojnych RP i pracując w Wojsku Polskim. Z tej okazji pragnę złożyć oficerom, podoficerom, szeregowym, a także pracownikom wojska najlepsze życzenia.

Są Państwo spadkobiercami wspaniałych tradycji, których chlubną kartą jest zwycięstwo w wojnie polsko-bolszewickiej, a Państwa profesjonalizm i zaangażowanie sprawiają, że siła militarna Polski stale rośnie, czyniąc nas sprawdzonym i wiarygodnym partnerem w światowym systemie bezpieczeństwa. Szczególne wyrazy

uznania kieruję do tych z Państwa, którzy pełnią misję poza granicami kraju, stając w obronie wolności i praw człowieka. Dziękuję również żołnierzom wojsk obrony terytorialnej za gotowość do obrony polskich granic i chęć bezinteresownego niesienia pomocy w myśl zasady „Zawsze gotowi, zawsze blisko”.

Polska armia pozostaje najważniejszym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Jako Zwierzchnik Sił Zbrojnych pragnę zapewnić, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby była ona nadal modernizowana, aby była realizowana nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego, a służba i praca w Wojsku Polskim były należycie doceniane i wynagradzane. Sprawy polskiej armii i bezpieczeństwa Polski zawsze będą moim priorytetem. Będę też wspierał wszelkie działania służące podniesieniu sprawności i gotowości Sił Zbrojnych RP.

Słowa wdzięczności kieruję do rodzin i bliskich żołnierzy. Dziękuję za wsparcie, jakiego udzielają Państwo na co dzień tym, którzy wybrali tę zaszczytną służbę. Pozdrawiam żołnierzy armii sojuszniczych, którzy przebywają w naszym kraju. Polska z wdzięcznością przyjmuje Waszą solidarność i gotowość do wypełniania zobowiązań. Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób związani są z armią, życzę radosnego świętowania. Jesteśmy dziś dumni z naszych żołnierzy tak, jak jesteśmy dumni z tradycji polskiego oręcza.

Niech żyje Wojsko Polskie!

Niech żyje Polska!



Mateusz Morawiecki

PREZES RADY MINISTRÓW

Drodzy Żołnierze i Pracownicy Wojska!

Sto lat temu na przedpolach Warszawy nasza armia zatrzymała niszczycielski pochód bolszewizmu i ocaliła cywilizację Zachodu. Na wezwanie do walki w obronie Ojczyzny stanęli nasi przodkowie bez względu na status społeczny i poglądy. W tym roku mamy szczególny obowiązek oddać im wszystkim cześć.

Jesteśmy dumni z Wojska Polskiego, z jego dziedzictwa, ale i współczesnego oblicza. Dziękuję za Waszą postawę – także w czasie pandemii koronawirusa. Dziękuję za Wasz profesjonalizm i trud codziennej służby na rzecz bezpieczeństwa Polaków. Z okazji Waszego święta życzę samych sukcesów. Niech pamięć o bohaterach Bitwy Warszawskiej będzie dla Was źródłem siły i inspiracji.

Życzenia z okazji Święta Wojska Polskiego

15 sierpnia 2020 roku



Mariusz Błaszczak

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

Żołnierze Wojska Polskiego, Szanowni Państwo!

Tegoroczne Święto Wojska Polskiego obchodzimy w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej – wielkiego triumfu Wojska Polskiego nad bolszewicką nawałą 1920 roku. Swoją postawą i poświęceniem polski żołnierz zmienił wówczas los Europy i obronił odzyskaną przez Polskę niepodległość. Odwaga, poświęcenie, wiara w zwycięstwo – to dziedzictwo tamtych pokoleń. Dziedzictwo, które

go kontynuatorem jest dzisiejsze – nowoczesnie wyposażone i należące do NATO – Wojsko Polskie.

Z okazji tego wyjątkowego święta życzę wszystkim – zarówno żołnierzom, jak i pracownikom wojska – satysfakcji ze służby Polsce, wytrwałości w dążeniu do celu i żołnierskiego szczęścia. Wasze dokonania inspirują nas wszystkich i są powodem do dumy.



Gen. Rajmund T. Andrzejczak

SZEF SZTABU GENERALNEGO WOJSKA POLSKIEGO

Panie i Panowie Oficerowie, Podoficerowie, Żołnierze i Pracownicy Wojska!

Polskie zwycięstwo w zbrojnym starciu 1920 roku – nazwane później Cudem nad Wisłą – wpłynęło na losy nie tylko naszej Ojczyzny, lecz także całej Europy i świata. Być może polscy żołnierze, pokonując bolszewików na przedpolach Warszawy, nie wiedzieli, że zdecydują o niepodległości Rzeczypospolitej, ale z pewnością ten cel przyświecał ich heroicznej walce. To ją wspominamy co roku 15 sierpnia podczas Święta Wojska Polskiego i to ona była inspiracją do działania dla kolejnych pokoleń.

W tym roku nam wszystkim przyszło zmierzyć się z niespodziewanym zagrożeniem, którego skutki społeczne i gospodarcze będą odczuwane jeszcze przez długi czas. Niezwykle cenię i podziwiam Wasze zaangażowanie w walkę z wirusem. To globalny test kompetencji dla nas wszystkich. Każdego dnia stawiacie na wysokości zadania, pomagając potrzebującym, ryzykując własne zdrowie i życie. Ale taka właśnie jest rola żołnierza.

W dniu Święta Wojska Polskiego dziękuję żołnierzom służącym we wszystkich rodzajach sił zbrojnych za profesjonalną, pełną trudów i poświęcenia służbę, a także rodzinom i bliskim, których wsparcie trudno przecenić. Dziękuję również tym, którzy pełnią obowiązki w kraju, jak i tym służącym poza jego granicami, zwłaszcza w polskich kontyngentach wojskowych.

Swoje myśli kieruję również do weteranów, którzy nie wahali się podejmować zadań z dala od domów. Bez wątpienia swoją postawą zasługują na ogromny szacunek, wsparcie i społeczną uwagę. Wiem, że honor i patriotyzm to dla Was nie tylko słowa, ale wartości, którymi kierujecie się każdego dnia Waszej służby dla dobra Ojczyzny. Jestem przekonany, że bez Waszego wysiłku tworzenie nowoczesnej armii dla nas i przyszłych pokoleń byłoby niemożliwe.

Życzę wszystkim Państwu satysfakcji ze służby w Siłach Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej i ciekawych wyzwań, które staną się źródłem siły i motywacji.



Gen. Jarosław Mika

DOWÓDCA GENERALNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Święto Wojska Polskiego i obchody 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej to wyjątkowe wydarzenia w tegorocznym kalendarzu historycznym, stanowiące okazję do przypomnienia heroicznych czynów polskich żołnierzy walczących o wolność i suwerenność Ojczyzny.

W tym szczególnym dniu przekazuję wszystkim żołnierzom, kombatanom, weteranom oraz pracownikom resortu obrony narodowej życzenia satysfakcji z dokonań służbowych oraz pomyślności w życiu zawodowym i osobistym.

Dzięki Waszemu zaangażowaniu, kompetencjom i doświadczeniu stale rozwijamy naszą armię, kontynuując bogate i chlubne tradycje, do których należy między innymi zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej 1920 roku.

Przekazując słowa podziękowania za profesjonalizm i codzienny trud, życzę Państwu sukcesów i zadowolenia z wypełniania powinności dla dobra Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.



Gen. broni Tomasz Piotrowski

DOWÓDCA OPERACYJNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

15 sierpnia to szczególna data w historii Wojska Polskiego, upamiętniająca narodową dumę i wdzięczność po zwycięstwie w Bitwie Warszawskiej, otwierającym drogę do wolnego państwa.

Z okazji Święta Wojska Polskiego serdeczne życzenia kieruję do wszystkich, którzy swoim do-

świadczeniem i zaangażowaniem, czynami i myślą wspierają polskich żołnierzy w wypełnianiu powinności wobec Ojczyzny.

Żołnierzom i pracownikom życzę wytrwałości, satysfakcji i dumy ze służby na rzecz bezpieczeństwa państwa i dobra Sił Zbrojnych RP.



Gen. dyw. Wiesław Kukuła

DOWÓDCA WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ

Tegoroczne Święto Wojska Polskiego przypada w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej. To w hołdzie ludziom, którzy odnieśli to wspaniałe zwycięstwo, tego dnia z dumą demonstrujemy swój potencjał oraz siłę więzi łączących nas ze społeczeństwem. Ten dzień planowaliśmy uświetnić zakończeniem certyfikacji bojowej pierwszych kompanii lekkiej piechoty. Zamiast egzaminu przed komisją na poligonie przyszło nam jednak zdać inny egzamin, i to całością formacji. Od początku marca tego roku niestrudzenie prowadzimy dzia-

łania przeciwkryzysowe w ramach operacji „Odporna wiosna” i „Trwała odporność”.

Jestem dumny z Waszego zaangażowania i poświęcenia. Życzę Wam, by służba wojskowa była dla Was źródłem wielkiej satysfakcji i spełnienia. By Waszym udziałem były wyłącznie zwycięstwa! Wyrazy pamięci kieruję do Kombatan-tów, naszych poprzedników z Armii Krajowej i powojennych organizacji niepodległościowych. Zapewniamy, że jesteśmy zawsze gotowi, zawsze blisko.

Życzenia z okazji Święta Wojska Polskiego

15 sierpnia 2020 roku



Gen. dyw. Robert Głęb

DOWÓDCA GARNIZONU WARSZAWA

Panie i Panowie Oficerowie, Podoficerowie, Żołnierze, Pracownicy Dowództwa GW i jednostek podległych!

Z okazji Święta Wojska Polskiego kieruję do Państwa najserdeczniejsze życzenia. Dziękuję za pełną oddania służbę i pracę, prezentowane na co dzień kompetencje, umiejętności rozwiązywania pojawiających się problemów, ale ponad wszystko – za rozwagę i odpowiedzialność.

W 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej życzę Państwu wielu powodów do satysfakcji ze służby i pracy. Niech Wam dopisze dobre zdrowie i towarzyszy wszelka pomyślność. Serdeczne żołnierskie podziękowania kieruję także do Waszych bliskich i przyjaciół.



Gen. bryg. Tomasz Połuch

KOMENDANT GŁÓWNY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

Święto Wojska Polskiego jest dla nas szczególnym wydarzeniem. 15 sierpnia spoglądamy wstecz, by oddać hołd wielu pokoleniom żołnierzy, którzy dzielnie walczyli o wolną i suwerenną Polskę. Przypominamy bohaterów wojny polsko-bolszewickiej, którzy odnosząc zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej, odmienili losy Europy i obronili to co najważniejsze – naszą niepodległość.

Z okazji 100. rocznicy Cudu nad Wisłą i Święta Wojska Polskiego życzę wszystkim żołnierzom i pracownikom resortu obrony, w tym Żandarmerii Wojskowej, by trudom codziennej służby zawsze towarzyszyła satysfakcja z dobrze wykonanych zadań, uznanie przełożonych i szacunek bliskich. Życzę służby pełnej wyzwań i sukcesów. Służby, po której zawsze bezpieczni i zdrowi powrócicie do swoich domów.



SŁUŻYMY
NIEPODLEGŁEJ



ŁUKASZ ZALESIŃSKI
16 Wściekły galop sierpniowy

Taktyczne rozegranie
Bitwy Warszawskiej

PIOTR KORCZYŃSKI
22 Wolność jak świętość

Rozmowa z Normanem
Daviesem

MACIEJ NOWAK-KREYER
26 Niezachwiana wiara w zwycięstwo

PIOTR KORCZYŃSKI
30 To był nasz wspólny wróg

Rozmowa z Endrem
László Vargą

KRZYSZTOF WILEWSKI
34 Zaklinacze ognia

Służba obserwatorów
ognia połączonego

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
40 Techniczne puzzle

BOGUSŁAW POLITOWSKI
43 Kod przywództwa

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
46 Nie bój się ognia

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
50 Erka nad Bałtykiem

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
53 Lata się pięknie!

Rozmowa z Robertem
Mieszańcem

MAGDALENA MIERNICKA
57 Razem, a nie obok siebie

TOMASZ ZDZIKOT
61 Krajobraz bezpieczeństwa sieci

MICHAŁ ZIELIŃSKI
62 Sześć minut w zawisie

PAULINA GLIŃSKA
68 Terytoria na angielskim

TADEUSZ WRÓBEL
70 Zrywanie więzi
Modernizacja ukraińskiego
lotnictwa

TOMASZ OTŁÓWSKI
75 Lekcja prosto z frontu

KRZYSZTOF WILEWSKI
78 Obrońcy wysp

TADEUSZ WRÓBEL
80 Baza na horyzoncie

RAFAŁ CIASTOŃ
82 Pływający parasol

MICHAŁ ZIELIŃSKI
86 Kurs na Zachód
Ukraina bliżej NATO

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
92 Wojskowa przeprowadzka

TOMASZ OTŁÓWSKI
95 Bijące źródło zagrożenia

ROBERT CZULDA
99 Walka na pięści

ROBERT SENDEK
102 Chiny punktują Ujgura

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
105 Ryzyko osłabienia
Rozmowa z Krzysztofem
Winklerem

RAFAŁ CIASTOŃ
106 Narzędzia politycznego szantażu





ROBERT SENDEK
**112 W majestacie
bezwprawia**

Proces ośmiu
polskich pilotów

MACIEJ NOWAK-KREYER
118 Niczym komandosi

PIOTR KORCZYŃSKI
**122 Tamta kula była
dla mnie**

Rozmowa ze Zbigniewem
Piaseckim

ROBERT SENDEK
**126 Charles
w Warszawie**

PIOTR KORCZYŃSKI
**128 Galicjoki na polskiej
wojnie**

JACEK SZUSTAKOWSKI
**130
Igrzyska
życia**

KRZYSZTOF KUBIAK
133 Tajna armia CIA



ANNA DĄBROWSKA
134 Biega się głową

Rozmowa z Damianem
Drąszkiewiczem

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
**139
Rajd
pamięci**

PIOTR KORCZYŃSKI
142 Cena odwagi

ANNA DĄBROWSKA
145 Bitwa na scenie

ANDRZEJ FAFARA
**146 Pacholek
i repatriant**



Zdjęcie na okładce:
Narodowe Archiwum
Cyfrowe

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 849 008, 261 849 007, faks: 261 849 459;
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 849 212; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 849 213;
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 849 147;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 849 262;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,
Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,
Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata
Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciasłoń, Robert Czulda,
Andrzej Fafara, Krzysztof Kubiak, Maciej Nowak-Kreyer,
Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski, Łukasz Zalesiński,
Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Małgorzata Mielcarz, Monika Siemaszko, tel.: 261 849 498;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 849 279

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 849 244;
Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Arkadiusz
Juszczak, Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska
(tłumacz), Marta Szulc, Małgorzata Szustakowska,
tel.: 261 849 496, 261 849 457; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 22.07.2020 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Punkt Poczty Włocławek
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl
tel. 885 870 509, kom. 502 012 187

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

 Narodowe Archiwum Cyfrowe.
250 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 849 494.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.

POWIĘKSZENIE



Sesja zdjęciowa z udziałem myśliwców F-16 z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego i MiG-29 z 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego zorganizowana dla upamiętnienia 80. rocznicy rozpoczęcia bitwy o Anglię i powołania pierwszych polskich dywizjonów w Wielkiej Brytanii.

FOT. PIOTR ŁYSAKOWSKI



PIŁOCI 7 ESKA- DRY DZIAŁAŃ SPECJALNYCH

ĆWICZYLI NAD BAŁTYKIEM
DESANTOWANIE Z MI-17 DO
WODY, NOCNE LĄDOWANIE
NA PLATFORMIE WIERTNI-
CZEJ I OSŁONĘ SNAJPERSKĄ
Z POKŁADU ŚMIGŁOWCA.



Kurs na logistykę

Powstaje nowa szkoła podoficerska.

Nowa placówka
będzie kształciła
rocznie około

800
słuchaczy.

Od października 2020 roku w Grudziądzu rozpocznie działalność Szkoła Podoficerska Logistyki. Dotychczas kandydaci na podoficerów logistyki byli kierowani do jednej ze szkół podoficerskich w Poznaniu, Dęblinie lub Ustce, a specjalistyczną część zajęć odbywali w Centrum Szkolenia Logistyki w Grudziądzu. Nowa placówka będzie kształciła rocznie około 800 słuchaczy. PZ, PG ■

SERIA GROTÓW

Żołnierze dostaną kolejne
nowoczesne karabinki.

Umowę na dostawę
modułowego systemu
broni strzeleckiej Grot ka-
libru 5,56 podpisali

gen. bryg. Dariusz Pluta,
szef Inspektoratu Uzbro-
jenia Ministerstwa Obro-
ny Narodowej, i Adam

Dwa awanse

W 4 Pułku Chemicznym w Brodnicy prezydent Andrzej Duda, na wniosek ministra Mariusza Błaszczaka, mianował na stopień generała broni gen. dyw. **Krzysztofa Króla**, zastępcę szefa SG WP. Wcześniej dowodził on m.in. Wielonarodowym Korpusem Północno-Wschodnim w Szczecinie. Służył też w Kwaterze Dowództwa Regionalnego NATO w Neapolu oraz w Kwaterze NATO Sił Połączonych Centrum w Heidelbergu. Prezydent poinformował również, że generał będzie kandydował na szefa

Sztabu Dowództwa Sił Połączonych w Brunssum.

Pierwszą generalską gwiazdkę otrzymał natomiast płk **Jarosław Stocki**, szef Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Oficer uczestniczył w przygotowaniu polskich pododdziałów chemicznych do dyżurów w Siłach Odpowiedzi NATO. Pełnił służbę m.in. w 4 Pułku Chemicznym, Centralnym Ośrodku Analizy Skażeń oraz w Dowództwie Wojsk Lądowych. PZ, PG

Lotnicze wsparcie

Porozumienie o współpracy wojsk obrony terytorialnej z Lotniczym Pogotowiem Ratunkowym podpisali dowódca WOT-u gen. dyw. Wiesław Kukuła i dyrektor LPR-u prof. Robert Gałązkowski. Teraz żołnierze w trakcie działań służbowych będą mogli priorytetowo wezwać śmigłowce pogotowia. Jeśli któryś z terytorialsów ulegnie poważnemu wypadkowi, szybko trafi pod opiekę wyspecjalizowanych medyków. Terytoriali i ratownicy mają także organizować wspólne szkolenia i ćwiczenia. PZ, MKS

Suliga, prezes Fabryki Broni „Łucznik”. Kontrakt, którego wartość przekracza 177 mln zł, dotyczy dostawy 18 305 sztuk karabinków. Mają one trafić do żołnierzy wszystkich rodzajów sił zbrojnych w ciągu najbliższych sześciu lat. Umowa przewiduje dostawę zmodyfikowanej wersji karabinka, czyli A2. W porównaniu do A1 została poprawiona ergonomia broni i żywotność jej elementów konstrukcyjnych.

FB ŁUCZNIK

Od 2017 roku polska armia kupiła ponad 50 tys. karabinków.

Karabinek Grot jest używany w armii od 2017 roku. Początkowo otrzymali go tylko terytoriali, a od 2019 korzystają z nich także żołnierze jednostek operacyjnych. Użytkownicy chwalą broń m.in. za prostą, wygod-

ną i intuicyjną obsługę. Od 2017 roku armia kupiła ponad 50 tys. karabinków, z czego w wyposażeniu jed-

nostek jest już niemal 37 tys. Pozostałe mają być dostarczone do 2022 roku. PZ, MKS



ARCH. 7 ESKADRY DZIAŁAŃ SPECJALNYCH

INNA MARKA

Terenowe fordys ranger XTL zastąpią wysłużone honkery.

Ministerstwo obrony podpisało aneks do zawartej w marcu 2020 roku z konsorcjum spółek Glomex MS Polska oraz Glomex MS umowy na dostawę 635 wozów osobowo-terenowych. Kontrakt wart 121 mln zł dotyczył dostawy samocho-

dów Nissan Navara model double cab. Japońskie terenówki miały zastąpić w jednostkach wojsk lądowych oraz wojskach obrony terytorialnej wysłużone honkery.

Zgodnie z aneksem do polskiej armii trafią nie nissany, lecz amerykańskie samochody Ford Ranger XTL. Zmiana marki pojazdów wynika z problemów z dostawą japońskich terenówek, których produkcję ograniczono z powodu pandemii.

„W Hiszpanii została zamknięta fabryka, która jako jedyna produkowała na rynek europejski zamówiony przez Wojsko Polskie model pojazdu”, wyjaśnia MON. Z, KW ■



Widoczne odznaczenie

Baretki Orderu Krzyża Wojskowego na mundurze polowym.

Zgodnie z nowym rozporządzeniem Ministra obrony narodowej kawalerowie Orderu Krzyża Wojskowego oraz Orderu Wojennego Virtuti Militari mogą nosić baretki tych odznaczeń na bluzach mundurów polowego i ćwiczebne- go oraz na kombinezonach ubiorów specjalnych. „Dzięki zmianie przepisów odznaczenie Orderu Krzyża Wojskowego będzie bardziej widoczne, a przez to bardziej rozpoznawalne”, uważa gen. Rajmund Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego WP i kawaler Orderu Krzyża Wojskowego. Otrzymał go za dowodzenie podczas IV i V zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Order jest nadawany żołnierzom, uczestnikom misji pokojowych i stabilizacyjnych, za wybitne czyny bojowe połączone z wyjątkową ofiarnością i odwagą w czasie działań bojowych na misji. Dotychczas przyznano go 173 żołnierzom. PZ, MS ■

ANDRZEJ KIŃSKI



GWIAZDA ŻYCIA

Resort obrony wprowadził Wojskową Odznakę Ratownika Pola Walki. Będą ją mogli otrzymać żołnierze, absolwenci kursu doskonalącego ratownika pola walki – Combat Lifesaver (CLS)

prowadzonego w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi. Program tego szkolenia obejmuje m.in. udzielanie taktycznej pomocy rannemu na polu walki, a także zgłoszenie ewakuacji. Do tej pory każdy żołnierz, który ukończył kurs CLS, otrzymywał certyfikat i uzyskiwał tytuł ratownika pola walki. Teraz dostanie także specjalną odznakę. PZ, PG ■

Szansa dla emerytów

Dowództwo Komponentu Wojsk Specjalnych rozpoczęło kampanię „Powrót do służby”, skierowaną przede wszystkim do byłych specjalistów, którzy od przynajmniej 12 miesięcy są na emeryturze. Kandydaci muszą być sprawni fizycznie, zmotywowani i dyspozycyjni. Żołnierze, którzy będą ubiegać się o miejsce

w zespole bojowym, nie mogą mieć więcej niż 37 lat, na stanowiska zabezpieczające mogą aplikować najwyżej czterdziestolatki, a pracę w sztabie dostaną ci, którzy nie przekroczyli pięćdziesiątki.

Specjaliści do wstąpienia w swoje szeregi zachęcają także byłych żołnierzy wojsk konwencjonalnych wybranych

specjalności. Chodzi przede wszystkim o ratowników medycznych i lekarzy, informatyków i łącznościowców, saperów, specjalistów zajmujących się obroną przed bronią masowego rażenia oraz ochroną informacji niejawnych. Kandydaci spoza wojsk specjalnych będą musieli przejść selekcję lub kwalifikację. PZ, MKS ■



W 1920 r. Armia Czerwona ruszyła na podbój Europy. **Na drodze stanęła Polska.** Starły się dwa światy: komunistyczny totalitaryzm i europejski ład.

W **Bitwie Warszawskiej** Polacy zwyciężyli i pokrzyżowali plany bolszewickiej Rosji. W sierpniu 1920 brytyjski minister wojny Winston Churchill powiedział:

Polska uratowała siebie własnym wysiłkiem i mam nadzieję, że uratuje Europę swoim przykładem.

1920

WOJNA ŚWIATÓW

WYSTAWA

12 SIERPNIA – 15 WRZEŚNIA 2020

PRZYSTANEK HISTORIA, CENTRUM EDUKACYJNE IPN

IM. JANUSZA KURTYKI, UL. MARSZAŁKOWSKA 21/25, WARSZAWA

WOJNASWIATOW1920.PL

IPN.GOV.PL

1920 +



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania
Niepodległości



**TEMAT
NUMERU**

/ WOJNA
POLSKO-BOLSZEWICKA



Gen. Józef
Haller był doskonałym
organizatorem. W podległych mu oddziałach potrafił stworzyć dobrą atmosferę, rozbudzić w żołnierzach zapał i bojowego ducha. Na zdjęciu: linia obrony na przedmieściach Warszawy

WŚCIEKŁY GALOP SIERPNIOWY

Uporządkować odwrót, odskoczyć od nieprzyjaciela i zreorganizować własne oddziały, po czym wstrzymać marsz Armii Czerwonej na przedpolach stolicy i wyprowadzić cios z południowego skrzydła – powodzenie tego planu graniczyło z cudem. Cud to jednak nie jest dobre określenie tego, co wydarzyło się w połowie sierpnia 1920 roku pod Warszawą.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI



W

1920 roku 14 sierpnia wypadł w sobotę. Warszawa daleka była jednak od nastroju weekendowej bez troski. Kilkadziesiąt godzin wcześniej Armia Czerwona rozpoczęła decydujący szturm na miasto. Bolszewicy właśnie zagarnęli Radzymin. Los stolicy wisiał na włosku. Tego dnia na łamach dziennika „Rzeczpospolita” ukazał się artykuł Stanisława Strońskiego „O cud Wisły”. Związany z endecją publicysta pisał: „I gdy w jutrzejszą niedzielę zbiorą się miliony ludności polskiej w kościołach i kościółkach naszych, ze wszystkich serc popłynie modlitwa: Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę, Wolność, zachowaj nam Panie”.

To wtedy padło po raz pierwszy sformułowanie „Cud nad Wisłą”. Wkrótce już na stałe miało wejść do politycznego dyskursu. Trochę przyczynił się do tego Kościół katolicki, przypominając, że odparcie bolszewików spod Warszawy zbiegło się ze świętem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Przede wszystkim jednak o cudzie mówili polityczni przeciwnicy Józefa Piłsudskiego. Chwytliwe hasło miało pomóc w zdeprecjonowaniu jego zasług.

Zatem cud czy może efekt chłodnej strategicznej kalkulacji? „A może i jedno, i drugie?”, uśmiecha się prof. Janusz Odziemkowski, historyk i znawca dziejów wojny polsko-bolszewickiej. „Owo sformułowanie można lubić lub nie. W polskiej tradycji osadziło się ono jednak już na tyle mocno, że wypada je chyba po prostu zaakceptować. Warto przy tym pamiętać o jednym – na wojnie czasami trzeba absolutnie postawić wszystko na jedną kartę. Kto nie jest gotowy na podjęcie takiego ryzyka, po prostu nie wygrywa”, podkreśla prof. Odziemkowski. Inny ekspert, prof. Wiesław Wysocki, dodaje: „Wojna przeciwko bolszewikom bardzo szybko obrosła legendą. Pojawiły się na przykład relacje rosyjskich jeńców, według których ukazała się Matka Boska i zabroniła strzelać. Na polu bitwy to jednak nie Pan Bóg wkłada mundur i walczy...”.

PO TRUPIE DO CELU

Latem 1920 roku sytuacja Rzeczypospolitej wydawała się beznadziejna. W czerwcu dowo-

dzona przez Siemiona Budionnego 1 Armia Konna przełamała front na Ukrainie. Polacy znaleźli się w odwrocie, a bolszewicy wkrótce podeszli aż pod Lwów. W początkach lipca z kolei Armia Czerwona ruszyła do kontruderzenia na Białorusi. „Nadszedł czas rozrachunku. Armia Czerwonego Sztandaru oraz armia drapieżnego Białego Orła stanęły naprzeciw siebie przed bojem na śmierć i życie. Przez trupa Białej Polski prowadzi droga ku ogólnosiwiatowej poźdździe. Na naszych bagnietach przyniesiemy szczęście i pokój masom pracującym. Na zachód!”, tak zagrzewał swoje oddziały do boju dowódca Frontu Zachodniego, Michaił Tuchaczewski.

Bolszewicy kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa, pozostawiając za sobą spaloną ziemię, pomordowanych jeńców i cywilów. Polski rząd próbował szukać ratunku na Zachodzie. Premier Władysław Grabski pojechał na konferencję do Spa, by rozmawiać ze swoim brytyjskim odpowiednikiem Davidem Lloydem George’em. Ten zgodził się na dostawy broni i pośrednictwo w rokowaniach z komunistami. W zamian jednak Warszawa musiała przyjąć trudne do zaakceptowania warunki, m.in. wycofać swoje wojska za linię Curzona (linia demarkacyjna, której nazwa pochodzi od nazwiska ówczesnego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych; jej przebieg pokrywał się z obecną wschodnią granicą Polski). Sprawa szybko jednak stała się nieaktualna. Propozycje Zachodu jednym gestem odrzucił bowiem Włodzimierz Lenin. „Chcę nam wydrzeć z rąk zwycięstwo za pomocą oszukańczych obietnic”, nie krył oburzenia w telegramie do Józefa Stalina. I trzeba przyznać, że pewność siebie, którą demonstrował, miała solidne podstawy. Piłsudski łudził się jeszcze wówczas, że Polacy zdołają wstrzymać marsz Armii Czerwonej na linii Bugu i wyprowadzić skuteczny kontratak, ale kiedy 1 sierpnia padł Brześć, plany te trzeba było schować do szuflady. Tego samego dnia w Białymstoku objawił się Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, na którego czele stanął Feliks Dzierżyński. Komuniści powoli sposobili się do przejścia władzy w podbitym kraju.



Prof. WIESŁAW WYSOCKI: „Gdyby Polakom nie udało się powstrzymać bolszewickiego marszu na przedpolach miasta, dowodzone przez Piłsudskiego natarcie trafiłoby w próżnię”.



Gen. Władysław Sikorski ze sztabem
5 Armii podczas Bitwy Warszawskiej

LATEM 1920 ROKU SYTUACJA RZECZY- POSPOLITEJ WYDA- WAŁA SIĘ BEZNA- DZIEJNA. W CZERW-

CU DOWODZONA
PRZEZ SIEMIONA
BUDIONNEGO
1 ARMIA KONNA
PRZEŁAMAŁA FRONT
NA UKRAINIE. POLACY
ZNALEŻLI SIĘ W OD-
WROCIE, A BOLSZEWI-
CY WKRÓTCE PODE-
SZLI AŻ POD LWÓW

Polacy musieli zagrać o wszystko. „Piłsudski nakazał polskim oddziałom odskoczyć od przeciwnika, cofnąć się za linię Wisły, przegrupować i przygotować do decydującego starcia. Dla wycieńczonych walką żołnierzy był to manewr niezwykle trudny, ale tylko on dawał nadzieję na ocalenie państwa”, podkreśla prof. Wysocki. W podobnym tonie wypowiada się prof. Odziemkowski. „Gdyby plan się nie powiódł, wojna byłaby przegrana. Po upadku Warszawy Piłsudski mógłby ją jeszcze trochę przeciągnąć, ale już na pewno nie rozstrzygnąłby jej na swoją korzyść”. W pierwszych dniach sierpnia na przedpolach polskiej stolicy masy wojska stanęły na przeciw siebie, by za chwilę rzucić się w wir zażartej bitwy o każdą piędź ziemi.

WSZYSCY DO BRONI!

Polacy w przededniu decydującego starcia robili wszystko, by zwiększyć liczebność swoich wojsk. 8 lipca minister spraw wojskowych gen. Kazimierz Sosnkowski wydał rozkaz tworzenia Armii Ochotniczej. Misja została powierzona

gen. Józefowi Hallerowi. Wybór był nieprzypadkowy. „W początkach 1920 roku Haller odpowiadał za przejmowanie od Niemców Pomorza. Potem znalazł się w odstawce. Za powierzeniem mu nowej funkcji mocno optowali jednak Francuzi”, tłumaczy dr Rafał Sierchuła, historyk z poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, współautor biografii generała. Najbliżsi sojusznicy Polski pamiętali go wówczas jako dowódcę sformowanej nad Sekwaną Błękitnej Armii. „Haller był doskonałym organizatorem. W podlegających sobie oddziałach potrafił stworzyć dobrą atmosferę, rozbudzić

w swoich żołnierzach zapał i bojowego ducha”, podkreśla prof. Wysocki. W ciągu kilku tygodni do nowo formowanych oddziałów zgłosiło się blisko 80 tys. ochotników. I choć brakowało czasu na szkolenie, część z nich zdołała wypełnić luki w poturbowanej przez bolszewików regularnej armii. Inni zostali odesłani na tyły i do oddziałów pomocniczych.

Do boju o Warszawę polskie dowództwo rzuciło ponad 180 tys. żołnierzy. „Mieliśmy na przykład trochę czołgów



JÓZEF PIŁSUDSKI DOWODZIŁ SWOIMI WOJSKAMI NA LINII FRONTU, A MICHAŁ TUCHACZEWSKI MIAŁ SZTAB SETKI KILOMETRÓW DALEJ – W MIŃSKU



Prof. JANUSZ ODZIEMKOWSKI:
„Na wojnie czasami trzeba absolutnie postawić wszystko na jedną kartę. Kto nie jest gotowy na podjęcie takiego ryzyka, po prostu nie wygrywa”.

i samolotów. Zwłaszcza obecność tych drugich była na froncie zauważalna. Tak przynajmniej wynika z rosyjskich pamiętników. Faktycznie jednak lotnictwo czy formacje pancerne nie odegrały w starciu znaczącej roli. Sprzętu było po prostu zbyt mało”, zaznacza prof. Odziemkowski. Siły bolszewickie były zbliżone.

ZDERZENIE FRONTÓW

Polskie wojska zostały podzielone na trzy części. Frontem Północnym dowodził gen. Józef Haller, któremu podlegały armie generałów Władysława Sikorskiego, Franciszka Latinika i Bolesława Roi. Za Front Środkowy odpowiadał gen. Edward Rydz-Śmigły. Do dyspozycji miał armie gen. Leonarda Skierskiego i gen. Zygmunta Zielińskiego. Wreszcie Frontem Południowym kierował gen. Wacław Iwaszkiewicz-Rudoszański, pod którego komendę zostały oddelegowane armie gen. Władysława Jędrzejewskiego i Armia Ukraińskiej Republiki Ludowej. Ta część wojsk ostatecznie w bitwie udziału nie wzięła. Dodatkowo w rejonie rzeki Wieprz, na południe od Warszawy, zostały utworzone dwie grupy, które miały wyprowadzić kontruderzenie. Nimi z kolei dowodził osobiście marszałek Piłsudski.

Ogólny plan bitwy został dopracowany w nocy z 5 na 6 sierpnia. W skrócie zakładał on, że siły zgromadzone na przedpolach Warszawy wstrzymają rosyjskie uderzenie, oddziały znad Wieprza zaś uderzą w najsłabsze południowe skrzydło nacierającej Armii Czerwonej. W prace nad koncepcją zaangażowani byli przede wszystkim niedawno mianowany szef Sztabu Generalnego gen. Tadeusz Rozwadowski oraz sam Piłsudski. 6 sierpnia generał wydał rozkaz rozpoczęcia operacji, ale dwa dni później go zmodyfikował.

W myśl rozkazu specjalnego nr 10 000 operującego na północy armia gen. Sikorskiego otrzymała dodatkowe zadania. Miała ona nie tylko się bronić, lecz także uderzyć w bolszewików nad Wkrą. Tymczasem 12 sierpnia dymisję ze stanowiska naczelnego wodza nieoczekiwanie złożył Piłsudski.

On sam argumentował, że usuwając się w cień, zagwarantuje Polsce pomoc Zachodu. Jego przeciwnicy rozgłaszali jednak potem, że był to efekt załamania nerwowego. Tak czy inaczej – dymisja nie została przez premiera przyjęta, a sam Piłsudski pojawił się nad Wieprzem, by realizować wytyczony wcześniej plan. Z korespondencji wynika też, że nadal dowodził całą operacją.

Armia Czerwona z kolei została podzielona na dwa fronty. Południowo-Zachodni, dowodzony przez Aleksandra Jegorowa z Józefem Stalinem w roli komisarza politycznego, walczył w okolicach Lwowa. W jego skład wchodziła m.in. 1 Armia Konna. Na Warszawę sunęli żołnierze Frontu Zachodniego pod komendą Michała Tuchaczewskiego i komisarza politycznego Iwara Smilgi, zgrupowani w czterech armiach, 3 Korpusie Kawalerii Gaj-Chana oraz Grupie Mozyrskiej Tichona Chwiesina. Tuchaczewski zamierzał część oddziałów rzucić bezpośrednio na Warszawę, a część skierować na północ z zadaniem przeprawy przez Wisłę, obejścia miasta i zaatakowania go od zachodu. „W ten sposób chciał powtórzyć manewr, który podczas powstania listopadowego wykonał carski feldmarszałek Iwan Paskiewicz”, tłumaczy prof. Wysocki. W myśl założeń dowództwa Armii Czerwonej Front Zachodni miał zostać wzmocniony przez część wojsk pozostających pod rozkazami Jegorowa. Faktycznie nigdy do tego nie doszło.

OBUDZIĆ DUCHA WALKI

Natarcie rozpoczęło się 13 sierpnia. Wczesnym rankiem bolszewickie oddziały wchodzące w skład 3 i 16 Armii zaatakowały Radzymin. Miasto upadło, a broniąca go 11 Dywizja Piechoty znalazła się w rozsypce. „Haller się przeraził. Nie uważał utraty Radzmina za lokalne niepowodzenie. Nie czekając na potwierdzenie, uznał, że ciężar sowieckiego uderzenia zagraża Warszawie. Razem z Rozwadowskim zaczął słać na wszystkie strony telegramy o pomoc”, pisze prof. Norman Davies w książce „Orzeł biały. Czerwona gwiaz-

da”. Ostatecznie po kilkudniowych ciężkich walkach Armie Czerwona udało się odeprzeć. W zmaganiach o Radzymin wzięły udział m.in. polskie czołgi. Morderczy bój toczył się też pod Ossowem. I tam również górą okazali się Polacy.

Tymczasem początkowe sukcesy bolszewików na przedmościu warszawskim skłoniły polskie dowództwo do korekty planów. Wcześniej niż zakładano, do działań zaczepnych trzeba było skierować 5 Armie gen. Sikorskiego. Miała ona uderzyć na prawe skrzydło wojsk Tuchaczewskiego. Sikorski nie miał łatwego zadania. „Piąta armia, jako twór ostatnich dni, nie posiadała tradycji bojowej [...]. W tej chorej gromadzie ludzkiej trzeba było wskrzesić zamierającą duszę, trzeba ją było uleczyć i uczynić z powrotem zdolną do czynu i walki. Trzeba było obudzić wśród żołnierzy poczucie pewności i wiarę w zwycięskie zakończenie rozpoczynającej się bitwy, pomimo liczebnej przewagi przeciwnika”, wspominał po latach generał.

5 Armia przekroczyła Wkrę i rzuciła się na bolszewików. W Ciechanowie polscy ułani przejęli radiostację rosyjskiej 4 Armii, na kilkadziesiąt godzin pozbawiając ją łączności z dowództwem frontu. Efekt? Tuchaczewski nie był w stanie dotrzeć do niej z rozkazem, by uderzyła na skrzydło oddziałów Sikorskiego. 4 Armia kontynuowała marsz w kierunku Wisły, a jej odwrót okazał się spóźniony. 5 Armia zdołała też zdobyć Nasielsk.

Jednocześnie 16 sierpnia o świcie Piłsudski rozpoczął kontruderzenie znad Wieprza, rozbijając Grupę Mozyrską Chwiesina i południowe skrzydło 16 Armii Nikołaja Sołłohuba. Polacy wyszli na tyły nieprzyjaciela. Losy bitwy zostały praktycznie rozstrzygnięte, tym bardziej że bolszewikom nie udało się obejść Warszawy i zaatakować jej od zachodu. Po dramatycznych bojach korpus Gaj-Chana został wyparty spod Płocka. Armia Czerwona rzuciła się do panicznej ucieczki, a polskie grupy pościgowe deptały im po piętach. „Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop w takt wściekłego galopa nakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczonych figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerażały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary”, wspominał Józef Piłsudski.

SERIA BŁĘDÓW

Wojna trwała jeszcze przez kilka miesięcy, ale od połowy sierpnia to Polacy dyktowali w niej warunki. „W Bitwie Warszawskiej trudno wskazać jeden przełomowy moment”, ocenia prof. Wysocki. „Oczywiście ogromne znaczenie miało kontruderzenie znad Wieprza. Trzeba jednak pamiętać, że gdyby Polakom nie udało się powstrzymać bolszewickiego marszu na przedpolach miasta, dowodzone przez Piłsudskiego natarcie trafiłoby w próżnię”, dodaje. Historyk podkreśla też rolę armii Sikorskiego, na co tuż po bitwie zwracał uwagę sam Tuchaczewski, a także trudne do przecenienia zasługi polskiego wywiadu. „Złamanie rosyjskich szyfrów sprawiło, że Pola-

cy poznali plan ataku na Warszawę. Z drugiej strony również mieliśmy sporo szczęścia. 13 sierpnia pod Brześciem przy zabitym mjr. Wacławie Drohojowskim bolszewicy znaleźli rozkaz bojowy z mapą. Dowódcy Armii Czerwonej nie uwierzyli jednak, że polski plan rozstrzygnięcia bitwy przedstawia się właśnie w ten sposób”, przypomina prof. Wysocki.

Nie był to jedyny błąd komunistów. „Przed wszystkim Armia Czerwona zbyt rozproszyła swoje siły. Tuchaczewski nie otrzymał wsparcia od Jegorowa. W korespondencji Stalina z Leninem przewija się wątek posłania bolszewickich oddziałów spod Lwowa na południe: na Węgry, Czechosłowację i Austrię. Musiał uznać, że Polska jest już właściwie podbita”, zaznacza prof. Odziemkowski. Na tym jednak nie koniec. „Tuchaczewski zlekceważył zagrożenie, które mogło przyjść od południa. To skrzydło jego frontu było wyjątkowo słabe. I wreszcie rzecz kolejna: Piłsudski dowodził swoimi wojskami na linii frontu, on sam miał natomiast sztab setki kilometrów dalej – w Mińsku. To znacząco utrudniało łączność z wojskami. Zanim płynące od żołnierzy informacje zostały odczytane, przeanalizowane, a rozkazy zaszyfrowane i posłane w przeciwną stronę, upływało sporo czasu. A przecież sytuacja pod Warszawą była bardzo dynamiczna”, podkreśla prof. Odziemkowski.

ZWYCIĘSTWO POLSKICH GENERALÓW

Bitwa Warszawska nie tylko ocaliła młodą polską państwowość, ale też zahamowała marsz bolszewików na zachód Europy. „Polska wojna była najważniejszym punktem zwrotnym nie tylko w polityce sowieckiej Rosji, ale także w polityce światowej. Wszystko tam, w Europie było do wzięcia, lecz Piłsudski i jego Polacy spowodowali gigantyczną, niesłychaną klęskę sprawy światowej rewolucji”, przyznawał Lenin.

Edgar Vincent D'Abernon, brytyjski ambasador w Berlinie oraz członek międzynarodowej misji dyplomatycznej, która latem 1920 roku została wysłana do Polski, wręcz zaliczył Bitwę Warszawską do najważniejszych starć w dziejach świata. „Gdyby bitwa pod Warszawą zakończyła się zwycięstwem bolszewików, nastąpiłby punkt zwrotny w dziejach Europy. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że wraz z upadkiem Warszawy, środkowa Europa stałaby się otworem dla propagandy komunistycznej i sowieckiej inwazji”, stwierdził. Tak się jednak nie stało. Dlaczego?

Francuski gen. Maxime Weygand, który podczas wojny doradzał polskiemu sztabowi, nie miał wątpliwości: „To zwycięstwo, które jest powodem wielkiego święta w Warszawie, jest zwycięstwem polskim. Operacje wojskowe zostały wykonane przez generałów polskich, podług polskiego planu operacyjnego. To bohaterski naród polski sam siebie uratował”.

Korzystałem z książek Normana Daviesa, „Orzeł biały. Czerwona gwiazda”, Kraków 2006, Andrzeja Nowaka, „Ojczyzna Ocalona.

Wojna sowiecko-polska 1919-1920”, Kraków 2012, Janusza Odziemkowskiego, „Leksykon wojny polsko-rosyjskiej 1919-1920”, Warszawa 2004



PIŁSUDSKI UWAŻAŁ, ŻE
WSZYSTKIE SŁUŻĄCE
W WOJSKU POLSKIM
NARODOWOŚCI MAJĄ
BYĆ TRAKTOWANE JED-
NAKOWO, NIEZALEŻNIE
OD WYZNANIA

Wolność jak świętość

*Z Normanem Daviesem o ryzykownym zagranii
Józefa Piłsudskiego i wyciąganiu wniosków ze zwycięstwa
w 1920 roku rozmawia Piotr Korczyński.*

Cud wojny polsko-bolszewickiej. Takiego określenia używa pan w książce „Orzeł biały, czerwona gwiazda”, żeby opisać zagranie taktyczne Józefa Piłsudskiego. Jak pan podkreśla, w sierpniu 1920 roku najistotniejsze było to, że podjął on ogromne ryzyko przegrupowania całego swego wojska w jednym tygodniu. Na czym polegał ten cud?

Analizując Bitwę Warszawską, nie zawsze bierze się pod uwagę to, że Piłsudski nie znał do końca planów bolszewickich. Polscy historycy za pewnik przyjęli tezę, że Michaił Tuchaczewski chciał zdobyć Warszawę. Ja jestem przekonany, że miał inny cel. Mianowicie jego priorytetem był marsz do granicy Niemiec, by tam rozpalic płomień rewolucji. Na polską stolicę skierował tylko dwie armie, a trzy rzucił na północ od niej, w kierunku Berlina. To, co zrobił Piłsudski, wiązało się z wielkim ryzykiem, ale zarazem było genialnym posunięciem. Postawił wszystko na jedną kartę, czyli na odcięcie pod Warszawą i na północ od niej sowieckich kolumn od ich zaplecza i linii komunikacyjnych z Rosją. Udało mu się, ale przez cały tydzień żył w strasznej niepewności, zanim okazało się, że ofensywa znad Wierprza osiągnęła zamierzony cel. Przegrupowanie wojska – w sytuacji gdy nieprzyjaciół był górą – do jednej operacji, która miała przesądzić o wyniku całej batalii, było majstersztykiem rzadko spotykanym w historii. Jeśli miałbym wskazać drugą po Marszałku postać, która wtedy przyczyniła się do zwycięstwa, byłby to gen. Władysław Sikorski, wówczas dowódca 5 Armii. To on za-

trzymał atak Armii Czerwonej na północ od Warszawy, nad Wkrą.

Czy zgodzi się pan ze zdaniem, że wojna polsko-bolszewicka była pierwszym konfliktem, w którym na taką skalę wzięła udział polska wieś, a na froncie zmagaly się ze sobą w przeważającej masie dwie chłopskie armie? Czy chłopów do Wojska Polskiego przyciągnęła jedynie obietnica reformy rolnej?

Reforma rolna to istotny element decydujący o postawie polskich chłopów, ale na pewno nie był on jedyny i podstawowy. Odwołam się tutaj do doświadczeń rodzinnych. Mój teść, Marian Zieliński, wywodził się z chłopskiej rodziny mieszkającej pod Tarnowem. Jego ojciec w czasach c.k. monarchii był dyrektorem wiejskiej szkoły i zamiast pensji otrzymał od władz austriackich przydział ziemi. Mój teść jako młody chłopak pracował w tym gospodarstwie i równocześnie studiował. W 1920 roku miał 16 lat i był uczniem gimnazjum w Tarnowie. Proszę sobie wyobrazić, że cała jego klasa pieszo poszła do Warszawy, by na ochotnika wstąpić do wojska i walczyć w obronie kraju. W punkcie rekrutacyjnym teść, podobnie jak jego koledzy, skłamał, że ma 18 lat, i został przyjęty. O wojsku nie miał bladego pojęcia i właściwie bez przeszkolenia poszedł od razu na front. Jego podstawowym atutem był patriotyzm.

Bolszewicy byli przekonani, że jak wkroczą do Polski, to nie będzie prawie żadnych walk, że cały proletariatus polski przejdzie od razu na ich stronę. Stało się dokładnie odwrotnie. Rekrutów do

Armii Czerwonej nie było prawie wcale, za to w szeregi Wojska Polskiego wstępowało latem 1920 roku powszechnie. I to nie byli tylko chłopci czy robotnicy, ale i Żydzi. Bolszewicy szczególnie liczyli na to, że zdołają przeciągnąć tę społeczność na swoją stronę i srodze się zawiedli. Nie docenili patriotyzmu w kraju, który dopiero co odzyskał niepodległość.

Dla chłopów niebagatelną rolę odgrywał fakt, że premierem był ich człowiek, Wincenty Witos.

Niewątpliwie. Podkreślano wówczas na każdym kroku, że premierem Polski jest chłop bez krawata. Co ciekawe, w lipcu 1920 roku, a więc w krytycznym miesiącu poprzedzającym Bitwę Warszawską, Witos opuścił swych ministrów i pojechał na żniwa do swych Wierchosławic! Nawet wojna nie mogła zmienić jego chłopskich priorytetów.

W wojnie polsko-bolszewickiej, wybitnie manewrowej, na większą skalę wykorzystywano ofensywnie lotnictwo i broń pancerną. Dlaczego marszałek Edward Rydz-Śmigły i inni dowódcy zapomnieli o tych doświadczeniach we wrześniu 1939 roku?

Nie powiedziałbym, że zapomnieli. Wspominał już gen. Sikorski w 1934 roku książkę „Przyszła wojna”, w której przewidywał, jakie znaczenie w kolejnym konflikcie światowym będą miały broń pancerna i lotnictwo. W Polsce problemem nie był więc brak świadomości, lecz ograniczenia gospodarcze. Zarówno Niemcy, jak i Związek Sowiecki mieli pod tym względem o wiele większe możliwości. Tutaj też zadziałała reguła wyciągania wniosków z klęski. Niemcy po I wojnie światowej nie załamali się, lecz zaczęli przygotowywać się do kolejnego konfliktu tak, by uniknąć błędów z poprzedniego. To samo można powiedzieć o Sowietach. Ta strona zaś, która wojnę wygrywa, ma poczucie sukcesu. Jest mniej skłonna do zmian, skoro jej metody okazały się skuteczne. Tak było w wypadku Francji i Wielkiej Brytanii po 1918 roku.

Choć tutaj można wskazać jeden wyjątek – gen. Charles’a de Gaulle’a, który w 1920 roku walczył w szeregach polskiego wojska.

Tak, de Gaulle, podobnie jak Sikorski, przewidywał, jak będzie wyglądać przyszła wojna. Tyle

PRZEGRUPOWANIE WOJSKA – W SYTUACJI GDY NIEPRZYJACIEL BYŁ GÓRĄ – DO JEDNEJ OPE- RACJI, KTÓRA MIAŁA PRZESĄDZIĆ O WYNIKU CAŁEJ BATALII, BYŁO MAJSTERSZTYKIEM RZADKO SPOTYKANYM W HISTORII

tylko, że francuski sztab generalny go nie słuchał. Dopiero w 1940 roku okazało się, jak wiele miał racji. Dywizja pancerna, którą zorganizował i dowodził według swoich teorii, okazała się jedyną francuską formacją, która potrafiła skutecznie oprzeć się Niemcom.

Trudno nie zapytać w tym miejscu o marszałka Maxime’a Weyganda, który na Zachodzie miał wręcz opinię architekta polskiego zwycięstwa z 1920 roku.

Zupełnie niesłusznie. Weygand w 1920 roku nie odegrał prawie żadnej roli. Piłsudski prosił Francuzów o żołnierzy, a oni przystali mu jednego marszałka. Na przywitanie Weygand usłyszał od polskiego Naczelnego Wodza pytanie: „Gdzie są wasze dywizje?”. Piłsudski później wykluczył Weyganda z porad swego sztabu. Jego rola w tej wojnie była więc marginalna. Oczywiście, gdy wrócił do Francji, obwołano go bohaterem i zwycięzcą tej wojny. Trzeba jednak przyznać, że marszałek osobiście dystansował się od tych opinii i nie przypisywał sobie cudzych zasług. Z kolei ówczesny rząd francuski na potrzeby bieżącej polityki stworzył mit, że Weygand wygrał wojnę z bolszewikami w Polsce.

Mit, który także w Polsce został podchwycony przez niektórych przeciwników marszałka Piłsudskiego...

Wydarzenia z 1920 roku miały znaczny wpływ na postępowanie Sowietów wobec Polski w czasie II wojny światowej.

No cóż, Narodowa Demokracja z Romanem Dmowskim na czele chwytiała się każdego sposobu, by zdyskredytować Marszałka. Wszak określenie „Cud nad Wisłą” miało początkowo pejoratywny wydźwięk, ukuty właśnie przez narodowców. Jak mówili, zdarzył się prawdziwy cud, że armia polska dowodzona przez „wojskowego dyletanta” zwyciężyła w tym starciu. Tutaj cały czas miały znaczenie różnice ideowe między obozami Piłsudskiego i Dmowskiego, które po wojnie 1920 roku wcale nie zniknęły. Marszałek był zwolennikiem państwa wielonarodowego, na modłę Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Dmowskiemu marzyło się państwo etnicznie homogeniczne.

Co warto podkreślić, Piłsudski, podobnie zresztą jak później gen. Władysław Anders, uważał że wszystkie służące w Wojsku Polskim narodowości mają być traktowane jednakowo, niezależnie od wyznania: Polacy, Białorusini, Żydzi czy Ukraińcy mieli mieć zapewnioną taką samą drogę awansu. Wojsko miało więc spełniać rolę integracyjną i państwowotwórczą. To nie mogło podobać się Dmowskiemu. Stąd też brały się różne interpretacje wojny polsko-bolszewickiej.

Spotkałem się z opinią, że może lepiej by było, gdyby Armia Czerwona nie została zatrzymana u bram Warszawy w 1920 roku. Jeśli nawet napoiłaby swe konie w Sekwanie, to i tak Zachód poradziłby sobie z nią i ucywilizowałby sowiecki komunizm. Być może też dzięki temu w Niemczech nigdy nie doszedłby do władzy Adolf Hitler. Co pan myśli o takiej hipotezie?

Na Zachodzie nadal niewiele się wie o tej wojnie. Europa Zachodnia w ogóle nie jest czuła na wydarzenia rozgrywające się za jej strefą. Myślę, że szanse, aby Tuchaczewski zdobył Berlin, nie mówiąc już o Paryżu, były prawie zerowe. Tak jak nie był w stanie pokonać Polaków, tak też nie zwyciężyłby Niemców. Oczywiście w 1920 roku istniały w Niemczech siły wypatrujące przybycia Armii Czerwonej, ale to była mniejszość, z którą niemiecka prawica poradziła sobie bez większych problemów.

Niemcy jednak bardzo liczyli na polską klęskę, by rozstrzygnąć na swoją korzyść chociażby konflikt o Śląsk.

To prawda. Niemcy po wielkiej wojnie chwytały się każdej szansy, by odmienić swój niekorzystny los i klęska Polski byłaby im na rękę.

Dość krytycznie wyraził się pan w swojej książce o postawie ówczesnego rządu brytyjskiego wobec walczącej z bolszewikami Polski. Delikatnie mówiąc, zareagował on dość chłodno. Z czego to wynikało?

Wielka Brytania była wtedy największym imperium światowym. Nie miała żadnego zrozumienia dla dążeń wolnościowych mniejszych narodów. Mówiąc inaczej, w swej imperialnej solidarności była po stronie Rosji. W Londynie liczone na to, że wcześniej czy później bolszewizm upadnie, a Rosja wróci do swej mocarstwowej pozycji i będzie po staremu dominować w Europie Wschodniej, a co się z tym wiąże – będzie można robić z nią interesy. Należy też pamiętać, że rząd brytyjski sam wówczas miał u siebie problem z małym, niepokornym, katolickim narodem. Chodzi oczywiście o Irlandczyków. Polacy byli postrzegani w Londynie właśnie tak jak Irlandczycy – niepokorni wicherzyciele, którzy tylko czekają na okazję, by wywołać powstanie. To co dla Polaków i Irlandczyków było świętością, czyli niepodległość, dla imperialistów było plagą – zarówno tych brytyjskich, jak i rosyjskich. Dla Wielkiej Brytanii upadek Imperium Rosyjskiego był wstrząsem i klęską. Polska była przez nią tolerowana tylko dlatego, że w Rosji władzę przejęli bolszewicy, których rządy uważano za przejściowe.

Jak pan ocenia efekty zwycięstwa Polaków w 1920 roku?

Z pewnością zahamowało ono ekspansję komunizmu w Europie na 20 lat. Niestety – nie więcej. Ale to był niewątpliwie sukces. Stalin miał traumę po tej klęsce i pałał za nią nienawiścią do Polski. Wziął odwet w 1940 roku, dając rozkaz wymordowania polskich oficerów w Katyniu. Tutaj znowu mogę odwołać się do doświadczeń rodzinnych. Dziadek mojej żony, pułkownik Wojska Polskiego, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości współtworzył Żandarmerię Wojskową, a w czasie wojny polsko-bolszewickiej kierował obozami dla jeńców sowieckich. W Związku Sowieckim był więc wrogiem numer jeden. W 1940 roku już nie żył, ale NKWD [Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR] poszukiwało jego dzieci, m.in. mojej teściowej. Przed aresztowaniem uratował ją rosyjski oficer, który nie wpuścił enkawudzistów do jej domu. Reasumując, wydarzenia z 1920 roku miały znaczny wpływ na postępowanie Sowietów wobec Polski w czasie II wojny światowej.

WIZYTÓWKA

PROF. NORMAN DAVIES

Jest brytyjsko-polskim historykiem angielsko-walijskiego pochodzenia, emerytem profesorem Uniwersytetu Londyńskiego, członkiem Polskiej Akademii Umiejętności i Akademii Brytyjskiej. Autorem prac dotyczących historii Europy, Polski i Wysp Brytyjskich, kawalerem Orderu Orła Białego. Na temat historii Polski opublikował m.in. „Boże igrzysko. Historia Polski”, „Orzeł biały, czerwona gwiazda”, „Serce Europy”, „Mikrokosmos”, „Powstanie '44” i „Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty”.



Niezachwiana wiara w zwycięstwo

MACIEJ NOWAK-KREYER

Wojna z bolszewikami stała się obiektem zainteresowania przeciętnego obywatela dopiero latem 1920 roku, gdy front już zbliżał się do Warszawy.

Dla nas, którzy po apokalipsie II wojny światowej konflikt zbrojny postrzegają jako zbiorowe cierpienie narodu, zaskakujący może się wydawać dystans Polaków do wydarzeń frontowych z 1920 roku – jakby wojna z bolszewikami nie zaprzętała wtedy uwagi przeciętnego Kowalskiego. Po pierwsze, na ziemiach polskich od 1914 roku nieprzerwanie toczyły się walki, zatem stan wojny stał się dla Polaków normą. Po drugie, ówczesne środki rażenia sprawiały,

że w konflikt zazwyczaj nie angażowano bezpośrednio głębokich tyłów, a wiadomości z frontu docierały do społeczeństwa głównie za pośrednictwem codziennej prasy, czyli były opóźnione i odpowiednio przefiltrowane. Trudno się więc dziwić, że wojna z bolszewikami stała się obiektem zainteresowania przeciętnego obywatela dopiero latem 1920 roku, kiedy front już zbliżał się do Warszawy. Wcześniej właściwie tylko raz wywołała wielkie emocje – gdy polskie wojsko zajęło Kijów,

Grupa żołnierzy, cywilów oraz ksiądz nad zwłokami żołnierzy 1 Pułku Syberyjskiej Brygady Piechoty zamordowanych przez bolszewików pod Chorzalami. 23 sierpnia 1920 roku



ARCHIWUM AKT NOWYCH

co uznano za epokowe wydarzenie, zwycięstwo nad znenawidzonymi od wieków Moskalami. Naczelnik państwa Józef Piłsudski fetowany był wówczas jak wódz równy takim legendarnym postaciom, jak Stanisław Żółkiewski czy Jan Karol Chodkiewicz. Wdzięczni warszawiacy wyprzęgli konie z jego powozu i sami go ciągnęli wśród wiwatów.

RAZEM NA WROGA

Gdy koleje wojny się odwróciły i bolszewicy przeszli do kontrofensywy, nie poddano się panice. Dotychczasowa obojętność zmieniła się w spokój i determinację. Jedynymi uchwytnymi oznakami zaniepokojenia szerszych mas była wzmożona obecność w kościołach i na procesjach, gdzie modlono się o zwycięstwo. Kiedy na początku sierpnia 1920 roku z Warszawy wyraźnie widać było łuny pożarów, niektórych obserwato-

rów szokował widok spacerowiczów i rozbawionego towarzystwa w kawiarniach. Maria Dąbrowska, opisująca te wydarzenia, twierdziła, że nie wynikało to z niefrasobliwości, lecz stanowiło wyraz niezachwianej wiary w zwycięstwo.

Równocześnie organizowano liczne zbiórki funduszy dla wojska oraz zgłaszano się do służby w jego szeregach w ramach Armii Ochotniczej, mającej wzmocnić wyczerpane długotrwałym odwrotem polskie siły. Do służby z bronią zgłaszały się też kobiety – działały w prężnie rozwijającej się Ochotniczej Legii Kobiet, uzbrojonej organizacji pomocniczej, pełniącej służbę zarówno na tyłach, jak i w pierwszej linii, u boku regularnych jednostek. Na front ruszali nawet gimnazjaliści, i to z rejonów tak dalekich od frontu, jak okolice Kalisza. Mężczyzn, którzy nie zaciągnęli się do wojska, wyzywano na ulicach od tchórzy. Szesnastoletni Witold Gombrowicz nie





Jeńcy bolszewicy wzięci do niewoli w czasie walk o Grodno. Wrzesień 1920 roku

poszedł wtedy na wojnę ze względu na naciski matki, przez co spotkało go wiele upokorzeń i to, jak wielokrotnie wspominał, zaowocowało jego buntem przeciwko tradycyjnym wartościom.

Gdy w niektórych miastach na linii Wisły latem 1920 roku doszło do walk ulicznych, cywile nie zmienili się w bierną masę ewakuacyjną, lecz ramie w ramie z regularnym wojskiem wzięli w nich czynny udział. Także mieszkańcy Warszawy byli przygotowani na taką sytuację. Członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej sposobili się już do walk ulicznych, ukrywając w strategicznych punktach stolicy broń, amunicję i granaty.

Oczywiście nie wszędzie panował tak wielki entuzjazm. Wśród ludzi niższych warstw społecznych żyła pamięć o brutalnym „braniu w rekruty” na długie lata do wojsk zaborców, a państwo polskie istniało zbyt krótko, by mogli oni zauważyć, że pobór do wojska polskiego to już coś innego. Na wsiach wschodniej Wielkopolski, czyli daleko od frontu, starano się więc na wszelkie sposoby uniknąć wcielania i często dochodziło do dezercji rekrutów.

ODPORNİ NA IDEOLOGIE

Chociaż w odrodzonym państwie nie brakowało konfliktów społecznych, Polacy byli bardzo odporni na komunistyczną propagandę, zresztą ku zaskoczeniu wkraczających na nasze terytorium Sowieci. Gdy w maju 1920 roku w Warszawie doszło do inspirowanych przez bolszewików antyrządowych i antywojennych manifestacji, podczas których żądano zakończenia wojny i wznoszono prokomunistyczne hasła, społeczeństwo zareagowało na nie z obojętnością. Kiedy jednak na przełomie czerwca i lipca

DLA POLSKICH ŻOŁNIE- RZY WALKI W 1920 RO- KU BYŁY JAK BEZUSTAN- NA GONITWA, ZUPEŁNIE NIE PRZYPOMINAŁY ZNA- NYCH Z I WOJNY ŚWIATO- WEJ DZIAŁAŃ POZYCYJ- NYCH W OKOPACH

starano się ponownie doprowadzić w Warszawie do niepokojów, strajkujący odczuli już wyraźną wrogość. Polacy, którzy zaledwie kilka lat wcześniej wydostali się spod panowania rosyjskiego zaborcy, nie postrzegali bolszewików jako siły wyzwolenczej, reformatorskiej, lecz jako najeźdźców.

Umiarkowany propagandowy sukces bolszewicy odnieśli tylko w rejonach Białorusi i Ukrainy. Chłopi zajęci codzienną walką o przetrwanie nie przywiązywali wagi do spraw narodowościowych. Choć nęciła ich perspektywa odebrania ziemi wielkim posiadaczom, to woleli, aby trafiła ona w ich ręce, a nie stawała się własnością wspólną. Co więcej,



**Mjr STANISŁAW
ROSTWOROWSKI**
(na zdjęciu w stopniu
pułkownika):
„Gorszymi od walk
są szalone zmęcze-
nie i wyczerpanie”.

bolszewicy wszelki opór wobec swojej wizji sprawiedliwości społecznej starali się zdławić okrutnymi represjami. Rozbieżność między szczytnymi hasłami a brutalnymi metodami sprawiała, że dla chłopów komuniści byli niewiarygodni. Opisy bolszewickich bestialstw przypominają okrucieństwa hitlerowców albo bojowników tzw. Państwa Islamskiego. We wspomnieniach świadków wielokrotnie przewijają się obrazy masowych egzekucji, brutalnych gwałtów, kastracji, wylupiania oczu, odrąbywania kończyn, palenia żywcem.

Od współpracy z bolszewikami Polaków mógł też odstręczać ich wygląd i codzienne zachowania. Dotyczy to zwłaszcza rejonów położonych bardziej na zachód, na relatywnie zamożnych terenach byłej Kongresówki. Radzieccy żołnierze byli obdarci, byle jak umundurowani i uzbrojeni, zdemoralizowani ciągłym pobytom na wojnie (czasem od 1914 roku). W relacjach pojawiają się nie tylko informacje o rabunkach, bezmyślnym niszczeniu mienia, lecz także o załatwianiu przez nich potrzeb fizjologicznych gdzie popadnie. Nic dziwnego, że jawili się jako wzbudzający wstręt przedstawiciele niskiej, barbarzyńskiej kultury.

Dla polskich żołnierzy walki w 1920 roku były jak bezustanna gonitwa – zupełnie nie przypominały znanych z I wojny światowej działań pozycyjnych w okopach. Najpierw polskie jednostki aż do Kijowa przemieszczały się w błyskawicznym tempie, bo prowadziły pogoń za bolszewikami, następnie pospiesznie się przed nimi cofały, a po zwycięstwie pod Warszawą znowu ruszały za nimi w pogoń. Szybkość manewru często decydowała o zwycięstwie, dlatego zdarzało się, że dziennie pokonywano piechotą aż kilkadziesiąt kilometrów. We wspomnieniach polskich żołnierzy można wyczytać, że w końcowej fazie odwrotu w stronę Wisły praktycznie cały czas biegli, na rozkaz porzucając cały ekwipunek, oczywiście oprócz broni, amunicji i łopatki. „Gorszymi od walk są szalone zmęczenie i wyczerpanie”, wspominał mjr Stanisław Rostworowski. „Dochodzi do tego, że żołnierz woli spać pod ogniem granatów, niż odejść parę kilometrów dalej, bo już nie ma sił wycofać się”.

OCZAMI WOJAKÓW

Działania zbrojne wojny 1920 roku jej uczestnicy zapamiętali jako bezustanne manewrowanie, często niewielkimi jednostkami, którym towarzyszyły walki przypominające partyzancką szarpaninę. We wspomnieniach żołnierzy stale więc przewijają się utyskiwania na wyczerpujące marsze, zniszczone buty i poranione stopy. Przy tak wielkiej dynamice działań szwankowało zaopatrzenie, wojsku doskwierały robactwo, głód i choroby.

Wojsko polskie w roku 1920 było świeżą, nieokrzeplą jeszcze armią. Mundury, wyposażenie, broń pochodziły z najróżniej-



szych źródeł. Jeśli zdarzyło się, że jakiś oddział ruszał na wojnę jednolicie wyposażony, to i tak zniszczony umundurowanie oraz rynsztunek uzupełniano tym, co akurat było dostępne. Powszechnie donoszono mundury po zaborcach i używano demobilu amerykańskiego. Do dyspozycji żołnierze mieli wtedy broń rosyjską, francuską, niemiecką, austriacką, a nawet japońską. Bywało to wręcz niebezpieczne, bo wydawano im amunicję do innej broni niż ta, którą mieli, lub bagnety niepasujące do karabinów. Brak jednolitości był uciążliwy w kontekście i szkolenia, i terminologii. „Jak miało być porozumienie, kiedy na jednej ze stacji kolejowych dwa patrole ułańskie spotkały się z tym samym zadaniem, tylko nie mogły się pogodzić [...] Jeden przyjechał wysa-

dzić »wasserturm« [wieża ciśnień], a drugi »wodokaczkę«, opisał Sławomir Lindner w książce „Ale serce boli. Wspomnienia starego kadeta”. Bywało, że w jednym niewielkim oddziale jazdy kawalerzyści praktykowali kilka różnych metod dosiadać poznanych w różnych armiach zaborczych.

OSTATNIA WALKA NA SZABLE

Wojna 1920 roku prawdopodobnie była ostatnią w tym rejonie Europy wielką wojną, w której na tak dużą skalę używano broni białej. Szable, lance i bagnety pojawiały się w rękach kawalerzystów częściej niż karabiny. Efektem tych walk było odrąbywanie kończyn, rozłupywanie głów czy wytrzewianie. Por. Tadeusz Kossak z 3 Pułku Ułanów tak opisywał konsekwencje takiej walki: „Widziałem odrąbane kości czaszki [...] widziałem kiedyś po starciu się moich strzelców konnych z Baszkircami białego jak papier krasnoarmiejca, patrzącego się na dwa własne, tryskające krwią miarowo, w takt zamierającego już pulsu i z każdym wytryskiem krwi drgające kikuty bez obu dłoni”. Udział w takich starciach, podczas których poważnie okaleczało się przeciwnika i samemu wystawiało na ciosy, wymagał dużej odporności psychicznej żołnierza. Na co zresztą zwracał uwagę Kossak: „Na psychikę żołnierza zawsze więcej będzie oddziaływać świszcząca nad głową szablą, niż przybywająca gdzieś z daleka, niewidzialna kula”.

Okoliczności, w jakich musieli odnaleźć się polscy żołnierze, sprawiały, że nie zawsze zachowywali się oni wzorowo. Podczas ofensywy na Kijów dochodziło do gwałtów i rabunków na miejscowej ludności, a także egzekucji osób podejrzewanych o sprzyjanie bolszewikom. Podczas odwrotu zaś zdarzały się dezercje. Niemniej jednak w polskim wojsku zamach na życie i majątek cywilów uznawano za patologię, a jako taką – surowo zwalczano. Odmalowany tu obraz wojny 1920 roku to zaledwie muśnięcie tematu. Taka perspektywa z dołu nie ujmuje heroizmu zmaganiom żołnierzy, a pozwala uświadomić sobie, czym był ten konflikt dla jego uczestników. Jak wyglądał naprawdę, zanim obrósł legendą. ■

*Z Endrem László Vargą
o tym, dlaczego Węgrzy wspierali Polaków
w konfrontacji z bolszewicką nawałą,
rozmawia Piotr Korczyński.*

TO BYŁ NASZ WSPÓLNY WRÓG

Bez pomocy, którą od was otrzymaliśmy 12 sierpnia 1920 roku, prawdopodobnie nie byłoby żadnego Cudu nad Wisłą...

Ma pan zapewne na myśli transport węgierskiej amunicji, który dotarł w ostatniej chwili do polskiego wojska pod Warszawą, ale wszystko zaczęło się już w 1918 roku. Kiedy Ukraińcy zajęli Lwów, walczący z nimi polscy żołnierze także borykali się z brakami w wyposażeniu. Pomoc dla Polski ruszyła w 1919 roku. Broń i amunicja pochodziły z dwóch źródeł: z rozbrojenia armii feldmarszałka Augusta von Mackensena na Węgrzech i z produkcji węgierskiego przemysłu zbrojeniowego. Wszystko zostało przetransportowane do Polski jeszcze przed powstaniem 21 marca 1919 roku Węgierskiej Republiki Rad.

Na szczęście dla nas bolszewicki przewrót na Węgrzech po 133 dniach załamał się i w 1920 roku znowu mogliście nam pomagać.

Zdecydowanie tak. Na początku lipca 1920 roku gen. Kazimierz Sosnkowski na posiedzeniu Rady Obrony Państwa ogłosił, że do 14 sierpnia polskiemu wojsku walczącemu z bolszewikami skończy się amunicja. Rząd zwrócił się wówczas do wypróbowanych przyjaciół. Do Poselstwa Węgier w Warszawie wpłynęła oficjalna prośba o wsparcie – chodziło nie tylko o sprzęt, lecz także o ludzi. Sosnkowski, zresztą wielki przyjaciel Węgier, prosił o przysłanie 30 tys. huzarów. Budapeszt odpowiedział, że jest gotowy udzielić pomocy, jeśli Polska uzyska aprobatę Francji. Paryż



SOWIECI ZMUSILI WĘGERSKICH JEŃCÓW WOJENNYCH DO WSTĄPIENIA W SZEREGI ARMII CZERWONEJ I OŚWIADCZYLI IM, ŻE DOPIERO PO WOJNIE Z POLSKĄ BĘDĄ MOGLI WRÓCIĆ DO DOMU

postawił zaś dwa warunki: Węgrzy uznają zmianę swych granic i będzie zgoda Czechosłowacji na takie działania. Prezydent Edvard Beneš 10 sierpnia oświadczył, że absolutnie nie zgadza się na węgierską pomoc dla Polski. Dlatego nie można było ruszyć ze wsparciem 80 tys. ludzi, nie tylko huzarów, ale i artylerzystów.

Udało się jednak wysłać nam amunicję.

Według węgierskiego wywiadu wojskowego w połowie lipca 1920 roku na jednego żołnierza polskiego przypadają jedynie siedem nabojęw. Dlatego władze poleciły fabryce zbrojeniowej barona Manfréda Weissa w szybkim tempie wyprodukować amunicję dla Wojska Polskiego. 17 lipca wyeksponowano ją na granicę węgiersko-czechosłowacką, gdzie utknęła ze względu na sprzeciw Beneša. Wreszcie zdecydowano się przerzucić transport określną drogą, przez Rumunię. Wagony z amunicją dotarły do Skierniewic, a stamtąd pod Warszawę, w ostatnim momencie. Według przekazów prasowych miał to być jeden transport z 21–22 mln sztuk amunicji. Moim zdaniem były dwa, bo jedna lokomotywa nie uciągnęłaby 80 wagonów. Co zresztą potwierdzają dokumenty z polskiego Centralnego Archiwum Wojskowego, dotyczące umowy polsko-węgierskiej z lata 1920 roku na dostarczenie 35 mln sztuk gotowej amunicji karabinowej oraz 5 mln amunicji wymagającej zmontowania na miejscu. Transporty szły do Polski do marca 1921 roku.

Dlaczego Węgrzy, jako jedyni w tej części Europy, tak jednoznacznie opowiedzieli się po naszej stronie w tym konflikcie? Przecież narażali się na sankcje Sowietów. Moskwa zagroziła m.in., że nie wyda węgierskich jeńców z I wojny światowej, jeśli rząd w Budapeszcie będzie stał przy Polsce.

Sowieci dwa razy posłużyli się zakładnikami, żeby wyrzucić na nas presję. Pierwszy raz w grudniu 1919 roku, kiedy zbrodniarze komunistyczni po upadku Węgierskiej Republiki Rad zostali postawieni przed sądem. Kilku z nich dostało wyroki śmierci i wtedy Władysław Mołotow wystosował notę do Budapesztu, w której napisał, że jeśli dojdzie do egzekucji, to w sowieckich obozach zginie dwa razy więcej węgierskich oficerów. Drugi raz taką presję chcieli wyrzucić właśnie w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Rosjanie doskonale wiedzieli, że od 1919 roku popieramy Polskę i w maju 1920 roku wymusili na nas

zawarcie porozumienia w Kopenhadze w sprawie wymiany jeńców wojennych. Znalazła się w nim klauzula, że Węgrzy zachowają neutralność w wojnie polsko-bolszewickiej. Jak widać, myśmy tych warunków nie dotrzymali. Niebagatelne było tu doświadczenie komunistycznych porządków w czasie Węgierskiej Republiki Rad. Węgrzy po prostu zdawali sobie sprawę, na co są skazane Polska i Europa w wypadku klęski w wojnie z bolszewikami. To był

nasz wspólny wróg! Ponadto za wszelką cenę chcieliśmy utrzymać wspólną, węgiersko-polską granicę. To wówczas się nie udało, m.in. przez weto Czechosłowacji, ale pomoc do Polski zdołaliśmy wysłać.

Sowieci zemścili się na Węgrach za to wsparcie?

Zrobili to w bardzo perfidny sposób. Mianowicie zmusili węgierskich jeńców wojennych do wstąpienia w szeregi Armii Czerwonej i oświadczyli im, że dopiero po wojnie z Polską będą mogli wrócić do domu. Spośród półmilionowej rzeszy jeńców zgodę na to wyraziła jej niewielka część. Szacunki mówią, że presji poddało się około 100 tys. Węgrów. Propaganda komunistyczna nazywała ich ochotnikami do Armii Czerwonej, ale jacy to byli ochotnicy... Według moich badań do ojczyzny z sowieckiej Rosji nie wróciło więcej Węgrów niż te 100 tys. Reszta zmarła w sowieckiej niewoli – nie godząc się na służbę w Armii Czerwonej walczącej przeciwko Polsce!

Armia węgierska w 1920 roku nie mogła oficjalnie wesprzeć Polski, ale to nie oznacza, że w polskich szeregach nie było Węgrów. I nie mówimy tutaj tylko o pojedynczych ochotnikach, ale o całych oddziałach.

Już w 1919 roku na południu Polski, w Jordanowie, węgierscy ochotnicy stworzyli oddział, który miał uczestniczyć w ewentualnej wojnie polsko-czechosłowackiej o Zaolzie. Legion Węgierski liczył około stu żołnierzy, głównie saperów, którzy zostali przemyceni przez granicę węgiersko-czechosłowacką. Przed polską ofensywą węgierscy ochotnicy mieli przekroczyć granicę i wzdłuż linii kolejowej Koszyce–Bogumin niszczyć ważniejsze wiadukty i inne obiekty kolejowe. Gdyby ten scenariusz doszedł do skutku, od południa na pomoc Wojsku Polskiemu miała ruszyć armia węgierska. Ten plan opracował m.in. szef polskiego Sztabu Generalnego, gen. Tadeusz Rozwadowski. Ostatecznie Legion Węgierski z Jordanowa nie wszedł do walki, ale obecność jego żołnierzy na południowej granicy Polski czyniła ją bezpieczniejszą w czasie sowieckiej ofensywy na Warszawę. W końcu formacja została rozwiązana, ale





Ochotnicy węgierscy do Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Wielu z nich oddało swe młode życie w walce o przyszłą, niepodległą Polskę.



Rtm. hrabia Antal Pál József Gobert Somssich

W WOJSKOWYM PIŚMIE „WIARUS” Z 1915 ROKU POJAWIŁA SIĘ INFORMACJA, ŻE W LEGIONACH POLSKICH WALCZYŁ WĘGIERSKI BATALION LICZĄCY OKOŁO 600 ŻOŁNIERZY

ponad połowa jej żołnierzy zgłosiła się do służby w Wojsku Polskim i w Policji Państwowej.

Co do Węgrów, którzy akces do Wojska Polskiego zgłosili w czasie zmagania z bolszewikami w 1920 roku, kilku z nich miało za sobą służbę w Legionach Polskich. Za przykład niech posłuży m.in. Gábor Muntyán, który w wieku 15 lat wstąpił w szeregi 2 Pułku Piechoty Legionów Polskich, gdzie służył do 1918 roku. Ponowny akces do Wojska Polskiego wyraził w listopadzie 1919 roku. Podkreślał, że jako były legionista jest gotów dalej walczyć o Polskę! Nie wiem, jaką dostał odpowiedź, ale podejrzewam, że nie skorzystano z jego propozycji, bo w czasie wojny polsko-bolszewickiej mieszkał w Budapeszcie.

Innym legionistą Piłsudskiego, który w ciężkich chwilach swej drugiej ojczyzny zadeklarował podjęcie walki, był Michał Lipcsey-Steiner. Do Wojska Polskiego został przyjęty, więc walczył o utrwalenie granic Rzeczypospolitej. Odegrał też niebagatelną rolę po wrześniu 1939 roku. Jako polski oficer, został internowany na Węgrzech i wówczas jego znajomości pomogły w przetrzymaniu polskich żołnierzy do tworzonej we Francji armii gen. Władysława Sikorskiego.

Nie można nie wspomnieć też rtm. Antala Pála Józsefa Goberta Somssicha, który z Polakami zetknął się w czasie I wojny światowej jako oficer huzarów c.k. armii. Do Wojska Polskiego zgłosił się w 1919 roku. W czasie dramatycznych dni sierpniowych 1920 roku, jako oficer 10 Pułku Ułanów Litewskich, został wysłany na Węgry z misją kupienia koni dla polskiej kawalerii. Ponadto dostarczył do tamtejszego ministerstwa spraw wojskowych listy gen. Sosnkowskiego. Następnie wrócił do Polski i zdążył wziąć udział w zwycięskiej ofensywie przeciwko bolszewikom.

Te historie potwierdzają powiedzenie: „Polak – Węgier dwa bratanki”...

Takich historii jest znacznie więcej. Wspomniany był legionista Michał Lipcsey-Steiner sporządził całą listę Węgrów służących w Legionach Piłsudskiego. Po zbadaniu jej potwierdziłem 565 nazwisk węgierskich ochotników, którzy z całą pewnością walczyli za Polskę. Prawdziwa jest więc krótka wiadomość z 1915 roku w wojskowym piśmie „Wiarius”, że w Legionach Polskich walczył węgierski batalion liczący około 600 żołnierzy. Kiedy pierwszy raz to przeczytałem 25 lat temu, nie chciałem uwierzyć w tę informację.

Czy można wymienić jakieś zwarte oddziały węgierskie walczące w 1920 roku po polskiej stronie?

Jest pewna tajemnica, której nie udało mi dotąd wyjaśnić. Natrafiłem na informację, że Gyula Gömbös, premier węgierski w latach 1932–1936, podobno sformował węgierską kompanię oficerską, która w 1920 roku w szeregach Wojska Polskiego miała walczyć z bolszewikami na froncie białoruskim. Ten oddział podobno został rozbity przez Grupę Mozyrską Armii Czerwonej. Sądzę, że ci, którzy to przeżyli, zostali później wytropieni przez NKWD [Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR] na Węgrzech i zlikwidowani. Według moich badań około dziesięciu Węgrów uczestniczyło w Bitwie Warszawskiej, ale absolutnie nie jest to lista kompletna i zamknięta. ■

ENDRE LÁSZLÓ VARGA jest emerytowanym pracownikiem naukowym Uniwersytetu Segedyńskiego i Uniwersytetu Kościoła Reformowanego im. Károiego Gáspára oraz Wojskowego Instytutu Historycznego w Budapeszcie.

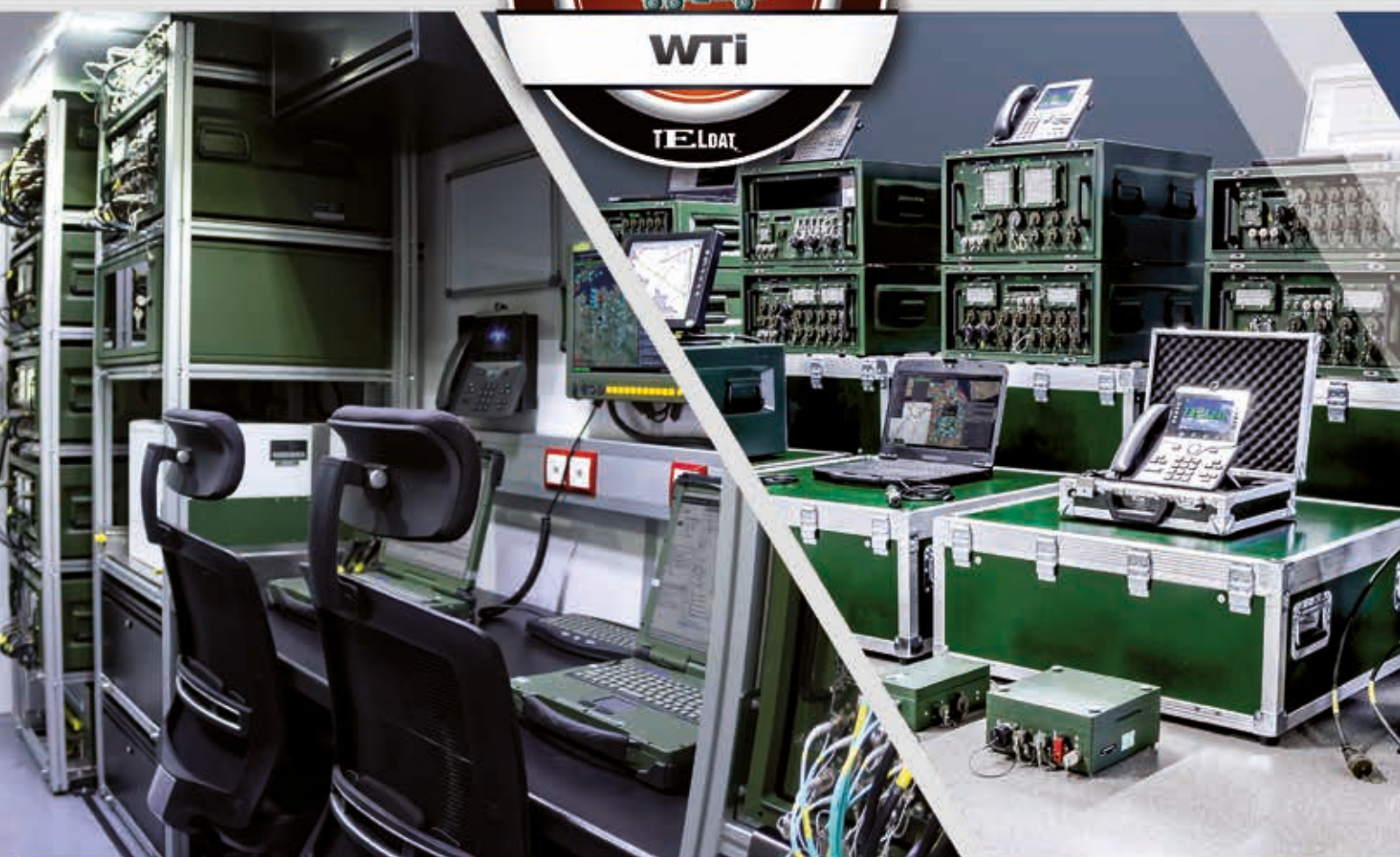
TEL DAT



Węzły Teleinformatyczne
w wersji kontenerowej



Węzły Teleinformatyczne
w wersji przenośnej



www.TELDAT.com.pl

Innowacyjne i wysokowydajne duże zbiory wojskowych rozwiązań ICT (sprzętowych i programowych) zapewniające nowoczesną, sieciocentryczną i bezpieczną infrastrukturę teleinformatyczną dla systemu dowodzenia i łączności SZ RP

Opracowane na podstawie kilkunastoletniego doświadczenia z wdrażania, eksploatacji i doskonalenia węzłów teleinformatycznych JAŚMIN, także na teatrach działań stabilizacyjno-wojskowych

TEL DAT
Cicha 19-27
85-650 Bydgoszcz

tel.: +48 52 341 97 00
fax: +48 52 341 97 40
e-mail: teldat@teldat.com.pl



ARMIA
/ ARTYLERIA



Obserwatorzy podkreślają, że działania ich i JTAC-ów należy postrzegać jako jeden system, a nie oddzielne elementy. Specjaliści od wsparcia lotniczego mają jednak więcej uprawnień.

ZAKLINACZE OGNIA

Wydawać by się mogło, że to tylko artylerysty zwiadowcy. Tymczasem od obserwatorów ognia połączonego wymaga się takich zdolności psychomotorycznych, jak od operatorów wojsk specjalnych.

KRZYSZTOF WILEWSKI

PIOTR KAMIŃSKI



D

la dowódcy batalionu zmotoryzowanego, który na swoim stanowisku dowodzenia od kilku minut wpatrywał się intensywnie w mapy, było jasne, że najbliższe godziny będą dla podległych mu żołnierzy bardzo trudne. Zadanie, które przed nimi postawiono, wydawało się

jasne. Mieli utrzymać niewielkie miasteczko na skraju rzeki, gdyż zdobycie go przez przeciwnika oznaczałoby ryzyko oskrzydlenia przegrupowujących się na południu dwóch sojuszniczych batalionów zmechanizowanych i batalionu czołgów. Podpułkownik spodziewał się, że przeciwnik nie będzie szczędził wysiłków, aby wyprzeć batalion z zajmowanej pozycji. I się nie mylił. Nagle rozdzwoniły się telefony i radiostacje. Rozpoczął się atak. Na razie był to tylko zwiad wsparty opancerzonymi transporterami, ale rozpoznanie donosiło o zbliżających się czołgach. Dwóch, a może nawet trzech kompaniach.

„JTAC”, rzucił krótko dowódca w kierunku stojącego w pobliżu oficera zajmującego się koordynacją przestrzeni powietrznej i rekomendowaniem dowódcy najlepszego wariantu, jeśli chodzi o użycie uzbrojenia samolotów w operacji naziemnej, i w ciągu kilku minut wysłuchał, jakie ma lotnicze opcje do dyspozycji. Nie było tego wiele. Za kwadrans dostanie na trzy minuty parę F-16. Żadnych śmigieł. Nawet nie się zastanawiał, dlaczego. Wróg nacierał na całym froncie. Mi-24 na pewno były potrzebne w innych miejscach. „Oficer wsparcia ogniowego”, rzucił do drugiego żołnierza, wysłuchując teraz opcji artyleryjskich – swoich, brygadowych i dywizyjnych. Tutaj było znacznie lepiej. Dwa dywizjony krabów znajdowały się w odległości kilkunastu kilometrów i przy ich 40-kilometrowym zasięgu były w stanie zrobić przeciwnikowi istne trzęsienie ziemi. A przecież miał jeszcze do dyspozycji 120-milimetrowe moździerz Rak ze swojej kompanii wsparcia. Komendy rzucał błyskawicznie. Na zbliżającą się do miasteczka kolumnę pancerną wroga spadł deszcz pocisków kalibru 155 i 120 mm. Dzieła zniszczenia dokonały F-16, które zrzuciły bomby.



Płk PAWEŁ ADAM LACHOWSKI, dowódca 18 Pułku Rozpoznawczego: „Przy tworzeniu stanowisk obserwatorów ognia połączonego trzeba przeanalizować ich ostateczną formułę, a do rozważenia są różne koncepcje. Można te stanowiska umieścić chociażby w jednostkach jako osobne komórki lub utworzyć w pododdziałach jako jeden z ich elementów. Najważniejsze jest jednak to, by żołnierze mogli się skupić na swoich zadaniach”.

Opisane starcie jest fikcyjnym scenariuszem, ale stanowi dobry przykład tego, jak może wyglądać na polu walki połączone wsparcie ogniowe, które skupia wysiłek różnych komponentów bojowych, tak aby odeprzeć atak nieprzyjaciela. I choć główną postacią przytoczonej opowieści jest dowódca batalionu zmotoryzowanego, któremu przyszło kierować obroną kluczowego odcinka frontu, to jako jej cichego bohatera należy wskazać starszego szeregowego z drużyny dowodzenia z kompanii wsparcia, który jako obserwator ognia połączonego – JFO (Joint Fires Observer) z pierwszej linii walk nie tylko koordynował ogień artylerii, lecz także był oczami i uszami znajdującego się w sztabie batalionu JTAC-a (Joint Terminal Attack Controller), pomagając mu w misji bezpośredniego wsparcia lotniczego. Gdyby ten żołnierz źle naprowadził artylerię, czołgi wroga zaatakowałyby miasteczko, a gdyby nie pomógł JTAC-owi, podświetlając lasem cele, to F-16 miałyby bardzo utrudnione zadanie, by precyzyjnie zrzucić bomby.

Choć nazwa Joint Fires Observer wywodzi się wprost z natowskich i amerykańskich doktryn, to zadania wykonywane przez żołnierza na fikcyjnym polu walki nie odbiegały daleko od tych, które od dekad przydzielane są w polskiej armii obserwatorom ognia albo wysuniętym obserwatorom (istniejącym właściwie od początku funkcjonowania artylerii, gdyż zawsze był ktoś obserwujący celność ognia i podający odpowiednie koordynaty). Niemniej jednak różnice między JFO a obserwatorami są wręcz fundamentalne.

W ELITARNYM GRONIE

Nową specjalność wojskową utworzyli Amerykanie, żeby poprawić zdolności do prowadzenia ognia połączonego. Od początku jednak zakładali, że aby istnienie JFO miało sens, musi być ono specjalnością natowską, czyli funkcjonować według sojuszniczych norm i doktryn. Żeby przyspieszyć całą procedurę, zaproponowali członkom NATO oraz krajom, z którymi blisko współpracują, aby przyjęli ich gotowy system szkolenia. Podpisano ostatecznie umowę, która zakłada m.in., że to amerykański zespół – Standardization Team Joint Fire Support Executive



JFO, który ukończy kurs w toruńskiej placówce, to specjalista od wykrywania i rozpoznawania celów, naprowadzania i poprawiania ognia artylerii, który we współpracy z JTAC-em nakierowuje lotnictwo na cele naziemne.

PIOTR KAMIŃSKI

Steering Committee – nadzoruje narodowe ośrodki szkolące JFO. Jako pierwsza przyjęła ją Australia, potem zrobiły to Kanada, Wielka Brytania i Niemcy. Polska dołączyła do tego grona na początku 2016 roku, a w listopadzie 2016, jako konsekwencja podpisanej umowy, w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu powstał Ośrodek Szkolenia Połączonego Wsparcia Ogniwego (OSPWO). Otrzymał on amerykańską akredytację w listopadzie 2018 roku jako druga (po niemieckiej) tego typu instytucja w Europie. Do tej pory w Ośrodku odbyły się cztery kursy dla JFO – dwa w 2018 i dwa w 2019 roku. Z powodu koronawirusa pierwsze tegoroczne szkolenie odwołano, ale przygotowania do jesiennej edycji idą pełną parą. Co bardzo ważne, będzie ono połączone z październikową wizytą delegacji z JFO Standardization Team Joint Fire Support Executive Steering Committee, która przeprowadzi reakredytację programu JFO w Siłach Zbrojnych RP, w tym polskiego Ośrodka.

POSZUKIWANY WYBITNY SZEREGOWY

JFO, który ukończy kurs w toruńskiej placówce, to specjalista od wykrywania i rozpoznawania celów, naprowadzania i poprawiania ognia artylerii, który we współpracy z JTAC-em nakierowuje lotnictwo na cele naziemne. Mjr Marcin Domagalski, komendant OSPWO, na pytanie, ilu jest w polskich siłach zbrojnych takich certyfikowanych

specjalistów, odpowiada krótko: kilkunastu. Na sugestię, czy to nie za mało, kiwa głową, że tak i wyjaśnia, jak trudno jest znaleźć odpowiedniego żołnierza na to stanowisko, i co istotniejsze, utrzymać go na nim.

„Zacznijmy od podstaw. Bezwzględny wymogiem jest perfekcyjna znajomość języka angielskiego. Formalnie chodzi o uzyskanie z wojskowego egzaminu językowego wyników na poziomie 3, 3, 2+ i 2. Ale prawda jest taka, że żołnierz musi znać angielski na tyle dobrze, aby nawet sekundy się nie zastanawiał, jak coś powiedzieć”, wyjaśnia mjr Domagalski i dodaje, że znalezienie takich osób w korpusie szeregowych i podoficerów młodszych (na tym poziomie będą w sekcjach i plutonach JFO) jest bardzo trudne. A jeśli weźmie się pod uwagę, że preferowani są artylerzyści lub żołnierze mający doświadczenie ze służby w pododdziałach wojsk specjalnych i rozpoznawczych, to mamy prawdziwą wyższą szkołę jazdy.

Mjr Adam Skubida, wykładowca z dąblińskiego Ośrodka Szkolenia Personelu Taktycznych Zespołów Kontroli Obszaru Powietrznego, do którego szkoleni w Toruniu JFO trafiają na dwutygodniowe ćwiczenia praktyczne, podkreśla, jak wysokie wymagania psychomotoryczne są stawiane kandydatom na to stanowisko. Wylicza: zdolność jednoczesnego myślenia i mówienia; umiejętność błyskawicznej oceny położenia swojego, sił własnych, celu oraz statków powietrznych; wyjątkowa odporność na stres. „To pakiet poszukiwanych przez nas cech.



POMYSŁ ZZA OCEANU



MICHAEL L. HOLZWORTH/USAF

Na początku stulecia Joint Requirements Oversight Council, które w Departamencie Obrony USA odgrywa rolę biura doradczego dla Joint Chiefs of Staff, czyli Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, zarekomendowało utworzenie US Joint Fire Support Executive Steering Committee, czyli Komitetu Sterującego ds. Amerykańskiego Połączonego Wsparcia Ogniwego. Wszystkie rodzaje wojsk musiały poprawić zdolności do prowadzenia ognia połączonego, dlatego konieczna

była instytucja, która by ten proces nadzorowała, opracowując m.in. odpowiednie mechanizmy, procedury i doktryny.

Komitet po kilkunastomiesięcznych analizach przedstawił Kolegium Połączonych Szefów Sztabów swoje rekomendacje: zachowanie w jednostkach rozpoznania, wsparcia i artylerii wysuniętych obserwatorów, ale też utworzenie dwóch dodatkowych specjalności – JTAC i JFO, ukierunkowanych na koordynację lotnictwa i artylerii w ramach połączonego

wsparcia ogniowego. Kolegium przyjęło te rekomendacje i we wrześniu 2003 roku zaakceptowało zaktualizowaną doktrynę bezpośredniego wsparcia lotniczego. Jako pierwsi pod koniec 2003 roku szkolenie według niej rozpoczęli specjaliści. Wkrótce w ich ślady poszły piechota morska, siły powietrzne oraz wojska lądowe. Pierwszy kurs JFO został zorganizowany przez wojska lądowe i siły powietrzne w 2004 roku, a zaraz po nich szkolili się żołnierze piechoty morskiej. ■

Takie wymagania stawia się przecież żołnierzom sił specjalnych”, podkreśla.

Mjr Domagalski i mjr Skubida zgodnie dodają, że oczekiwania wobec JFO, owszem, są bardzo wysokie, ale nie na tym polega problem. Największą przeszkodą w zdobywaniu personelu jest formalne umiejscowienie JFO. W odróżnieniu od JTAC-ów nie jest to osobna specjalność wojskowa, z czym m.in. wiąże się konkretne profity. W Siłach Zbrojnych RP jest to tylko dodatkowa umiejętność wobec podstawowej wojskowej specjalności. JFO w plutonie może być zatem medyk, strzelec wyborowy czy tzw. wysunięty obserwator.

Problemem jest również to, że w polskim systemie szkolenia obserwatorów ognia połączonego to żołnierz, a nie jego przełożony, jest odpowiedzialny za utrzymanie uprawnień na tym stanowisku. Musi tego pilnować i zgłaszać dowódca. Co pół roku bowiem ma zaliczyć określoną liczbę zadań związanych z naprowadzaniem ognia artylerii oraz środków po-

wietrznych na cele naziemne. Jeżeli o tym zapomni, będzie musiał przejść recertyfikację. A jeśli jej nie zrobi w ciągu półtora roku, straci uprawnienia i będzie musiał przejść cały kurs JFO od nowa.

WYJĄTKOWY PUŁK

Jednostką, która ma najwięcej JFO w całych siłach zbrojnych, jest 18 Pułk Rozpoznawczy z Białegostoku. Służy tam trzech żołnierzy o takiej specjalności, a jeden jest w trakcie certyfikowania. Jak wyjaśnia dowódca pułku, płk Paweł Adam Lachowski, program JFO jest na tyle nowy, że cały czas trwają jego wdrażanie i oceny. „Przy tworzeniu stanowisk obserwatorów ognia połączonego trzeba przeanalizować ich ostateczną formułę, a do rozważenia są różne koncepcje. Można te stanowiska umieścić chociażby w jednostkach jako osobne komórki lub utworzyć w pododdziałach jako jeden z ich elementów. Najważniejsze jest jednak to, by

PRZEDSTAWICIELE OŚRODKÓW ZAJMUJĄCYCH SIĘ SZKOLENIEM JFO PRYZNAJĄ, ŻE MIMO WYSOKICH WYMAGAŃ NIE BRAKUJE OSÓB CHCĄCYCH ZMIERZYĆ SIĘ Z TYM WYZWANIEM

żołnierze mogli się skupić na swoich zadaniach”, diagnozuje.

Okazją do sprawdzenia umiejętności białostockich obserwatorów ognia połączonego miało być letnie zgrupowanie wojsk rozpoznawczych na poligonie w Wędrzynie. „Kompania podczas wykonywania zadań rozpoznawczych miała przeprowadzić procedurę CFF [Call for Fire] na cele planowe i nieplanowe”, wyjaśnia płk Lachowski i dodaje, że z powodu pandemii COVID-19 zgrupowanie zostało przełożone na przełom listopada i grudnia. Niemniej jednak, jak podkreśla dowódca, JFO cały czas wykonują zadania związane z programem szkolenia obserwatorów podczas zwykłych zajęć. „Mimo wielu obowiązków stale poszukują metod podtrzymywania swojego poziomu wiedzy i umiejętności”, chwali swoich żołnierzy.

OKIEM OBSERWATORA

Żołnierze, z którymi rozmawialiśmy, zgodnie podkreślają, że nie jest łatwo zostać JFO, ale da się to zrobić. „Chociaż kurs jest trudny, to ukończenie go nie jest niemożliwe. Przede wszystkim, poza znajomością języka angielskiego na odpowiednim poziomie, trzeba umieć myśleć przestrzennie i pracować pod presją czasu”, komentuje por. Hubert Włodkowski z 18 Pułku Rozpozna-

nia i dodaje: „Teraz największą trudnością jest utrzymanie uprawnień i pogodzenie tej specjalności z obowiązkami służbowymi. Co sprawia, że warto ponosić taki wysiłek? Satysfakcja z dobrze przeprowadzonej misji i świadomość, że w sytuacji bojowej mogą uratować życie kolegów”.

Obserwatorzy podkreślają, że działania ich i JTAC-ów należy postrzegać jako jeden system, a nie oddzielne elementy. Specjaliści od wsparcia lotniczego mają jednak więcej uprawnień, bo ci od ognia połączonego powinni być dla nich wsparciem. Na polu walki wygląda to tak, że choć obowiązują ich te same procedury, to jedynie JTAC decyduje o zrzuconiu bomb. „Jeśli porówna się ten system do ludzkiego organizmu, to JTAC jest mózgiem, JFO – oczami, a artyleria i lotnictwo – mięśniami. Dopiero połączenie tych trzech elementów daje efekt w postaci precyzyjnego rażenia”, wyjaśnia por. Włodkowski.

Młody oficer, pytany o to, czy dobrym pomysłem byłoby nadanie JFO statusu podobnego do JTAC, tak żeby powstało odrębne stanowisko, odpowiada, że to właściwy kierunek: „W gąszczu bieżących zadań i obowiązków służbowych bardzo ciężko jest skupić się na samej specjalności. Na ten program nie można przeznaczyć tylko kilku godzin tygodniowo”. Zwraca też uwagę, że dobrym pomysłem byłoby wyposażenie jednostki w symulatory komputerowe, co pomogłoby w podtrzymywaniu uprawnień JFO.

TRUDNO, ALE WARTO

Przedstawiciele ośrodków zajmujących się szkoleniem obserwatorów przyznają, że mimo wysokich wymagań nie brakuje osób chcących zmierzyć się z tym wyzwaniem. „Magnesem jest to, co się robi na tym stanowisku. Który żołnierz, szeregowy czy starszy szeregowy, może o sobie powiedzieć, że właśnie we współpracy z amerykańskim JTAC-em naprowadzał na cel kraby albo podświetlił laserem cel dla F-16? Niewielu, żeby nie powiedzieć garstka. To czyni ich wyjątkowymi”, mówi z uśmiechem mjr Domagalski.

Por. Włodkowski na pytanie, co powiedziałyby żołnierzom zastanawiającym się, czy zostać JFO, odpowiada krótko: „Nie ma nic piękniejszego niż zniszczyć cel ogniem artylerii. Mimo że ścieżka prowadząca do zdobycia takich kwalifikacji jest trudna, to daje dużo satysfakcji. Poza tym, jeśli ktoś myśli o karierze JTAC-a, to stanowisko JFO może być do tego świetnym wprowadzeniem”. ■

Techniczne puzzle

F-16 składa się ze stu kilkudziesięciu tysięcy elementów, a specjaliści z Grupy Obsługi Technicznej znają je wszystkie! O sprawność wielozadaniowych myśliwców z białą-czerwoną szachownicą od 14 lat dbają żołnierze z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Młośnicy kinematografii skrótowiec GOT od razu rozwiną jako „Gra o tron”, ale pasjonaci lotnictwa doskonale wiedzą, że chodzi o Grupę Obsługi Technicznej. „Królestwo” inżynierów i techników z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego z Krzesin tworzy ponad 550 żołnierzy. Od nich w dużym stopniu zależy bezpieczeństwo każdej misji powietrznej.

NA CZĘŚCI PIERWSZE

GOT składa się z sześciu eskadr: dwóch obsługi, wsparcia, technicznej, zabezpieczenia oraz obsługi naziemnej statków powietrznych. Każda z nich ma swoje zadanie do wykonania i, jak podkreśla ppłk Arkadiusz Ligaj, dowódca Grupy, razem tworzą dobrze działający organizm. „Każdy ma swoją robotę, ale cel mamy wspólny. To bezpieczne wykonywanie lotów”, podkreśla. Czym się zajmują poszczególne pododdziały? Sercem GOT-u jest eskadra wsparcia. Tworzą ją inżynierowie, spe-

cjaliści sekcji jakości oraz personel centrum zarządzania eksploatacją samolotów. Zajmują się podliczaniem nalotów, monitorowaniem i analizowaniem wszystkich niesprawności. Czuwają też nad harmonogramami przeglądów, które w żargonie lotniczym nazywa się obsługami. Na lotnisku najczęściej jednak widoczni są żołnierze z eskadr obsługi, którzy pracują przy samolotach tuż przed startem i zaraz po ich wylądowaniu. Z kolei żołnierze eskadry zabezpieczenia dbają o wszelkiego rodzaju środki bojowe i części zapasowe myśliwców, a personel eskadry obsługi naziemnej statków powietrznych zajmuje się przygotowaniem sprzętu potrzebnego do wykonywania napraw. Główne siły GOT-u skupione są w eskadrze technicznej. Tu żołnierze znają efy od podszewki. Niedawno wykonali pierwszą w historii polskich sił powietrznych obsługę myśliwca, który w powietrzu spędził 2 tys. godzin.

„W GOT służą wysokiej klasy specjaliści, ludzie z kierunkowym wykształceniem, po dodatkowych kursach przygotowują-

PIOTR ŁYSAKOWSKI



cych ich do pracy na F-16. Cięży na nas duża odpowiedzialność, bo wiemy, że od naszego błędu może zależeć życie pilota”, podkreśla ppłk Ligaj. Inżynierowie i technicy z GOT-u przyznają, że przez 14 lat pracy z F-16 dużo się nauczyli.

WSZĘDZIE PIASEK

Początkowo wyzwaniem było każde przebazowanie samolotów, bo tam gdzie lądują maszyny, muszą być i technicy. Prawdziwym sprawdzianem okazały się jednak ćwiczenia „Red Flag” w 2012 roku na Alasce. „To była poważna operacja logistyczna. Należało zabezpieczyć tankowanie w powietrzu, międzylądowania oraz dowieźć personel techniczny na wskazane lotniska. Części zapasowe, urządzenia pomiarowe oraz sprzęt do obsługi myśliwców przewożiliśmy wówczas na pokładzie transportowca An-124 Ruslan”, opowiada ppłk Ligaj i dodaje: „A już na Alasce samoloty wykonywały zadania w powietrzu od rana do późnych godzin nocnych. Tam po raz pierwszy było używane bojowe uzbrojenie naszych maszyn”.

Technicy wspominają także pracę podczas corocznych zlotów myśliwców z cyklu NATO Tiger Meet, szczególnie zapadł im w pamięć ten, który odbył się w Polsce. „W Krzesinach mieliśmy kilkadziesiąt samolotów. Trzeba było umiejętnie planować przeglądy, obsługi przed- i polotowe”, wspominają żołnierze z tej bazy. Podkreślają przy tym, że wszystko, czego się przez lata nauczyli, zaprocentowało m.in. podczas operacji „Inherent Resolve” w Kuwejcie, gdy F-16 wykonywały misje rozpoznawcze nad terytorium Iraku. Początkowo ze

względem na wysoką temperaturę było trochę problemów z instalacjami hydraulicznymi i silnikami. Maszynom nie służyło też duże zapylenie powietrza.

Nieoczekiwanie 2019 rok przyniósł kolejne duże wyzwanie. W czasie gdy zostały uziemione MiG-29, a F-16 były jedynymi myśliwcami pełniącymi dyżury bojowe i wykonującymi loty na rzecz innych rodzajów sił zbrojnych, producent efów zobowiązał wszystkich użytkowników do obowiązkowych przeglądów silników. Oznaczało to, że każdy z 48 polskich myśliwców musi trafić na warsztat. „Sprawność F-16 spadła, co przy dużej liczbie zadań było kłopotem i jednocześnie ogromnym wyzwaniem dla moich ludzi. Daliśmy z siebie wszystko, by jak najszybciej wykonać obowiązkowe przeglądy. Przełożyło się to na kilkanaście tysięcy nadgodzin, ale udało się! Dziś sprawność jastrzębi znowu sięga 70%”, podkreśla ppłk Ligaj. Za ciężką pracę personel GOT-u został wyróżniony przez dowódcę generalnego rodzajów sił zbrojnych tytułem Przewodzący Pododdział Sił Powietrznych.

LABORATORIUM SILNIKÓW

Wyteżona praca przy przeglądach silników to głównie zasługa personelu eskadry technicznej GOT-u, która zabezpiecza eksploatację F-16 z obu jednostek: 31 i 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego. „Mamy unikatowe warsztaty i klucze naprawcze, więc część obsług myśliwców, naprawy sprzętu, wyposażenia, zespołów napędowych polskiej floty F-16 mogą być wykonywane tylko w Krzesinach. To jedyne miejsce w Polsce, w którym powstało laboratorium diagnozowania silników”, mówi



Zespół z Krzesin wykonał pierwszą w historii polskich sił powietrznych obsługę myśliwca, który spędził w powietrzu 2 tys. godzin.





SERCEM GOT-U JEST ESKADRA WSPARCIA: INŻYNIEROWIE, SPECJALIŚCI SEKCJI JAKOŚCI ORAZ PERSONEL CENTRUM ZARZĄDZANIA EKSPLOATACJĄ SAMOLOTÓW

Grupa Obsługi Technicznej z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego została wyróżniona tytułem Przewodzący Pododdział Sił Powietrznych.

mjr dr Sławomir Szrama, dowódca eskadry technicznej. Oficer, który jest również wykładowcą Politechniki Poznańskiej, przy F-16 pracuje już od 14 lat. Był w pierwszej grupie inżynierów i techników skierowanych do USA na szkolenie.

Eskadrę techniczną tworzy blisko 200 żołnierzy, którzy są podzieleni między klucze obsługi i naprawy: awioniki, wyposażenia, struktury samolotu, silnika i uzbrojenia. Te z kolei dzielą się na specjalistyczne warsztaty, odpowiadające m.in. za diagnostykę, obsługę i naprawę poszczególnych systemów. Pracują przy samolotach każdego dnia. Zakres prac warunkuje tzw. strategia eksploatacji, która zwykle jest opracowana przez producenta maszyn. „To dla nas najważniejszy dokument. Wskazuje, kiedy trzeba przeprowadzić diagnostykę, serwisowanie czy remont”, mówi mjr Szrama. Dowódca eskadry technicznej wyjaśnia, że wielozadaniowe F-16 pracują według mieszanej strategii. Oznacza to, że płatowiec maszyny eksploatowany jest zgodnie ze stanem technicznym i naprawiany według bieżących potrzeb, a część urządzeń ma nadany resurs.

By nie przegapić niezbędnej obsługi, w eskadrze pracują specjaliści od tzw. trackingu. Śledzą zużycie elementów zespołu napędowego, gromadzą informacje dotyczące czasu pracy silnika i sygnalizują zbliżające się terminy obsługi. Przegląd przeglądowi nierówny i mogą one trwać od kilkudziesięciu minut do nawet sześciu miesięcy. „Przy tych głównych samolot musimy niemalże wywrócić na lewą stronę. Biorąc pod uwagę to, że F-16 składa się ze stu kilkudziesięciu tysięcy elementów, to jest co robić”, przyznaje mjr Szrama. Oficer podkreśla, że pracować z F-16 mogą tylko ludzie niezwykle dokładni, cierpliwi i tacy, którzy chcą się uczyć nowych rzeczy.

EFY W KOLEJCE

„Co pewien czas jest aktualizowana dokumentacja techniczna samolotu. Wychodzą tzw. biuletyny techniczne naka-

zuające nam wykonanie nowych czynności obsługowych. Tak też było w 2019 roku”, przyznaje dowódca eskadry. Producent F-16 zobowiązał wszystkich użytkowników tych maszyn do przeprowadzenia przeglądu silników lotniczych. Nowe regulacje zostały wprowadzone po tym, jak w jednym z F-15 (ma takie same silniki jak F-16) w trakcie startu urwała się jedna z łopatek silnika. W wyniku nowych zaleceń wszystkie silniki F-16 trzeba było sprawdzić i wymienić w nich wadliwe łopatki. „To spowodowało spadek dostępności maszyn. W kolejce czekały F-16 z Krzesin i Łasku”, mówi mjr Szrama. W zależności od egzemplarza technicy potrzebowali na przegląd i naprawę jednego silnika około pięciu tygodni.

„Wykonaliśmy nakazane przeglądy we wszystkich samolotach, silnikach zapasowych oraz modułach zapasowych silników”, mówią żołnierze. Personel eskadry technicznej jednak nie odpoczywa. „Pierwszy raz w historii eskadra techniczna wykonała przegląd maszyny po 2 tys. godzin lotu. To tzw. phased inspection. Technicy zweryfikowali stan techniczny samolotu, systemy i podsystemy oraz zespół napędowy”, mówi ppłk Arkadiusz Ligaj.

Phased inspection technicy wykonywali zgodnie z obowiązującymi dokumentami zwykle co 200 godzin lotu (producent zezwolił teraz na wydłużenie tego okresu do 400 godzin). Jest to drobiazgowy przegląd, który może trwać nawet kilka miesięcy. „Wszystko zależy od tego, ile dodatkowych obsług mamy zleconych w ramach takiej inspekcji”, wyjaśnia mjr Sławomir Szrama. W ten przegląd są zaangażowani wszyscy żołnierze eskadry technicznej. „Zakres prowadzonych prac jest bardzo duży: od szczegółowego przeglądu wzrokowego po pomiary z użyciem specjalistycznej aparatury kontrolnej. To skomplikowana praca i wymaga dobrej koordynacji zespołu”, opowiada dowódca eskadry. Kolejny samolot obsługę phased inspection po 2 tys. godzin przejdzie jeszcze w tym roku. ■

Na pierwszy rzut oka laboratorium przypomina niewielką siłownię. Trzy duże bieżnie, kilka rowerów treningowych.

Pod ścianami stanowiska komputerowe z wiszącymi monitorami. Na podłodze leżą okrągłe przyrządy przypominające bączki, ale znacznie większe. Poddawany badaniu żołnierz staje na jednym z nich oboma nogami, więc trudno mu utrzymać równowagę. W tej mało komfortowej pozycji szybko i prawidłowo musi odpowiadać na pytania.

Pracownicy naukowcy laboratorium mogą sprawić, że w pomieszczeniu temperatura nagle wzrośnie nawet do około 50 stopni Celsjusza albo gwałtownie spadnie i zacznie wiać silny wiatr. Gdy będzie potrzebnych jeszcze więcej negatywnych bodźców, obsługujący urządzenia mogą spowodować, że zrobi się ciemno i pojawią się intensywne efekty świetlne. To jednak nie koniec. Kiedy kandydaci na dowódców będą już bardzo zmęczeni, ogłuszy ich nagle huk wybuchających pocisków, rozrywających się granatów i serii z broni maszynowej. Na dużym monitorze przed sobą zobaczą mapę z naniesioną sytuacją taktyczną. Nie przerywając biegu, będą musieli się skupić i przez radiostację złożyć meldunek do sztabu o sytuacji na polu walki. W razie potrzeby muszą też być w stanie wezwać wsparcie i przekazywać rozkazy podwładnym. Skuteczność przyszłych dowódców ocenia ppłk Artur Gonciarz, starszy wykładowca w Zakładzie Teorii Przywództwa w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Tym, których wyniki będą poniżej normy, zaleci odpowiednie ćwiczenia oraz zaprosi na kolejne testy, aby sprawdzić, czy pracują nad sobą i robią postępy.

ZDOBYWANIE KOMPETENCJI

Laboratorium w Instytucie Przywództwa Wydziału Zarządzania Akademii Wojsk Lądowych istnieje od dwóch lat. Powstało po to, aby weryfikować kompetencje przywódcze podchorążych. Sprawdza się tutaj odporność psychofizyczną przyszłych adeptów sztuki wojennej, weryfikuje ich umiejętność podejmowania decyzji pod presją bodźców zewnętrznych, określa profil kompetencji przywódczych z wykorzystaniem m.in. skaningowej diagnostyki termoregulacyjnej, czyli STRD.



Kod przywództwa

Żadna inna armia Europy nie ma tak nowoczesnego ośrodka naukowego, w którym bada się kompetencje przywódcze oficerów.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Po co to wszystko? „Przywództwo i dowodzenie nie są tożsame”, wyjaśnia mjr rez. dr Gustaw Michalewski, współtwórca laboratorium, kierownik Zakładu Teorii Przywództwa. Dodaje, że przywódcą w pododdziale jest osoba, która ma odpowiednie predyspozycje, charyzmę, autorytet. To sprawdzony towarzysz broni, za którym inni pójdą nawet w ogień.

Są osoby, o których mówi się – urodzeni liderzy. Przywódcami mogą jednak zostać również ci, którzy takiego daru od losu nie otrzymali. Jeśli zostaną odpowiednio zdiagnozowani, to dzięki zaangażowaniu, żmudnym ćwiczeniom i uporowi potrafią rozwinąć

w sobie cechy przywódcze, mogą nauczyć się budowania odpowiednich relacji w zespołach i nabyć kompetencje niezbędne do przewodzenia. Dlatego od lat wiele firm wykorzystuje badania naukowe do przygotowania skutecznych liderów, m.in. dzieje się tak w biznesie. Wojsko nie pozostaje w tej dziedzinie w tyle. Dowódca z kompetencjami przywódcy to przecież ideał, do którego w armii dąży się od zawsze. Taki absolwent wyższej uczelni wojskowej to gwarancja dobrego wykonania najtrudniejszych zadań przez pododdziały, którymi będzie dowodził. Dlatego właśnie w AWL-u powstało laboratorium przywództwa.

Stworzono je dzięki projektowi Unii Europejskiej, który miał na celu zorganizowanie w europejskich armiach akademii liderów. Naukowcy wrocławskiej uczelni nawiązali współpracę z kolegami z Portugalii i Grecji. Jednym z jej założeń było przygotowanie i organizowanie międzynarodowych kursów dla liderów. Polacy kierujący projektem postanowili w jego ramach utworzyć laboratorium kompetencji przywódczych. Portugalczycy wzięli na siebie zadanie stworzenia ośrodka medialnego do treningów z komunikacji i jej skuteczności. Wojskowi z Grecji zajęli się tematyką zarządzania kryzysowego. W ten sposób dzięki unijnemu projektowi w AWL-u zaczęła powstawać unikatowa placówka badawcza, jakiej nie ma jeszcze w innych armiach Europy.

RÓWNOWAGA W ORGANIZMIE

Każdy człowiek ma w sobie neuroprzełączniki nazywane także neurotransmiterami. Są to związki chemiczne zajmujące się przenoszeniem sygnałów z komórek nerwowych do mięśni i gruczołów. Każdy neuroprzełącznik pełni w organizmie inną funkcję. Brak któregoś z nich, jego nadmiar lub niedobór niesie ze sobą określone konsekwencje. Powoduje m.in., że ktoś ma wrodzone predyspozycje do kierowania ludźmi, a ktoś inny musi się tego dopiero nauczyć. Ich poziom w organizmie można





PRACOWNICY NAUKOWI LABORATORIUM MOGĄ SPRAWIĆ, ŻE W POMIESZCZENIU TEMPERATURA NAGLE WZROŚNIE NAWET DO OKOŁO 50 STOPNI CELSJUSZA ALBO GWAŁTOWNIE SPADNIE I ZACZNIE WIAĆ SILNY WIATR

regulować za pomocą diety. Suplementacja pomaga jednak na krótki czas. Wybrane neuroprzekaźniki można wzmacniać także farmakologicznie. Najlepsze efekty dają jednak specjalnie dobrane i systematyczne treningi, np. logicznego myślenia.

Badania prowadzone w laboratorium przywództwa określają poziom najważniejszych neuroprzekaźników

w organizmie badanych w różnych sytuacjach. Dzięki specjalistycznym programom komputerowym sumującym wyniki, można stworzyć profil osobowościowy danego człowieka. Badania nie są ani bolesne, ani nieprzyjemne. Głównym sprawdzianem jest skanowanie badanego specjalnym przyrządem blisko miejsc, którymi w ciele przepływają neuroprzekaźniki. Okulograf zaś

służy do oceny zachowań w czasie podejmowania decyzji poprzez skanowanie gałki oka.

TRYB DOŚWIADCZALNY

Niektórzy oficerowie mają obawy przed wejściem do laboratorium, ponieważ mogą dowiedzieć się o sobie czegoś, co może im się nie spodobać. Zdecydowana większość zapraszanych

Pomysł utworzenia laboratorium przywództwa zrodził się w 2016 roku w ówczesnej Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Grupa wykładowców, m.in. mjr dr Piotr Pietrakowski, mjr rez. dr Gustaw Michalewski, opracowała plan stworzenia placówki badawczej, w której w sposób naukowy można by określać, czy kandydat na oficera ma cechy przywódcy.



KOMENTARZ

PIOTR PIETRAKOWSKI

Przewodzenie to działanie często wykraczające poza procedury, regulaminy i utarte służbowe schematy. Idealnie byłoby, gdyby każdy absolwent naszej akademii, oficer i przyszły dowódca, miał odpowiednie umiejętności. Dlatego chcemy tak przygotować podchorążych, żeby potrafili

podejmować trafne decyzje w trudnych warunkach. Sprawdzamy, czy są w stanie dowodzić w sytuacjach zmęczenia i stresu. Dzięki badaniom jesteśmy w stanie określić, czy podchorążowie mają zdolność budowania zespołów oraz czy umieją kształtować w nich właściwe relacje. ■

Mjr dr PIOTR PIETRAKOWSKI jest współtwórcą i kierownikiem laboratorium przywództwa w Instytucie Przywództwa Wydziału Zarządzania Akademii Wojsk Lądowych.

NEUROTRANSMITERY

Kompetencje przywódcze zależą m.in. od poziomu w organizmie takich związków, jak serotonina, dopamina, acetylocholina oraz GABA.

Serotonina odpowiada m.in. za umiejętność budowania zespołów. Dopamina ma wpływ na samomotywację i umiejętność motywowania innych, daje bodźce niezbędne do podtrzymania woli przetrwa-

nia, wykonania postawionych zadań. Acetylocholina jest neurotransmiterem mającym wpływ na umiejętność przewidywania różnych sytuacji. Związki chemiczne GABA odpowiadają z kolei za relacje z ludźmi. ■

poddaje się jednak badaniom bez wahania. „Testy w dużym stopniu potwierdziły to, co już wiem o sobie, a usłyszałem np., że muszę popracować nad skrupulatnością i stanowczością wobec osób, które mi podlegają”, mówi tuż po badaniach plut. pchor. Daniel Pomian, student III roku studiów I stopnia na kierunku dowodzenie.

Na razie laboratorium działa w trybie doświadczalnym. Pracujący tam naukowcy dążą do tego, by móc określać profil osobowościowy kandydata na oficera – dowódcę i jego przydatność w specjalności, w której ten chce się

kształcić. Chodzi o to, aby w wypadku stwierdzenia braków na początku edukacji można je było wyeliminować w czasie studiów. Dlatego już teraz na dużą skalę są prowadzone badania podchorążych pierwszego rocznika i będą one powtarzane w kolejnych latach.

Pracownicy laboratorium są przekonani, że za kilka lat takie badania, po unormowaniu odpowiednimi przepisami, będą wykorzystywane przy naborze kandydatów na studia wojskowe, tworzeniu programów kształcenia, a nawet brane pod uwagę podczas podejmowania decyzji kadrowych na róż-

nych szczeblach. Na razie jednak, jeśli chodzi o tę dziedzinę, to jest jeszcze wiele niejasności w sferze moralnej. Istnieją np. obawy, że perfekcyjnie wytrenowany menadżer czy dowódca zatraci empatię. Dlatego laboratorium na razie nie wydaje ocen, które mogłyby mieć wpływ na procesy decyzyjne. Wyniki badań całych pododdziałów są obecnie dla ich dowódców jedynie wskazówką, na co powinni zwracać uwagę, chcąc jeszcze bardziej skonsolidować zespół, którym kierują, i receptą na to, jak mogą usprawnić ich działanie. ■



NIE BÓJ SIĘ OGNIA

Jak opanować strach przed płomieniami? W jaki sposób szybko ugasić na sobie palący się mundur? Tego uczyli się żołnierze podczas podstawowych zajęć z cyklu fire phobia.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

W szkoleniu organizowanym w 6 Batalionie Powietrznodesantowym wzięło udział 40 rezerwistów. „Podczas zajęć żołnierze muszą przede wszystkim pokonać barierę psychiczną i naturalny strach przed ogniem czy poparzeniem. Następnie uczą się, jak postępować w wypadku po-

rażenia improwizowanymi środkami zapalającymi. Ta wiedza może im się przydać nie tylko na polu walki czy na poligonie, lecz także w życiu codziennym”, mówi plut. Hubert Sołoducha, instruktor z 6 Batalionu Powietrznodesantowego.

Szkolenie zostało podzielone na dwie części: teoretyczną i praktyczną. Po wykładach na temat

W SZKOLENIU
WYKORZYSTY-
WANO METODY
POZORACJI,
NP. ŁATWOPAL-
NY AEROZOL,
KTÓRY JEST
BEZPIECZNY
DLA SKÓRY
I NIE NISZCZY
UMUNDURO-
WANIA

SEBASTIAN BRZEZINA / 6 BPD (3)





lęku przed ogniem, rodzajów poparzeń, udzielania pomocy poszkodowanym spadochroniarze uczyli się, jak bez użycia odpowiednich środków ugasić ogień na poszczególnych częściach swojego ciała oraz jak udzielić pomocy koledze, np. za pomocą koca gaśniczego.

„Liczą się opanowanie i spokój. Nie możemy np. machać ręką, na której mamy płomień, bo w ten sposób tylko bardziej go rozpalamy. Trzeba zacisnąć pięść, podnieść rękę do góry i pozwoli zduszać ogień, wcierać go tak, żeby odciąć dopływ powietrza”, dodaje plut. Sołoducha. Jak przyznają żołnierze, największym wyzwaniem było jednak ugaszenie płonącej klatki piersiowej. „Tutaj największym ryzykiem jest popa-

rzenie górnych dróg oddechowych. Dlatego jak najszybciej trzeba jedną ręką zasłonić twarz, a drugą próbować zdusić ogień”, wyjaśnia por. rez. Włodzimierz Świerczak.

Najczęściej polscy żołnierze przechodzą zajęcia z cyklu fire phobia w czasie szkoleń przed misjami zagranicznymi czy programowych kursów przygotowujących ich do służby m.in. w grupach bojowych Unii Europejskiej. Wówczas tego typu treningi są bardziej rozbudowane, bo wpisują się w cykl szkolenia z CRC (Crowd and Riot Control). Żołnierze uczą się kontroli nad tłumem, a także postępowania w wypadku użycia przez demonstrantów łatwopalnych substancji. ■



PODCZAS SZKOLENIA
W 6 BATALIONIE
POWIETRZNODESAN-
TOWYM REZERWISCI
MAJĄ ZAJĘCIA OGNIO-
WE, POZNAJĄ POD-
STAWY SURVIVALU,
TERENOZNAWSTWA
ORAZ DOSKONAŁĄ SIĘ
WE WSPINACZCE





Bsmt KAROL KOŁACKI, ratownik medyczny (z lewej): „Otrzymaliśmy nowe nosze. Starsze miały półmiękką konstrukcję, te są sztywne. Łatwiej wciągnąć je na pokład, a do tego zapewniają poszkodowanemu lepszą ochronę. Mają też pływaki, więc możliwe jest podjęcie rozbitka wprost z wody” Do wyposażenia weszły też nowe defibrylatory i urządzenie do uciskania klatki piersiowej”.

Erka nad Bałtykiem

Niedawno zakończył się rozłożony na kilka lat proces modernizacji śmigłowców ratownictwa morskiego Anakonda, ale odświeżone maszyny zdążyły już wziąć udział w blisko stu akcjach.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Złoga dyżurna została postawiona na nogi krótko przed 13.00. Półtorej mili od wejścia do portu w Gdyni zatonął jacht. W wodzie znalazło się dwóch mężczyzn. Jak się później okazało, obaj byli doświadczonymi żeglarzami. Po kilkunastu minutach śmigłowiec był już w powietrzu. Przez dłuższą chwilę krążył w miejscu, gdzie doszło do wypadku. Rozbitków trudno było wypatrzeć w szarzielonej wodzie. Tym bardziej że wraz z sygnałem SOS podali złe współrzędne.

Sytuacja była dramatyczna, wszystko działo się niezwykle szybko... W końcu żeglarzy udało się namierzyć. Śmigłowiec stanął w zawisie. Do wody po jednego z mężczyzn zo-

stał opuszczony ratownik. Drugi rozbitek trafił na pokład cywilnego statku ratowniczego. „Poszkodowani spędzili w wodzie blisko dwie godziny. Widać jednak, że mieli ogromną wolę przetrwania. Mimo hipotermii przeżyli”, wyjaśnia kmdr ppor. Marcin Braszak, rzecznik Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej w Gdyni.

NAJWAŻNIEJSZE W ŚRODKU

Ta akcja z 23 maja 2020 roku była jak bojowy chrzest ostatniego z ośmiu zmodernizowanych śmigłowców W-3WARM Anakonda, który wrócił do macierzystej bazy z fabryki PLZ-Świdnik. Wybieram się więc do Gdyni, by

System identyfikacji jednostek pływających AIS, głowica optoelektroniczna z dwiema kamerami (na zdjęciu), nowy sprzęt ratowniczy – tak dzięki modernizacji zmieniły się śmigłowce ratownictwa morskiego Anakonda.



ŁUKASZ ZALESIŃSKI (2)

PO MODERNIZACJI ANAKONDY POZOSTANĄ W SŁUŻBIE PRZEZ KOLEJNE LATY. DO KOŃCA 2022 ROKU POLSKA MA OTRZYMAĆ CZTERY ŚMIGŁOWCE AW101

zobaczyć, jak bardzo zmieniły się maszyny, z których polscy lotnicy korzystają już od trzech dekad.

Na lotnisku w Babich Dołach zjawiam się kilka dni po akcji ratowania rozbitków z jachtu. Dziś dyżur pełni ten sam śmigłowiec, ale z inną załogą. Lotnicy nie zostali przypisani

do konkretnych maszyn i właśnie chociażby z tego powodu modernizacja anakond jest dla nich sporym ułatwieniem. Ale o tym za chwilę.

Na razie jadę do budynku, w którym załoga zwykle oczekuje na sygnał do wylotu. Śmigłowiec stoi tuż obok, a zmiany widać już na pierwszy rzut oka. Anakonda zmieniła barwy. Kiedyś ratownicze W-3WARM były białoczerwone. Z daleka przypominały trochę powietrzne karetki. Po modernizacji kadłuby stały się szare, mają też pomarańczowe elementy. Najważniejsze jest jednak to co w środku. „Zacznijmy od tego, że anakondy mają teraz identyczne wyposażenie, taki sam jest też rozkład urządzeń w kabinach. Dzięki temu, niezależnie od tego, do której maszyny wsiadamy, wiele działań możemy wykonywać automatycznie. To niezwykle ważne zwłaszcza podczas akcji ratunkowych, gdzie ogromne znaczenie ma każda minuta”, tłumaczy kpt. pil. Paweł Januszko, pierwszy pilot w załodze anakondy. Każdy ze śmigłowców został wyposażony w system cyfrowego sterowania silnikami FADEC. „Pozwala on na skrócenie procedur związanych z uruchomieniem silników. Potrafi również samodzielnie zlokalizować awarię i zareagować na nią, np. regulując moc silników”, podkreśla st. chor. sztab. Edward Sokołowski, technik pokładowy. FADEC przydaje się też podczas trenowania procedur awaryjnych. Wcześniej, gdy załogi ćwiczyły lądowanie na jednym silniku, drugi wyłączały. Nowe rozwiązania pozwalają, by pracował, ale na mniejszych obrotach. Jeśli sytuacja tego wymaga, natychmiast wraca on do normalnego trybu. Taki trening jest dla lotników bezpieczniejszy.

LOT PO SZNURKU

„Bardzo przydatną nowością jest też system automatycznej identyfikacji jednostek pływających, czyli AIS”, podkreśla kpt. pil. Januszko. „Kiedyś, lecąc do promu czy kutra, opieraliśmy się na współrzędnych, które spływały do nas na początku akcji. Tyle że jednostki na morzu zwykle pozostają w ruchu, więc musieliśmy być w ciągłym kontakcie z ich załogami, które przekazywały nam nowe dane”, wspomina. Szczególnie uciążliwe było to w nocy. „Podczas jednej z akcji załoga, w której akurat służyłem, musiała dotrzeć do promu. Lecimy. Nagle w ciemności widzimy światła dużego statku idącego wskazanym nam wcześniej kursem. Podlatujemy – to nie ten. Kawałek dalej kolejny statek. Zniżamy pułap – znów nie ten. Dopiero za trzecim razem udało się trafić”, wspomina st. chor. sztab. Sokołowski. „Na Bałtyku panuje naprawdę spory ruch, więc takie sytuacje mogą się zdarzyć. Receptą na to jest właśnie AIS. W system muszą być wyposażone wszystkie duże jednostki pływające. Właściciele mniejszych też często decydują się na jego zakup, ➔

choć prawo nie nakłada na nich takiego wymogu. Jak to działa? Najprościej rzecz ujmując, AIS wysyła w przestrzeń krótką aktualną informację o statku, którą mogą odczytywać inni użytkownicy systemu. „W ten sposób do danej jednostki możemy dotrzeć jak po sznurku”, podkreśla por. pil. Piotr Łukasiewicz, drugi pilot anakondy. W załodze W-3WARM odpowiedzialny za to jest siedzący z tyłu maszyny technik pokładowy.

W dotarciu na miejsce akcji pomaga też nowy odbiornik GPS. „Ma on poręczny dotykowy wyświetlacz. Można go zsynchronizować z radarem pogodowym, dzięki czemu na jednym monitorze mamy aktualne informacje na temat warunków atmosferycznych na planowanej trasie przelotu”, tłumaczy drugi pilot. Za sprawą nowego wyposażenia łatwiej też prowadzić samą ewakuację czy poszukiwać rozbitków.

NOWE STARE ANAKONDY

Tymczasem idę na płytę, by jeszcze raz, tym razem z bliska, przyjrzeć się starej nowej anakondzie. Por. pil. Łukasiewicz wskazuje na czarną ruchomą kulę ze szklanymi przesłonami, która została zamontowana po prawej stronie kadłuba. „Głowica optoelektroniczna”, wyjaśnia. W jej wnętrzu znajdują się dwie kamery. „Pierwsza, wyposażona w solidny zoom, służy do poszukiwań przy świetle dziennym, druga to kamera termowizyjna sprzężona z reflektorem szperaczem”, wylicza drugi pilot. Reflektor został umieszczony po lewej stronie kadłuba. Jak przyznają lotnicy, wcześniej nie miał go tylko jeden śmigłowiec W-3WARM. Sprzęt jednak psuł się i załogi nie rzadko były zmuszone prowadzić poszukiwania, używając podstawowego oświetlenia maszyn.

Na tym jednak nie koniec. Operator może teraz wybrać zakres pola, który kamery będą lustrować, same zaś urządzenia mają funkcję śledzenia wskazanego celu. „To bardzo ważne, bo rozbitka na morzu nie tylko bardzo trudno wypatrzyć, ale też stosunkowo łatwo stracić go z oczu”, podkreśla por. pil. Łukasiewicz.

Głowica ma również laserowy dalmierz. „Z jego pomocą można określić odległość dzielącą nas od celu, ale podczas akcji raczej go nie używamy, by nie oślepić załóg jednostek pływających czy rozbitków. Dalmierz przydaje się za to podczas szkolenia”, wyjaśnia por. pil. Łukasiewicz. Pracą kamer i szperacza zawiaduje drugi pilot. Jego zadania może jednak także przejąć siedzący z tyłu technik pokładowy.

Po modernizacji w anakondach pojawił się wreszcie nowy sprzęt ratowniczy. „Otrzymaliśmy nowe nosze. Starsze miały półmieszką konstrukcję, te są sztywne. Łatwiej wciągnąć je na pokład, a do tego zapewniają poszkodowanemu lepszą ochronę. Mają też pływak, więc możliwe jest podjęcie rozbitka wprost z wody”, zaznacza bsmt Karol

BRYGADA LOTNICTWA MARYNARKI WOJENNEJ JAKO JEDYNA FORMACJA W KRAJU PROWADZI AKCJE POSZUKIWAWCZE I RATOWNICZE Z POWIETRZA NAD POLSKIMI WODAMI BAŁTYKU

Kołacki, ratownik medyczny. Do wyposażenia weszły też nowe defibrylatory i urządzenie do uciskania klatki piersiowej. „Wcześniej masaż serca mogliśmy zacząć dopiero po tym, jak poszkodowany znalazł się na pokładzie śmigłowca. Teraz odbywa się to już w chwili umieszczenia go na noszach”, podkreśla ratownik i dodaje: „Pewnie nigdy nie będziemy tak dobrze wyposażeni jak erka. U nas po prostu nie ma tak wiele miejsca. Mamy jednak podstawowy sprzęt do podtrzymywania życia. Co więcej – jest on sukcesywnie ulepszany. Do tego podczas akcji na pokładzie często są

zarówno ratownik medyczny, jak i lekarz. Kiedyś w załodze zwykle był tylko pierwszy z nich”.

TRZY DEKADY W POWIETRZU

Pierwsze śmigłowce W-3 trafiły do Gdyni w 1989 roku. „Były to dwie maszyny w wersji transportowej. Początkowo cała produkcja miała iść do ZSRR, ale sytuacja polityczna zmieniła się, a decydenci nie bardzo wiedzieli, co zrobić ze śmigłowcami”, wyjaśnia kmr ppor. Braszak. Wkrótce pojawił się pomysł, by przystosować je do potrzeb ratownictwa morskiego. Ruszyły testy śmigłowca o nowym przeznaczeniu, wyposażonego m.in. w nadmuchiwane pływalki. Pierwsze W-3 w wersji RM weszły do służby trzy lata później.

Dziś ratowniczych anakond jest łącznie osiem. Ich modernizacja połączona z ujednolicaniem wyposażenia rozpoczęła się w 2014 roku i trwała przez sześć lat. Jak powtarzają lotnicy, była niezbędna, ponieważ śmigłowce są bardzo intensywnie eksploatowane. Brygada Lotnictwa Marynarki Wojennej jako jedyna formacja w kraju prowadzi akcje poszukiwawcze i ratownicze z powietrza nad polskimi wodami Bałtyku. Załogi są wystawiane do całodobowych dyżurów zarówno w Gdyni, jak i Darłowie. Lotnicy morsej korzystają też z dwóch śmigłowców Mi-14PŁ/R. Dyżurne załogi bywają wspierane też przez samoloty Bryza z Siemierowic.

Do tej pory BLMW przeprowadziła blisko 700 akcji ratowniczych. W ubiegłym roku śmigłowce i samoloty były podrywane w powietrzu 27 razy. A zmodernizowane anakondy zdążyły już wziąć udział w blisko stu akcjach... „Nowe rozwiązania zastosowane podczas modernizacji są oczywiście przydatne, choć w śmigłowcach brakuje jeszcze choćby autopilota. Podczas akcji poszukiwawczo-ratowniczych ma on niebagatelne znaczenie. Autopilota spina się na przykład z GPS-em, maszyna przemieszcza się sama, a reszta załogi koncentruje się na samych poszukiwaniach”, tłumaczy kpt. pil. Januszko.

Po modernizacji anakondy pozostaną w służbie przez kolejne lata. Do końca 2022 roku Polska ma otrzymać cztery śmigłowce AW101. Będą one przeznaczone zarówno do zwalczania okrętów podwodnych, jak i ratownictwa morskiego. ■

Trzy lata temu wyszkolił się pan na pilota samolotu Gulfstream G550. Z ciężkiego globemastera przesiadł się pan do ekskluzywnego odrzutowca. Jakie to wrażenie?

Niektórzy mówią, że samolot lata tak, jak wygląda. W wypadku gulfstreama to powiedzenie się sprawdza. Na mnie jednak największe wrażenie robią osiągi tej maszyny! Jest szybka, mocna, komfortowa w pilotażu i ma globalny zasięg. W powietrzu bez przerwy może spędzić 14 godzin. Mieliśmy już okazję wykonać lot, który trwał ponad 11 godzin – z Oakland koło San Francisco do Warszawy.

Pana droga do pilotowania gulfstreama była ciekawa. Zaczynał pan latanie na An-2, a między tymi maszynami jest technologiczna przepaść!

Chciałem zostać pilotem samolotów naddźwiękowych, ale ze względu na problemy zdrowotne musiałem zmienić plany. Początkowo byłem lekko załamany. Moi koledzy latali na MiG-21, a ja na An-2, który już wtedy był zaprzeczeniem współczesnej techniki lotniczej. Dość szybko się z tego otrząsałem. W Balicach poznałem wspaniałych ludzi, tak więc służba była czystą przyjemnością. Do czasu. Opowiem pani anegdotę: wzdłuż pasa startowego w tamtejszej bazie biegnie autostrada A4. Kiedyś, gdy nie było na niej bramek, zobaczyłem, że samochód osobowy jedzie szybciej, niż ja lecę An-2. Ten moment przesądził o moim rozwoju zawodowym. Zacząłem się na serio uczyć języka angielskiego, bo zdałem sobie sprawę, że bez niego w lotnictwie niewiele można zrobić. Poprosiłem także o przeszkolenie na An-26.

Przecież to też jest poradziecka konstrukcja.

Ten samolot dawał jednak już większe możliwości. Przekonałem się też, że lotnictwo transportowe może być wyzwaniem. Zamiast krążyć wokół swojego lotniska, można na przykład lecieć 20 razy do Poznania, za każdym razem inną trasą. Uczyć się ciągle czegoś nowego. Podjąłem też studia w Akademii Obrony Narodowej [obecnie Akademia Sztuki Wojennej], a po powrocie do Krakowa wyszkoliłem się jako

drugi pilot, a potem dowódca załogi, na C-295. Wtedy poznałem zachodni model szkolenia i nowoczesną technikę lotniczą. To było bardzo cenne doświadczenie, zwłaszcza że kolejne wyzwania czekały tuż za rogiem...

LATA SIĘ PIĘKNIE!

Czyli na Węgrzech?

W 2009 roku, jako szef szkolenia 13 Eskadry Lotnictwa Transportowego odszedłem z balickiej jednostki, bo zakwalifikowałem się do programu Strategic Airlift Capability i rozpocząłem służbę w Skrzydle Ciężkiego Transportu w bazie Pápa. Razem z kolegą byliśmy pierwszymi Polakami, którzy wyszkolili się na C-17 Globemaster.

Wtedy poznał pan kolejną szkołę latania. Amerykańską.

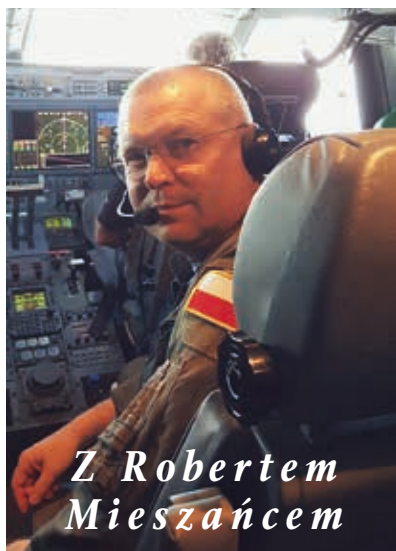
Tak, bo szkolenie na C-17 odbywało się w Stanach Zjednoczonych. Wówczas przekonałem się, jakie znaczenie ma szkolenie symulatorowe. Wylatałem w ten sposób około 130 godzin w czasie tzw. przeszkolenia na typ, a potem odbyłem zaledwie trzy loty, co daje łącznie około dziewięciu godzin za sterami samolotu.

W 8 Bazie Lotnictwa Transportowego jest przecież symulator C-295M. W ten sposób szkolili się też załogi w hiszpańskiej Sewilli.

Kiedy rozpoczynałem szkolenie na C-295M, nie było symulatora nawet w Hiszpanii. Co to oznaczało? A na przykład to, że nie można było przećwiczyć wszystkich procedur awaryjnych. Kiedyś policzyłem, że instrukcja dla C-295M opisuje 95 sytuacji awaryjnych. Dziesięć z nich bez zagrożenia dla bezpieczeństwa załogi i samolotu można przećwiczyć w powietrzu. Kolejnych 20 można również sprawdzić w ten sposób,

ale już w niepełnym zakresie. Ponad 60 przypadków w ogóle nie da się przećwiczyć, bo jest to zbyt duże zagrożenie dla załogi i samolotu. Jak przetrenować pożar silnika, skrzydła lub pokładu? Nie da się! Po to są właśnie symulatory.

Jako pilot C-295M, a potem C-17, latał pan nie tylko w całej Europie, lecz także w rejonach konfliktów zbrojnych: do Iraku, Afganistanu czy Afryki.



Z Robertem
Mieszaniec

*o specyfice pilotowania
odrzutowca Gulfstream
G550 i wyjątkowych
pasażerach rozmawia
Magdalena
Kowalska-Sendek.*

ARCH. PRYWATNE



Tak, zajmowałem się także taktyką w lotnictwie transportowym. Byłem pierwszym Polakiem, który wyszkolił się na pokładowego instruktora taktycznego. Wszystkie te doświadczenia, szczególnie zdobyte na C-17, dziś procentują.

Dziś jest pan dowódcą eskadry samolotów dla VIP-ów. Czy miał pan wpływ na dobór pilotów, którzy latają z najważniejszymi osobami w Polsce?

Nabór był wyzwaniem. O zatrudnieniu decydowały rozmowy kwalifikacyjne prowadzone przez komisję, której byłem członkiem wraz z dowódcami 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego i 1 Bazy Lotnictwa Transportowego, a także lektorami języka angielskiego i psychologiem. Musieliśmy dokładnie sprawdzić kandydatów, bo zadania, które przed nimi stawialiśmy, wymagały szczególnych predyspozycji.

Jakich pilotów pan potrzebował?

Zależało mi na ludziach, którzy mają doświadczenie w lotach samolotami wielosilnikowymi i we współpracy z kilkusobową załogą. Takich, którzy dużo latali poza granice kraju, i tych, którzy wykonują loty IFR [Instrument Flight Rules], czyli według przyrządów. Na dodatek bardzo dobrze znają język angielski. Potrzebowałem ludzi, którzy są już ustabilizowani życiowo i emocjonalnie. Kryteria naboru były surowe, ale też mieliśmy bardzo mało czasu na osiągnięcie gotowości do wykonywania zadań operacyjnych. Udało mi się ściągnąć do eskadry pilotów, którzy w większości mieli doświadczenie wyniesione z latania na samolotach turbośmigłowych, ale mamy też takich z maszyn odrzutowych.

W eskadrze służą zatem piloci z baz lotniczych w Balicach i Powidzu?

Tak. Mamy pilotów, którzy wcześniej latali na C-295M, C-130, C-17 i M-28. Tych ludzi cechują opanowanie, odporność na stres, otwartość. Są gotowi na wyzwania, nie boją się podejmować decyzji, chcą się uczyć nowych rzeczy. Mają doświadczenie w wykonywaniu misji krajowych i zagranicznych, są odpowiedzialni i samodzielni.

Wybraliście kilkunastu pilotów i skierowaliście na szkolenie. Pan też takie odbył?

Programy szkolenia pilotów gulfstreama i boeinga były zbliżone, bo bazowały na cywilnych



wytycznych. Jest to związane z tym, że wykonujemy loty w przestrzeni cywilnej, musimy więc być tak samo wyszkoleni jak na przykład piloci komercyjnych linii lotniczych. W tworzeniu programów szkolenia na oba samoloty pomagali nam amerykańscy instruktorzy. Piloci G550 szkolenie zaczęli w USA, a boeinga – w Gatwick pod Londynem. Na początek była teoria połączona z treningiem symulatorowym, tzw. type rating, czyli na dany typ samolotu. Zdecydowana większość ćwiczeń odbywała się w trudnych warunkach pogodowych. Lataliśmy więc przy bardzo ograniczonej widzialności, przy oblodzeniu, w wysokich temperaturach. Później pod okiem amerykańskich instruktorów szkoliliśmy się już w Polsce. Większość instruktorów z firmy Gulfstream to byli piloci z 89 Skrzydła Lotnictwa Transportowego, znanego także jako Air Force One.

Byli wymagający?

Oczywiście, ale przede wszystkim bardzo drobiazgowi. Po jednym z początkowych lotów instruktor nas pochwalił, a na debriefing przyniósł



Pierwszy z trzech boeingów 737-800 wylądował w Polsce w listopadzie 2017 roku, kolejne dwa mają dotrzeć do kraju jesienią 2020. We flocie maszyn vipowskich mamy także dwa małe samoloty Gulfstream G550.



WIZYTÓWKA

PPŁK PIL. ROBERT MIESZANIEC

Jest dowódcą eskadry lotniczej w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego w Warszawie. Pilotował An-2, An-26, C-295M, C-17 i G550 Gulfstream. Jego nalot życiowy to około 4 tys. godzin.

kilka stron notatek z uwagami. Według niego to były drobiazgi, ale w lataniu z VIP-ami właśnie szczegóły są bardzo ważne.

Jakie szczegóły ma pan na myśli?

Gdy przewożymy najważniejsze osoby w państwie, trzeba zwracać uwagę na przykład na punktualność. Nie można przylecieć ani za późno, ani za wcześnie, bo często jest to związane z całym protokołem dyplomatycznym. Te loty muszą też być komfortowe dla pasażerów. Na pokładzie naszych samolotów prezydent lub premier często pracują, przygotowują się na przykład do jakiegoś ważnego spotkania. Dlatego nawet sposób sterowania przednim kołem podczas kołowania ma tutaj znaczenie.

Na pokładzie waszych samolotów podróżują najważniejsze osoby w państwie. Czy dla pilotów ma znaczenie, kto jest pasażerem?

Oczywiście, zawsze gdzieś w głowie kołacze się myśl o tym, jak ważna osoba z nami leci. Dla nas jednak każdy pasażer jest tak samo ważny. Myślę, że najbardziej stresujące są jednak loty z małymi pacjentami. Zawsze jest obawa, czy w czasie podróży stan dziecka nagle się nie pogorszy.

To dość nietypowe zadanie dla załogi maszyn vipowskich.

Ale jakie ważne! Wojsko wielokrotnie pomagało chorym dzieciom, które leciały na leczenie za ocean. W takim wypadku pacjentami na pokładzie zajmuje się personel Zespołu Ewakuacji Medycznej. To duże przeżycie, bo mamy świadomość, że pomagamy ratować czyjeś życie. Zwłaszcza teraz, w czasie pandemii, gdy wstrzymano loty zagraniczne, to był jedyny ratunek dla dzieci.

Mamy wyszkolonych pilotów i trzy samoloty. Co dalej?

Cały czas wykonujemy loty operacyjne i treningowe, nasze gulfstreamy spędziły już w powietrzu ponad tysiąc godzin każdy. Byliśmy niemal we wszystkich krajach europejskich, na Bliskim Wschodzie, w USA, Kanadzie, Japonii, Korei Południowej. Poza tym szkolimy też następne załogi boeingów. Chciałbym, aby personel był gotowy do wykonywania zadań, zanim kolejne duże samoloty wylądują w Polsce. Przygotowujemy się też do szkolenia mechaników, tzw. crew chief. Docelowo chcemy, by do każdego z samolotów była przypisana osoba, która zna tę maszynę od podszewki. Taki specjalista jest potrzebny w czasie podróży na lotniskach z ograniczoną dostępnością obsługi naziemnej, zwłaszcza gdy nocujemy poza granicami kraju.

ST. SZER. AGNIESZKA ALABRUDZIŃSKA-RYCHTER



Data i miejsce urodzenia: 16 października 1985 roku, Stargard.

W wojsku służy od:
6 marca 2014 roku.

Zajmowane stanowisko:
strzelec w 12 Brygadzie
Zmechanizowanej.

EDUKACJA WOJSKOWA:

Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, służba przygotowawcza.

ZOSTAŁAM ŻOŁNIERZEM, BO:

służba, współdziałanie i zaangażowanie żołnierzy zapewniają zarówno bezpieczeństwo ojczyźnie, jak i szeroką pomoc społeczeństwu.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

mam nadzieję, że jest jeszcze przede mną. Jestem dumna z żołnierzy 12 Brygady, w szczególności z 2 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej, którzy angażują się w wiele akcji charytatywnych, takich jak „Szlachetna Paczka” czy „Paczka dla Bohatera”.

MISJE I ĆWICZENIA:

do tej pory nie wyjeżdżałam na misje zagraniczne, ale uczestniczę we wszystkich ćwiczeniach batalionu, bo każde z nich jest cennym doświadczeniem. Brałam udział w międzynarodowych manewrach „Anakonda”, „Dragon” i „Saber Strike”.

NAJLEPSZA BRON:

moja etatowa, czyli kbk Beryl kalibru 5,56 mm.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBA MI SIĘ:

naszywka w barwach narodowych, bo to ona jest naszą wizytówką np. w czasie spotkań z obcokrajowcami. Ten symbol podkreśla dumę z naszej ojczyzny.



CHCIAŁABYM, ŻEBY KAŻDY
W WOJSKU MIAŁ MOŻLIWOŚĆ
SKOKU ZE SPADOCHRONEM

HOBBY:



sport



muzyka



literatura



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. BŁAŻEJ ŁUKASZEWSKI / 12 BZ

Zawiszacy z 15 Brygady zabrali ze sobą na Łotwę wyposażenie indywidualne, a także czołgi PT-91 Twardy.



ADRIAN STASZEWSKI / 15 BZ

Razem, a nie obok siebie

Od trzech lat na wschodniej flance NATO i w państwach bałtyckich stacjonują batalionowe grupy bojowe. Polska nie tylko gości jedną z nich, ale także skierowała swój kontyngent na Łotwę.

MAGDALENA MIERNICKA

Ponad 1500 żołnierzy z dziewięciu państw ramię w ramię służy na Łotwie, aby zadbać o bezpieczeństwo wschodniej flanki NATO. Stacjonującą w Ādaži Batalionową Grupę Bojową NATO tworzą reprezentanci Albanii, Czech, Czarnogóry, Hiszpanii, Kanady, Słowacji, Słowenii, Włoch, a także Polski. Jeszcze w czerwcu na misję wyjechało ponad 150 żołnierzy z 15 Brygady Zmechanizowanej, 1 Brygady Logistycznej oraz innych jednostek.

Zawiszacy z 15 Brygady zabrali ze sobą na Łotwę wyposażenie indywidualne, a także czołgi PT-91 Twardy. To jedno z nielicznych ciężkich pojazdów pancernych w tym regionie.

„Transport naszych czołgów zajął mniej więcej dziesięć godzin. Musieliśmy pokonać jakieś 500 km. Wszystko poszło zgodnie z planem. Dla nas taki przerzut nie jest niczym nowym, robiliśmy to już kilka razy”, relacjonuje mjr Maciej Sulewski, dowódca VII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego na Łotwie.

Kiedy żołnierze dotarli do bazy, przejęli obowiązki od swoich poprzedników, czyli żołnierzy z 9 Brygady Kawalerii Pancernej. Była to pierwsza z dziewięciu rotacji kontyngentu podczas VII zmiany w ramach eFP (enhanced Forward Presence, czyli wzmocniona wysunięta obecność NATO). „Zostaliśmy dobrze przyjęci. Wszyscy są tutaj bardzo otwarci. Zresztą wielu żołnierzy ma już za sobą →



TRZY PYTANIA DO

Bogdana Rycerskiego

Przegotowania do wyjazdu rozpoczęła właśnie VIII zmiana PKW Łotwa. Czy za każdym razem żołnierze przygotowują się tak samo, czy może są wdrażane jakieś nowe elementy, z wykorzystaniem dotychczasowych doświadczeń?

To, jak kontyngent przygotowuje się do wyjazdu na misję – jego skład, zakres obowiązków żołnierzy czy samego działania – jest określone przez Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych. Oczywiście jeśli pojawiają się nowe wytyczne, to je wdrażamy. Z naszej inicjatywy do szkolenia przygotowawczego zostali włączeni sojusznicy z Batalionowej Grupy Bojowej, która stacjonuje na Mazurach. Podczas certyfikacji to właśnie natowscy oficerowie są angażowani do pracy w sztabie ćwiczeń, a pododdziały wykonują zadania także na poligonie. Dzięki temu możemy choć w niewielkim stopniu odwzorować współpracę w międzynarodowym środowisku.

Widzi pan różnice w funkcjonowaniu Batalionowej Grupy Bojowej NATO stacjonującej na Łotwie oraz tej, z którą współpracujecie w Polsce?

Specyfika działania batalionowych grup bojowych wynika przede wszystkim z miejsca stacjonowania, a także pozycji, jaką zajmują w narodowych planach obronnych. Z założenia jednak sposób ich funkcjonowania jest zbliżony. Różnice mogą wynikać na przykład z liczby zaangażowanych państw.

Udział w takiej misji jest dla pana żołnierzy ważnym doświadczeniem?

Pobyt na takiej misji to sześć miesięcy permanentnego szkolenia. Poza tym jest to okazja do wymiany doświadczeń z sojusznikami, podpatrzenia ich sposobu działania, sprzętu czy sposobu dowodzenia, o szlifowaniu języka nie wspomnę.

PIK BOGDAN RYCERSKI jest dowódcą 15 Brygady Zmechanizowanej.



BARTEK GRADKOWSKI / 15 BZ (2)

misję na Łotwie, była to więc okazja do spotkania znanych osób”, mówi dowódca PKW.

JAK JEDEN ZESPÓŁ

Niemal od razu po przejściu obowiązków żołnierze przystąpili do działania. Najpierw, w ramach adaptacji, sami przeprowadzili szkolenia taktyczne, spędzili też wiele godzin na strzelnicach. Następnie rozpoczęli współpracę z sojusznikami. Pierwsze zajęcia poligonowe mieli z piechotą armii łotewskiej, potem stopniowo do działania angażowały się kolejne państwa. Przed nimi dziesiątki wspólnych ćwiczeń, a ostatecznym sprawdzianem, podczas którego wojska będą musiały udowodnić gotowość do prowadzenia wspólnych działań, będzie jesienna certyfikacja. „To bardzo ważny element naszego pobytu na misji, bo ostatecznie zwery-

fikuje, czy działamy jak zespół. A budowanie interoperacyjności to przecież jeden z powodów, dla których tu jesteśmy”, podkreśla dowódca VII zmiany PKW.

Chociaż żołnierze na Łotwie mają bardzo napięty grafik, znajdują także czas na zadania poza służbą. Wspólnie z Ambasadą Rzeczypospolitej Polskiej w Rydze wręczali m.in. paczki dla Polonii mieszkającej na Łotwie. „Tego typu działań miało być znacznie więcej, ale ograniczenia związane z pandemią koronawirusa zmusiły nas do zmiany planów”, mówi dowódca PKW. Dodaje również, że żołnierze wzięli udział m.in. w uroczystościach z okazji Dnia Kanady, które odbyły się 1 lipca. Jednym z elementów obchodów tego święta był mecz hokeja. „To narodowy sport naszych sojuszników, a dla większości z nas dyscyplina, z którą czasem mierzymy się zimą. Podczas poprzednich



TRZON POLSKIEGO KONTYNGENTU

WOJSKOWEGO NA ŁOTWIE TWORZĄ NA PRZE- MIAN ŻOŁNIERZE 15 BRYGADY ZME- CHANIZOWANEJ I 9 BRYGADY KAWA- LERII PANCERNEJ



Mjr Tomasz Dadura: „Procedury współpracy z MEDEVAC są takie same w całym NATO. To bardzo ważne, aby wojsko operujące poza granicami kraju je znało”.



SOJUSZNICZE ZOBOWIĄZANIA

Decyzja o ulokowaniu na wschodniej flance NATO wielonarodowych batalionowych grup bojowych zapadła podczas szczytu Sojuszu Północnoatlantyckiego, który odbył się w Polsce w 2016 roku. W ramach wzmocnionej wysuniętej obecności (enhanced Forward Presence – eFP) takie formacje stacjonują na Litwie, Łotwie, w Polsce i Estonii. Sojusz zdecydował także o ulokowaniu podobnej jednostki w Rumunii. Batalionowa grupa bojowa stacjonuje tam w ramach dostosowanej wysuniętej obecności (tailored Forward Presence – tFP). Jednostkę tworzą m.in. Polacy. ■

zmian nie szło nam na lodzie najlepiej, ale chyba trening robi swoje, bo tym razem wypadliśmy nawet nieźle”, żartuje mjr Sulewski.

SZKOLENIE Z NIESPODZIANKAMI

Oczywiście zanim kontyngent ruszył na misję, wszyscy żołnierze musieli udowodnić, że są gotowi do działania poza granicami kraju. Każdy z nich przeszedł odpowiednie szkolenia, m.in. ze znajomości międzynarodowego prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych, udzielania pierwszej pomocy. Najpierw odbyła się certyfikacja załóg, później plutonów i całej kompanii czołgów, a na koniec całego kontyngentu. I to był ostateczny sprawdzian przed misją. Teraz podobną procedurę muszą przejść kolejni żołnierze, bo na przełomie listopada i grudnia na Łotwę wyruszy kolejna →

ŻOŁNIERZE MUSIELI UDOWODNIĆ, ŻE SĄ GOTOWI DO DZIAŁANIA POZA GRANICAMI KRAJU. KAŻDY Z NICH PRZESZEDŁ ODPOWIEDNIE SZKOLENIA, M.IN. Z UDZIELANIA PIERWSZEJ POMOCY

zmiana PKW. Jego trzon także będą tworzyć zawiszacy. Wojskowi już zaczęli przygotowania do wyjazdu.

„Za nami pierwsze zajęcia, podczas których ocenialiśmy wyszkolenie załóg czołgów, drużyn i plutonów. Pierwsze dwa etapy odbyły się w formie zawodów użyteczno-bojowych, a żołnierzy oceniano na podstawie osiągniętych przez nich wyników”, mówi mjr Tomasz Dadura, który będzie dowodził VIII zmianą kontyngentu. Nieco bardziej skomplikowana była certyfikacja plutonów. Wojsko musiało alarmowo opuścić teren jednostki i zająć określone pozycje. Komisja zaś sprawdzała poprawność zabezpieczenia bojowego takiego jak ubezpieczenie, maskowanie czy powszechna obrona przeciwlotnicza. „Kolejne zadania to marsz, działania obronne i zaczepne. Oczywiście zadbaliśmy o to, aby je jak najbardziej utrudnić. Żołnierze musieli liczyć się z tym, że napotkają grupy dywersyjne czy zostaną skażeni bronią chemiczną”, wylicza oficer. Jak mówi, działania przyszłych misjonarzy cały czas monitorowano. Dzięki temu było możliwe sprawdzenie całego procesu dowodzenia, składania meldunków, a także tego, jak żołnierze analizują informacje, które do nich spływają.

Zawiszacy mają już za sobą również szkolenie medyczne. Jednym z jego elementów była współpraca z załogami śmigłowców. Dlatego do Ośrodka Szkolenia Polygonowego Wojsk Lądowych w Orzysz, gdzie trenowali, przyleciał Mi-17. „Procedury współpracy z MEDEVAC są takie same w całym NATO. To bardzo ważne, aby wojsko operujące poza granicami kraju je znało i wiedziało, jak z nich korzystać”, wyjaśnia dowódca kolejnej zmiany. Żołnierze uczyli się nie tylko samej procedury wezwania śmigłowca, lecz także tego, jak przygotować lądowisko, naprowadzić na nie maszynę oraz współpra-

cować z załogą i przekazać jej poszkodowanego, nie narażając go na niebezpieczeństwo.

Czy żołnierze nie obawiają się współpracy z sojusznikami z aż ośmiu państw? Mjr Dadura zapewnia, że nie. Przypomina, że 15 Brygada często bierze udział w międzynarodowych ćwiczeniach, a na co dzień współpracuje z Batalionową Grupą Bojową NATO stacjonującą na Mazurach. „Bariera językowa już dawno przestała być problemem. Wiemy od naszych poprzedników, że na miejscu wszystko jest bardzo dobrze zorganizowane, a ludzie są życzliwi i otwarci. A to zawsze przekłada się na dobrą współpracę. Ważne, aby działać razem, a nie obok siebie”, podkreśla.

PRZEZORNY ZAWSZE UBEZPIECZONY

Oczywiście żołnierze podczas wykonywania swoich zadań muszą uwzględniać sytuację związaną z epidemią koronawirusa. Mjr Dadura zapewnia, że w miarę możliwości wszyscy zachowują odpowiedni dystans. Wojsko także stara się nie organizować wydarzeń, które wymagałyby przebywania wielu osób w jednym miejscu. Z kolei żołnierze, którzy dziś są już na Łotwie, przed wyjazdem musieli przejść dwutygodniową kwarantannę. Wówczas cały kontyngent został zgrupowany w Orzysz, gdzie każdy miał też zrobiony test na COVID-19. Wyruszyli na misję, kiedy badania potwierdziły, że wszyscy są zdrowi. Podobną procedurę musieli przejść żołnierze z pozostałych kontyngentów.

„W naszej bazie są zachowywane środki ostrożności, ale nie panikujemy”, zapewnia mjr Sulewski. „Nie mamy tu styczności ze zbyt wieloma osobami spoza wojska. Zresztą sytuacja na Łotwie jest dość stabilna. Nie odnotowano wielu zachorowań. Czujemy się bezpiecznie i możemy skupić się na naszej pracy”. ■

Mjr MACIEJ SULEWSKI: „Certyfikacja to bardzo ważny element naszego pobytu na misji, bo ostatecznie zweryfikuje, czy działamy jak zespół. A budowanie interoperacyjności to przecież jeden z powodów, dla których tu jesteśmy”.



TOMASZ ZDZIKOT

Krajobraz bezpieczeństwa sieci



Opublikowane w ostatnim czasie roczne raporty z działalności dwóch krajowych zespołów reagowania na incydenty bezpieczeństwa komputerowego – CERT Polska oraz CERT Orange Polska – kompleksowo ukazują krajobraz cywilnej części polskiej cyberprzestrzeni. Jak podają eksperci, skokowa cyfryzacja wszystkich obszarów życia, zwłaszcza w dobie pandemii COVID-19, niesie ze sobą rosnącą skalę zagrożeń w internecie. Lektura analiz pokazujących tendencje w sferze cyberbezpieczeństwa powinna być zatem bodźcem do zmiany naszych zachowań w sieci.

W 2019 roku CERT Polska zarejestrował 6484 incydenty, co stanowi nie tylko rekordową ich liczbę, lecz także najwyższy wzrost rok do roku – o 73% (w 2018 roku zespół zarejestrował 3739 incydentów). Wśród cyberzagrożeń oba zespoły wskazują na coraz większe znaczenie kampanii phishingowych, czyli najskuteczniejszych oszustw opartych na socjotechnice, w których np. przy wykorzystaniu wizerunku znanej marki użytkownik nakłaniany jest do otwarcia zainfekowanego załącznika lub kliknięcia w link prowadzący do fałszywej strony. W ten sposób przestępca może pozyskać wrażliwe dane, loginy, hasła, umożliwiające kradzież pieniędzy czy informacji. Według CERT Polska to były najczęstsze ataki i stanowiły około 54,2% wszystkich incydentów. Najbardziej popularne były kampanie wykorzystujące serwis społecznościowy Facebook oraz system BLIK, a także podszywanie się pod operatorów szybkich płatności PayU i DotPay. CERT Orange z kolei wskazuje na 11,5 mln zablokowanych w 2019 roku prób wejścia na strony phishingowe. Podaje również, że bardzo często tego rodzaju ataki były skierowane w największe firmy i ich klientów, poczynawszy od samego Orange, przez banki PKO BP, Idea Bank, sieci handlowe Lidl, Biedronka, Rossmann, aż po Microsoft czy Polską Grupę Zbrojeniową.

Biorąc pod uwagę skalę zjawiska, ochrona przed phishingiem to jedno z podstawowych wyzwań. Skuteczny atak przeprowadzony na użytkownika w sferze jego aktywności prywatnej może bowiem stanowić realne zagrożenie także dla systemów, z których korzysta on podczas służby lub pracy. Skuteczną tarczą przed phishingiem są nie tylko techniczne narzędzia, lecz także po prostu zwiększona nieufność w stosunku do spotykających nas zdarzeń. Szczególnie trzeba uważać na wiadomości, które brzmią zaskakująco dobrze. CERT Orange zwraca uwagę na znaczną liczbę kampanii phishingowych zachęcających do udziału w konkursach i na wiadomości typu: „Wygrałeś iPhone’a”.

Oba raporty wskazują także na rosnące znaczenie ataków ransomware, czyli złośliwego oprogramowania, którego celem jest zaszyfrowanie danych na dysku i wymuszanie na użytkowniku okupu. Jak podaje CERT Polska, w 2019 roku znacząco wzrosła liczba takich infekcji w sektorach przemysłowym, medycznym i administracji rządowej oraz samorządowej. Zespół miał do czynienia w ciągu roku z 26 takimi incydentami, wśród których siedem dotyczyło urzędów gmin lub powiatów, a sześć szpitali i klinik. Oprócz zagrożeń, które można określić mianem technicznych, eksperci zwracają też uwagę na stale rosnącą rolę dezinformacji. ■



TOMASZ ZDZIKOT jest ekspertem do spraw cyberbezpieczeństwa. Był wiceministrem obrony narodowej oraz pełnomocnikiem ministra obrony narodowej do spraw bezpieczeństwa cyberprzestrzeni.

Śmigłowiec zatrzymuje się w zawisie, a wtedy ratownik zostaje desantowany na linie za pomocą dźwigu pokładowego, którym operuje technik pokładowy.

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO
OD KULIS** PRZECZYTACIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

SZEŚĆ MINUT W ZAWISIE

Mają znaleźć miejsce wypadku statku powietrznego i uratować jego załogę. Kulisy służby 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej pokazują, jak bardzo wymagające jest to zadanie.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

TOMASZ CHOCHÓŁ



Zdaleka na tle poszycia lasu widać biały ogon lekkiego samolotu turystycznego. Stan płatowca, który zawisł na koronach drzew, jest dobry, ale z pokładu śmigłowca Mi-8 nie można zlokalizować pilota. Mimo licznych prób nie udało się także nawiązać z nim łączności radiowej. Maszyna z 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej obniża wysokość i zatacza krąg nad miejscem wypadku. Zarówno dowódca załogi, jak i ratownik biorący udział w akcji wiedzą, że w tak gęstym lesie nie ma możliwości lądowania. Kilkadziesiąt metrów od miejsca zdarzenia znajduje się jednak niewielka polana. Za mała, żeby posadzić na niej śmigłowiec, ale można się na nią desantować za pomocą liny. W chwili, w której Mi-8 zawisa nad wierzchołkami drzew, czas zwalnia. Od teraz każda sekunda jest na wagę złota.

ZNAJDŹ I URATUJ

Głównym zadaniem 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej jest pełnienie dyżurów w systemie ASAR (Aeronautical Search and Rescue, czyli poszukiwanie i ratownictwo lotnicze). W praktyce oznacza to przede wszystkim zabezpieczanie dyżurów bojowych oraz lotów o statusie HEAD. Jeżeli w promieniu 200 km od Krakowa dojdzie do wypadku wojskowego statku powietrznego, to właśnie piloci i medycy stacjonujący w Balicach ruszą na ratunek. Na tym jednak nie kończy się ich rola. Zgodnie z założeniami ASAR jednostka podlegająca 3 Skrzydłu Lotnictwa Transportowego wspomaga także służby cywilne.

W ciągu ostatnich lat taka sytuacja miała miejsce dwukrotnie – podczas wypadków drogowych w Rdzawce oraz Tenczynie. „Oba te zdarzenia były wypadkami masowymi, w których wspomagaliśmy służby cywilne. Nasze zadanie polegało na ewakuacji poszkodowanych oznaczonych kolorem żółtym, czyli lekko rannych”, mówi mjr pil. Roman Wdowik, dowódca 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej. Zaznacza przy tym, że pomimo wspólnych obszarów, specyfika zadań 3 GPR różni się od tych wykonywanych przez Lotnicze Pogotowie Ratunkowe. „Podczas wypadku statku powietrznego najpierw musimy go znaleźć, a następnie przystąpić do akcji ratunkowej. LPR zawsze leci we wskazane miejsce i ląduje na zabezpieczonych lądowiskach”, podkreśla major.

Ze względu na poziom zurbanizowania terytorium Polski oraz dzięki radiowym urządzeniom ratowniczym montowanym na statkach powietrznych w zdecydowanej większości śmigłowce 3 GPR nie muszą samodzielnie lokalizować miejsc wypadków. Niejednokrotnie zastają tam już służby cywilne oraz postronnych ludzi mieszkających w okolicy. Niemniej jednak przeznaczeniem jednostki są operacje SAR, dlatego żeby pokazać zakres jej możliwości, wyobraźmy sobie hipotetyczną sytuację, w której cywilny samolot rozbija się w Bieszczadach.

Przejęcie dyżuru rozpoczyna się o 7.00. Po otrzymaniu raportu z ostatnich 24 godzin dowódca załogi, drugi



pilot oraz technik pokładowy razem z obsługą naziemną robią przegląd śmigłowca oraz wykonują próbę silnika. „Wcześniej pracowałem na samolotach Su-22, dlatego wiem, jak przyjemną do obsługi maszyną jest śmigłowiec. Do wszystkich systemów jest łatwy dostęp, nic nie jest upchane. Zarazem – jak każdy statek powietrzny – wymaga dużo wiedzy i serca włożonego w pracę. Jako technicy doskonale znamy wszystkie nasze śmigłowce i dobrze wiemy, na co stać konkretny egzemplarz”, podkreśla st. chor. Arkadiusz Stroński, technik pokładowy Mi-8.

W GOTOWOŚCI

Podczas każdego dyżuru do natychmiastowej akcji są gotowe dwa takie śmigłowce: główny oraz awaryjny. W tym samym czasie zmianę przejmują także medycy, którzy pracują zawsze w zespole lekarz–ratownik lub ratownik–ratownik. Tak samo jak lotnicy, za każdym razem dokładnie sprawdzają skompletowanie oraz stan wyposażenia potrzebnego do ratowania życia. O godzinie 8.00 załoga składa meldunek do Cywilno-Wojskowego Ośrodka Koordynacji Poszukiwania i Ratownictwa Lotniczego (Aeronautical Rescue Coordination Centre – ARCC). Wtedy dyżur jest przyjęty.

„W tej fazie mamy kilkanaście minut na to, żeby od sygnału nadanego przez ARCC znaleźć się w śmigłowcu. W tym czasie musimy zorientować się w sytuacji, przygotować nawigację, mapy oraz zapoznać się z sytuacją meteorologiczną”, tłumaczy st. chor. sztab. pil. Mirosław Pankow, który podczas dyżuru pełni funkcję dowódcy załogi. Pogoda ma szczególne znaczenie dla pilotów, ponieważ najczęściej to od niej zależy możliwość przystąpienia do akcji. Co prawda śmigłowiec może wystartować z lotniska w Balicach według IFR (Instrument Flight Rules, czyli zasady lotu według wskazań przyrządów), ale na miejscu prowadzonych działań bezwzględnie muszą być warunki zgodne z VFR Spec (Visual Flight Rules Special, zasady lotu z widocznością obniżoną do warunków specjalnych), czyli za dnia przynajmniej 150 m podstawy chmur oraz 1,5 km widoczności poziomej. Istotne znaczenie mają także gwałtowne zjawiska pogodowe, takie jak burze oraz kierunek i prędkość wiatru. „W czasie trwania dyżuru jesteśmy zobligowani nie tylko na bieżąco monitorować raporty pogodowe, lecz także natychmiast zgłaszać warunki przekraczające nasze możliwości”, zaznacza chor. Pankow.

Rozlega się dźwięk telefonu alarmowego. Dyspozytor ośrodka koordynacyjnego RCC (Rescue Coordination Centre) w Warszawie informuje załogę o samolocie turystycznym, który w czasie lotu nad Bieszczadami zgłosił awarię silnika. Po nadaniu sy-



Część pilotów 3 GPR zdobywała doświadczenie ratownicze poza jednostką, także na misjach w Afganistanie i w Iraku.

gnału mayday pilot stracił kontakt ze Służbą Informacji Powietrznej. Zamontowany na pokładzie nadajnik sygnału niebezpieczeństwa ELT (Emergency Locator Transmitter) wskazuje, że maszyna lądowała awaryjnie w terenie trudno dostępnym i z dala od położonych w okolicy miejscowości. Warunki pogodowe zarówno w Krakowie, jak i na miejscu zdarzenia są korzystne, więc dowódca załogi podejmuje decyzję o wylocie. Już w tym momencie wiadomo, że akcja będzie prowadzona na granicy zasięgu Mi-8. Nawigacja, zabezpieczenie lotnisk zapasowych oraz ewentualnych miejsc na tankowanie paliwa należą do drugiego pilota, który niezwłocznie koncentruje się na swoim zadaniu.

PIERWSI NA MIEJSCU

Po kilku minutach cała załoga jest już w śmigłowcu, zgłaszając gotowość. Kontroler na wieży w Balicach wydaje zgodę na lot oraz uruchomienie maszyny. Wszystkie akcje ratownicze są traktowane priorytetowo, dlatego niespełna pięć minut później Mi-8 opuszcza zatłoczony CTR (Control Zone, czyli strefa kontrolowana lotniska) i obiera kurs na miejsce, z którego odebrano sygnał awaryjnego nadajnika.

Chor. KRZYSZTOF STĘPNIAK, ratownik medyczny: „Jeżeli ktoś ma siłę głosu krzyczeć, to najprawdopodobniej przeżyje. Bardziej martwię się pacjentami, którzy milczą. Zwykle oznacza to, że są w ciężkim stanie”.



ŻOŁNIERZE 3 GPR PRZEZ CAŁY CZAS SĄ SZKOLENI ZARÓWNO W OPERACJACH CYWILNYCH, JAK I WOJSKOWYCH. BEZ WZGLĘDU NA ŚRODOWISKO, W JAKIM SIĘ ZNAJDĄ, ICH MISJĄ JEST RATOWANIE ŻYCIA

prowadzenie desantu ratownika. W chwili, w której dowódca załogi ustala z medykiem szczegóły akcji, drugi pilot przekazuje informacje do RCC na temat miejsca zdarzenia. „Podajemy wszystkie szczegóły, które tylko możemy zaobserwować, od warunków pogodowych i terenowych po ocenę rozbitego statku powietrznego oraz liczbę zaobserwowanych osób. Musimy pamiętać także o ograniczeniach wynikających z zasięgu śmigłowca i jego maksymalnego czasu przebywania w powietrzu. To nie tylko lot w jedną stronę, ale także czas potrzebny na pobranie pacjenta oraz na dostarczenie go do szpitala. Wszystkie te dane przeliczam na bieżąco”, wyjaśnia drugi pilot, por. pil. Klaudia Sawińska.

RCC potwierdza, że w akcję ratunkową zaangażowane są także Straż Graniczna, policja oraz straż pożarna, ale pierwszy na miejscu awaryjnego lądowania będzie ratownik 3 GPR. Gdy śmigłowiec zatrzymuje się w zawisie, mężczyzna zostaje desantowany na linie za pomocą dźwigu pokładowego, którym operuje technik pokładowy. „Techniki linowe to najbardziej niebezpieczny element naszej pracy i stosujemy je tylko wtedy, kiedy rzeczywiście nie możemy wylądować. Ze względu na ograniczenia silników pilot może utrzymać śmigłowiec w zawisie maksymalnie przez sześć minut. Dlatego po tym, jak znajdę się na ziemi, odłączam linę, a śmigłowiec odchodzi na krąg i czeka, aż zbadam pacjenta”, podkreśla chor. Krzysztof Stępiak, ratownik medyczny z 3 GPR.

Po chwili okazuje się, że pilot rozbitego samolotu jest nieprzytomny i z licznymi złamaniami, ale jego parametry życiowe są stabilne. Zostaje podjęta decyzja o przetransportowaniu go do szpitala w Krakowie. Trzeba użyć noszy, żeby zabrać rannego na pokład. „Noszami podczepionymi pod linę trzeba odpowiednio manewrować, przechylać je, czasem odepchnąć lub przekręcić tak, żeby ostatecznie znalazły się we wnętrzu śmigłowca. Ćwiczymy to wielokrotnie podczas lotów treningowych”, wyjaśnia chor. Arkadiusz Stroiński, technik pokładowy na śmigłowcu Mi-8.

Ze względu na ograniczone miejsce na pokładzie, wibracje oraz możliwe turbulencje najbardziej

St. chor. sztab. pil. MIROSŁAW PANKOW: „W ciągu 37 lat służby raz lądowałem na pełnej autorotacji i raz z jednym silnikiem. Przyjemne wspomnienia związane z lataniem? Wszystkie pozostałe”.

W misjach SAR lotnicy mogą szukać miejsc wypadków na kilka sposobów. Przede wszystkim, na pokładzie śmigłowca jest zamontowane urządzenie radiotechniczne, które może namierzyć poszukiwany statek powietrzny. Jeżeli z jakiegoś powodu urządzenie zawiedzie lub odczyty są za mało precyzyjne, stosuje się metody wzrokowe. „Wybór konkretnej z metod zależy od tego, czy szukamy wokół określonego punktu, czy wzdłuż trasy. Jeżeli mamy wydzielony obszar poszukiwań, wykonujemy serię równoległych przelotów. W przypadku gdy wiemy, że samolot wyruszył na przykład z Krakowa do Katowic, to najpierw szukamy go na najbardziej prawdopodobnej trasie przelotu”, tłumaczy st. chor. sztab. pil. Mirosław Pankow. Śmigłowiec Mi-8 jest wyposażony w GPS oraz inne pomoce nawigacyjne, takie jak VOR/DME. Każdy pilot 3 GPR musi jednak potrafić wykonać tego typu loty według mapy. Obowiązujące normy są wyśrubowane. Po wcześniej wyznaczonym czasie nawigowania ma znaleźć się nad wskazanym punktem w przedziale czasowym nieprzekraczającym 30 sekund.

Ze względu na systemy ratunkowe znalezienie miejsca awaryjnego lądowania nie stanowiło problemu. Dużo większym wyzwaniem będzie prze-





TRZY PYTANIA DO

Romana Wdowika

Co wyróżnia 3 Grupę Poszukiwawczo-Ratowniczą spośród innych jednostek?

3 Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza jest przeznaczona do wykonywania zadań SAR [Search and Rescue] na terenie lądowym naszego kraju oraz terytorium przygranicznym państw sąsiednich. Jednostka funkcjonuje także w systemie zagrożenia w ramach Unii Europejskiej na terenie całej Europy. Do jej codziennych obowiązków należy również zabezpieczenie wojskowych ćwiczeń, w tym skoków spadochronowych oraz szkoleń SERE [Survival, Evasion, Resistance i Escape]. 3 GPR wchodzi w struktury 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego.

Jakich ludzi chcielibyście przyjąć do 3 GPR?

Ze względu na specyfikę działania ASAR [Aeronautical Search and Rescue] większość żołnierzy rozpoczą-

nających służbę w naszej jednostce ma już doświadczenie lotnicze. Trafiają tu jednak także młodzi stażem piloci. Takie połączenie pozwala zbudować środowisko szkoleniowe, w którym każdy czuje się potrzebny – są ci, którzy przekazują wiedzę i ci, którzy się uczą. W 3GPR służą również technicy pokładowi, personel techniczny oraz personel aeromedyczny. Każdy z nas jest zawodowym żołnierzem.

Jak można się dostać do waszej jednostki?

Najprościej, przez bramę. A na poważnie, to przede wszystkim musimy mieć wolny etat. W takiej sytuacji ogłaszamy, że zwolniło się konkretne stanowisko. Ze względu na specyfikę pracy oraz ciekawą lokalizację nie mamy jednak problemów z kandydatami do służby w naszej jednostce.

Mjr pil. ROMAN WDOWIK jest dowódcą 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej.



Por. pil. KLAUDIA SAWIŃSKA, drugi pilot: „Pilotaż śmigłowca Mi-8 wymaga trzyosobowej załogi. W powietrzu każdy z nas skupia się na swoich zadaniach, ale także nieustannie monitoruje lot i otoczenie. Każda para oczu i rąk jest niezbędna”.

skomplikowane czynności medyczne ratownik powinien wykonać jeszcze na ziemi. Mimo to zawsze musi brać pod uwagę, że w czasie lotu stan pacjenta może się pogorszyć.

„Zdarza się, że stosujemy metody alternatywne, na przykład maskę krtaniową zamiast intubacji, ale ratownik zawsze sobie poradzi. Jednej zasady trzymamy się bezwzględnie. Na pokładzie może znajdować się tylko jedna osoba z ciężkimi obrażeniami, zwłaszcza jeżeli jest niestabilna. Jeżeli jednocześnie pogorszy się stan kilku pacjentów, to zabraknie nam miejsca i rąk do ratowania. Poza tym ofiary wypadku często dobrze się znają i nie chcemy, żeby patrzyły na wykonywane przez nas czynności medyczne. Bez wątpienia może to wpłynąć na ich psychikę”, mówi chor. Stępnia. Ratownik dodaje, że pomimo trudnych warunków, na pokładzie może przeprowadzić wszystkie potrzebne zabiegi, łącznie z defibrylacją. Ze względu na możliwy wpływ wysokiego napięcia na silnik lub elektronikę

śmigłowiec musiałby jednak w takim wypadku najpierw wylądować.

TA SŁUŻBA NIE WYBACZA BŁĘDÓW

Za zgodą koordynatora RCC załoga nawiązuje bezpośrednią łączność z dyspozytorem medycznym w Małopolsce. Ze względu na rozmiary oraz masę śmigłowca nie może on wylądować przy żadnym z okolicznych szpitali. Minimalne wymiary lądowiska muszą wynosić 50 na 50 m, dlatego dyspozytor kieruje pilotów na krakowskie Błonia. W tym czasie miejsce to zostaje zabezpieczone przez policję oraz straż pożarną. Dzięki wspólnym szkoleniom i wypracowanym procedurom służby wiedzą, co mają robić. Maszynę na lądowisko nakierowuje przeszkolony do tego strażak. Na miejscu czeka już karetka, która przetransportuje rannego do właściwej placówki medycznej. Załoga Mi-8 wykonała swoje zadanie i może wrócić do bazy w Balicach. 3 Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza to wyspecjali-

St. chor. ARKADIUSZ STROIŃSKI, technik pokładowy: „Żaden z lotników nie powie, że już wszystko wie, że jest debsciak. Jeżeli tak uważa, to powinien zakończyć swoją przygodę z lataniem”.



3 GRUPA POSZUKIWAWCZO- RATOWNICZA

Rozpoczęła działalność 1 stycznia 2009 roku. Sformowano ją na bazie sił i środków grupy poszukiwawczo-ratowniczej funkcjonującej w ramach rozformowanej 3 Eskadry Lotnictwa Transportowo-Łącznikowego we Wrocławiu.

SPRZĘT

Podstawowym wyposażeniem 3 GPR są śmigłowce Mi-8P/SAR oraz Mi-8T/SAR. Każdy z nich może pomieścić dwóch pacjentów na noszach lub ośmiu w pozycji siedzącej. Zostały one wyekwipowane w specjalistyczny sprzęt ratowniczy, w tym respiratory z CPAP (Continuous Positive Airway Pressure), defibrylatory, pompy infuzyjne oraz przyrządy do masażu serca. Jednostka ma także do dyspozycji śmigłowiec Mi-2RL.

TOMASZ CHOCHÓŁ

zowana jednostka, która wymaga od żołnierzy szczególnych umiejętności z dwóch dziedzin: pilotażu i medycyny. Takie doświadczenie bierze się z setek godzin wieloetapowych szkoleń, w tym na symulatorach w centrum treningowym HTP Ostrava. „W Czechach ćwiczymy sytuacje, w których nie wybaczają się błędów w działaniu, takie jak awarie obu silników czy śmigła ogonowego. Zarazem dzięki wirtualnym goglom możemy przećwiczyć akcje ratownicze. Ratownik wychyla się z symulatora i naprowadza śmigłowca na poszkodowanego. Z tej perspektywy wszystko wygląda tak, jakby był w zawisie na wysokości kilkudziesięciu metrów”, opowiada kpt. Artur Kowalski, zastępca dowódcy i szef szkolenia w 3 GPR. Podkreśla jednak, że wcześniej wszyscy lotnicy oraz medycy muszą przejść całe szkolenie od podstaw.

Część pilotów 3 GPR zdobywała doświadczenie ratownicze poza jednostką, także na misjach w Afganistanie i w Iraku. Pomimo odmiennej charakterystyki tych regionów oraz wykonywanych tam zadań, zdobyty w ten sposób nalot przekłada się na obecną służbę. „Ze względu na zapylenie, dużą temperaturę oraz wysokość nad poziomem morza loty w Afganistanie były

bardzo wymagające. Dodatkowe obciążenie stanowił stres związany z zagrożeniem z ziemi oraz świadomość, że lecimy po ludzi, którzy zostali ranni w wyniku ostrzału konwoju lub wybuchu IED [Improvised Explosive Device]. Takie warunki dają pilotom duże możliwości rozwoju, nie tylko jeśli chodzi o umiejętności lotnicze”, opowiada mjr pil. Roman Wdowik.

Opinię dowódcy podziela st. chor. sztab. pil. Mirosław Pankow, który na śmigłowcach ratowniczych lata od 1992 roku. W tym czasie służył m.in. w Iraku. „Wykonywaliśmy tam zadania transportowe, QRF [Quick Reaction Force] i, przede wszystkim, MEDEVAC. Odzyskiwanie rannych w miejscu konfliktu wiąże się na pewno z większym obciążeniem niż w środowisku cywilnym. W takich sytuacjach zgranie załogi osiąga bardzo wysoki poziom. Doświadczenie to można wykorzystać później, właśnie w celu pogłębienia współdziałania. Łatwiej także przewidzieć zachowanie ludzi w grupie”, mówi Mirosław Pankow. Zaznacza przy tym, że żołnierze 3 GPR przez cały czas są szkoleni zarówno w operacjach cywilnych, jak i wojskowych. Bez względu na środowisko, w jakim się znajdują, ich misją jest ratowanie życia. I zrobią wszystko, żeby tę misję wykonać.



Terytorials na angielskim

12 Wielkopolska Brygada OT podczas wspólnego szkolenia z żołnierzami amerykańskimi

12 W BOT

Żołnierze wojsk obrony terytorialnej będą mogli rozwijać swoje językowe kompetencje. To ważne, bo WOT coraz częściej stawiają na współpracę międzynarodową.

PAULINA GLIŃSKA

Kwiecień, trwa pandemia COVID-19. Chiny, w których został stwierdzony pierwszy przypadek zakażenia, udostępniały na bieżąco opisy objawów, wstępne badania naukowe i wyniki eksperymentalnych metod leczenia. W tym samym czasie wojska obrony terytorialnej prowadziły akcję „Odporna wiosna”, a w dowództwie formacji pracował zespół odpowiedzialny m.in. za długoterminowe analizy dotyczące pandemii. „Zaj-

mowaliśmy się akurat zagadnieniem rozprzestrzeniania się wirusa w pomieszczeniach zamkniętych i na terenach otwartych. Na chińskich portalach były informacje na ten temat, ale zlecenie ich tłumaczenia byłoby czasochłonne, co więcej, wciąż pojawiały się nowe dane. I wtedy z pomocą przyszedł nam służący w naszych szeregach terytorials, który doskonale zna chiński. Dzięki niemu mogliśmy analizować konkretne zagrożenia, które zostały już zidentyfikowane

przez Chińczyków, oraz wyciągać wnioski. Szybkość i rzetelność były tutaj kluczowe”, mówi płk Konrad Korpowski, szef Pionu Szkolenia w Dowództwie WOT. To tylko jedna z sytuacji, które pokazują, jak duże znaczenie mogą mieć kompetencje językowe.

MIEDZY NAMI, SOJUSZNIKAMI

Świadectwa znajomości języka obcego w Wojsku Polskim ma dziś ponad 19 tys. oficerów, 20 tys. podoficerów i blisko 11 tys. szeregowych zawodowych. Głównie chodzi o angielski, w którym żołnierze porozumiewają się podczas międzynarodowych ćwiczeń, szkoleń i kursów, w służbie poza granicami kraju, a także przy okazji codziennej współpracy z obcymi na terenie Polski wojskowymi innych nacji. Znajomość angielskiego coraz częściej okazuje się niezbędna także dla terytorialsów, mimo że formacja ta ma raczej lokalny charakter działań. „Jesteśmy częścią sił zbrojnych, które współpracują z żołnierzami państw NATO na wielu poziomach. Bez znajomości języka obcego niemożliwe jest współdziałanie i budowanie jakichkolwiek sojuszy z innymi narodowościami. Nasi terytorialsi, dzięki swoim kompetencjom językowym, mogą np. stać się naturalnym łącznikiem pomiędzy lokalną społecznością a wojskami sojusznikami”, podkreśla płk Korpowski.

WOT w coraz szerszym zakresie stawiają na współpracę międzynarodową i dzielenie się doświadczeniami z bliźniaczymi formacjami innych państw. Terytorialsi z 2 Lubelskiej Brygady OT szkolą się wspólnie z jednostką ze Szwecji, brygada podlaska współpracuje z litewską, podkarpacka z estońską, a warmińsko-mazurska z fińską. Wszystkie brygady utrzymują też kontakty z formacjami z USA i Izraela.

Żołnierze terytorialnej służby wojskowej (TSW) coraz częściej biorą też udział w zagranicznych ćwiczeniach i międzynarodowych przedsięwzięciach. Na przykład 140 z nich szkoliło się w ubiegłym roku w Wirginii Zachodniej razem z Gwardią Narodową, kolejni jako członkowie zespołów medycznych zabezpieczali 24 Międzynarodowy Zlot Harcerzy w USA. W tym roku terytorialsi szykują się do udziału w zawodach „Cambrian Patrol” w Wielkiej Brytanii. „Nie ma wątpliwości, że w tych wszystkich obszarach znajomość języka wiele ułatwia. Możemy na bieżąco wymieniać się doświadczeniami, proponować pewne rozwiązania czy sami czerpać wiedzę od innych. To ważne, bo umożliwia nam rozwój formacji”, przyznaje płk Korpowski.

JĘZYKOWE WSPARCIE

Choć od kandydatów na terytorialsów nie jest wymagana znajomość angielskiego, to jak pokazują doświadczenia, w ich kompetencje językowe warto inwestować, tak jak w przypadku zawodowców. Zgodnie z decyzją MON-u terytorialsi będą mogli teraz brać udział w semestralnych kursach językowych oraz szkoleniach doskonalących i wy-

równawczych. „W przypadku żołnierza zawodowego podstawą skierowania na kurs językowy jest spełnienie wymogów dotyczących określonego poziomu znajomości języka na danym stanowisku, a także gdy jest on przygotowywany na przykład do udziału w ćwiczeniach lub szkoleniach prowadzonych w językach obcych czy do służby poza granicami kraju”, podkreśla płk Dariusz Chrzyszcz, naczelnik Wydziału Szkolnictwa Wojskowego w Departamencie Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON.

I choć w odniesieniu do terytorialsów zasada będzie dokładnie taka sama, w praktyce samo uczestnictwo w kursie może się okazać nieco bardziej skomplikowane. „Większość naszych żołnierzy uczy się lub pracuje, a tryb ich szkolenia oparty jest na systemie weekendowym. Udział w kursie musiałby się wiązać z powołaniem ich do służby na dłuższy czas, a do tego z zawieszeniem nauki lub pracy. Może to być trudne do zrealizowania”, mówi ppłk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Dowództwa WOT. Dlatego formacja już teraz przymierza się do wprowadzenia optymalnych i elastycznych rozwiązań. „Planujemy organizować kontraktowane przez brygady OT kursy, które mogłyby się odbywać w systemie weekendowym czy wieczorowym, także z wykorzystaniem e-learningu. Same kursy pełnowymiarowe oraz doskonalące będziemy traktować jako uzupełnienie”, mówi ppłk Pietrzak.

Podniesieniu kompetencji językowych terytorialsów ma służyć też inne rozwiązanie. Żołnierze znający język obcy – na swój wniosek i bez konieczności udziału w kursie – mogą być kierowani na egzamin eksternistyczny według standardów NATO. „241 terytorialsów może dziś pochwalić się świadectwami językowymi uzyskanymi w cywilu i wojsku. Ale spośród ponad 20 tys. żołnierzy TSW ponad połowa deklaruje, że zna angielski, a niemal 5 tys. niemiecki. Te osoby będą mogły wziąć udział w egzaminach. W brygadach powstają już listy ochotników”, mówi ppłk Pietrzak. Absolwenci filologii obcych będą mogli bez egzaminu ubiegać się o wydanie poświadczenia znajomości języka. „Dyplom ukończenia studiów filologicznych I stopnia jest równoznaczny ze świadectwem na poziomie 3, a II stopnia – na poziomie 4”, wyjaśnia płk Chrzyszcz.

W formacji służą jednak nie tylko ci mówiący po angielsku i niemiecku. Według danych przekazanych przez DWOT ponad 3 tys. osób deklaruje znajomość rosyjskiego, niemal 400 – francuskiego, 123 osoby znają hiszpański, a 77 – włoski. Są także osoby mówiące po japońsku, chińsku, holendersku, ukraińsku, grecku i arabsku. „Jako formacja, mamy całkiem spory potencjał językowy, który może służyć całym siłom zbrojnym. Znajomość języków daje szybszy dostęp do wiedzy i możliwość wyprzedzenia, a nawet uniknięcia różnych zagrożeń. Czasem więc nie trzeba szukać specjalistów ani tłumaczy, wystarczy sięgnąć do naszych szeregow. Nazywamy to w WOT zarządzaniem talentami”, przyznaje płk Korpowski. ■



PŁK KONRAD KORPOWSKI, szef Pionu Szkolenia w Dowództwie WOT: „Nasi terytorialsi, dzięki swoim kompetencjom językowym, mogą np. stać się naturalnym łącznikiem pomiędzy lokalną społecznością a wojskami sojusznikami”.

MILITARIA

/ PRZEGLĄD



Z posowieckiej schedy Kijów przejął ponad 300 nowoczesnych na tamte czasy myśliwców MiG-29 i Su-27 (na zdjęciu).



ZRYWANIE WIĘZI

**Ukraina zamierza wydać
ogromne środki na modernizację
lotnictwa wojskowego, w którym dominują
samoloty i śmigłowce z czasów
Związku Sowieckiego.**

TADEUSZ WRÓBEL



T

uż po upadku Związku Sowieckiego, w 1992 roku, na terytorium Ukrainy stacjonowało 49 pułków lotniczych i 11 samodzielnych eskadr mających około 2800 statków powietrznych, z których połowę stanowiły maszyny bojowe. Z posowieckiej schedy Kijów postanowił początkowo zachować około 1100 samolotów bojowych, co czyniło jego siły powietrzne jednymi z największych w Europie. Młodego państwa z problemami gospodarczymi nie było jednak stać na tak liczne lotnictwo i zaczęto je szybko redukować.

ILUZORYCZNA POTEGA

Liczba i typy przejętych samolotów bojowych zapewniały Ukrainie pewien komfort. Miała m.in. ponad 300 nowoczesnych na tamte czasy myśliwców MiG-29 i Su-27. W odróżnieniu od państw Europy Środkowej władze w Kijowie mogły sobie pozwolić na szybkie wycofanie ze służby starszych maszyn bojowych, jak np. MiG-21 i MiG-23 czy Su-17 (jego wersja eksportowa nosi oznaczenie Su-22). Już na początku odzyskania niepodległości zrezygnowano z bombowców strategicznych. Większość najnowocześniejszych Tu-160 odsprzedano pod koniec lat dziewięćdziesiątych Rosji. Inne samoloty uznane za zbędne również zbywano za granicą. Sprzedano myśliwce MiG-21, MiG-23, MiG-29 i Su-27, myśliwsko-bombowe MiG-27 i Su-17, a także szturmowe Su-25. Zainteresowaniem klientów zagranicznych cieszyły się maszyny szkolne L-39 Albatros oraz transportowce An-32.

Poza stałym brakiem pieniędzy ukraińskie lotnictwo miało też inny problem – związany z eksploatacją maszyn. Otóż w czasach sowieckich nie było na terytorium Ukrainy zakładu lotniczego produkującego samoloty bojowe, ale wytwarzano tam ich części i uzbrojenie. Własna produkcja nieco ograniczała uzależnienie od wschodniego sąsiada. Aby utrzymać samoloty w linii, brano do nich części z tych będących w magazynach.

Ukraińcy starali się modernizować posiadane statki powietrzne – samoloty bombowe do wersji

Su-24M i rozpoznawcze do Su-24MR. Unowocześniono około dziesięciu myśliwców MiG-29 do wersji MiG-29MU1, a obecnie trwa modernizacja tuzina MiG-29 do wersji MiG-29MU2. Zmiany wprowadzono też w Su-27 i teraz te maszyny noszą oznaczenia Su-27P1M, Su-27S1M, Su-27UB1M i Su-27UP1M. Szturmowe Su-25 unowocześniono do wersji Su-25M1 i Su-25UBM1.

Niemniej jednak wspomniane niedoinwestowanie lotnictwa wojskowego Ukrainy spowodowało, że koniec końców zmodernizowano niewiele maszyn. Według „World Air Force 2020”, dysponuje ono zaledwie 79 bojowymi odrzutowcami, z kolei w roczniku „The Military Balance 2019” podano, że jest ich 125. Niezależnie od tego, która z tych liczb jest bliższa prawdzie, zakup nowych samolotów bojowych jest koniecznością. Wiek obecnie będących w wyposażeniu sprawia, że mimo modernizacji ich czas użytkowania skończy się na początku lat trzydziestych naszego wieku.

KIERUNEK ZACHÓD

Z tego powodu największym przedsięwzięciem zapowiadzanym w upublicznionej „Wizji sił powietrznych 2035” jest wprowadzenie do ukraińskiego lotnictwa w najbliższych 15 latach od 72 do 108 samolotów wielozadaniowych. Od sześciu do 12 maszyn Ukraińcy chcieliby zamówić już w latach 2021–2022, a potem nabywać od ośmiu do 12 każdego roku. Planowane zakupy oraz liczba odrzutowców, jaka ma być zamawiana w poszczególnych partiach, sugerują, że przyszłe eskadry będą miały po 12 maszyn bojowych. Przy zakupie 108 samolotów będzie dziewięć takich jednostek i to wystarczy dla czterech brygad lotnictwa taktycznego (obecnie jest ich siedem). Przy czym dwie brygady mają dostać nowy sprzęt do 2030 roku.

Kijów jest zainteresowany konstrukcjami zachodnimi. W grę wchodzi zakup samolotów wielozadaniowych generacji 4++, takich jak amerykański F-16 Block 70/72, wielonarodowy Eurofighter Typhoon, szwedzki JAS-39E/F Gripen, francuski Rafale. Jako że Ukraina planuje przeznaczyć na ten cel

Ukraińskie lotnictwo ma samoloty odziedziczone po siłach zbrojnych byłego Związku Sowieckiego, które wyprodukowano w większości w latach osiemdziesiątych XX wieku, a najnowsze egzemplarze pochodzą z 1991 roku.



U A F

DOWÓDZTWO SIŁ POWIETRZNYCH UKRAINY PLANUJE CAŁKOWITĄ WYMIANĘ FLOTY POWIETRZNEJ

około 200 mld hrywien (7,44 mld dolarów), większe szanse mają tańsze typy maszyn. Dlatego już w 2014 roku podjęto rozmowy z producentem gripena, ale nie przyniosły one żadnych konkretnych, podobnie jak sygnały o zainteresowaniu F-16.

Jeśli chodzi o zakup bojowych odrzutowców, to problemem może się okazać nie tylko cena. Transakcje będzie bowiem próbowała utrudniać Rosja – i nie wiadomo, czy niektóre państwa będą gotowe skonfliktować się z nią z tego powodu. Ukraińcy mają w tej kwestii już pewne doświadczenia... W styczniu 2019 roku przedstawiciel przedsiębiorstwa zajmującego się produkcją urządzeń specjalnych Arsenal z Kijowa ujawnił informację, że pod naciskiem rządu federalnego niemiecka firma Rheinmetall odmówiła udziału w pracach przy mobilnym systemie przeciwlotniczym krótkiego zasięgu.

Dlatego politycy i wojskowi z Kijowa rozważają też inny kierunek dostaw. Na początku marca 2020 roku odnotowano wizytę ukraińskiej delegacji w zakładach lotniczych w Kamrze w Pakistanie, w których jest produkowany samolot wielozadaniowy JF-17. Pakistańczycy z pewnością chcieliby zdobyć tak wielkie zamówienie. Atutem JF-17 Block III jest cena, o wiele niższa niż samolotów będących w ofercie producentów amerykańskich czy europejskich. Jednak tu również jest pewien szkopuł. Otóż znaczący udział w tej konstrukcji mają Chiny, które dostarczają kluczowe podzespoły, jak chociażby radar z aktywnym skanowaniem elektronicznym AESA (Active Electronically Scanned Array). Władze w Pekinie utrzymują natomiast bardzo bliskie relacje z Kremlm i nie wiadomo, czy

zaryzykowałyby ich pogorszenie dla ograniczonych zysków ekonomicznych. Poza tym zakup myśliwców z chińską „wkładką” nie przybliżyłby Kijowa do Zachodu.

WIELKIE ZAMIERZENIA

Plan wprowadzenia samolotów wielozadaniowych czwartej generacji wymusza też inwestycje w szkolnictwo. Ukraińcy potrzebują nowoczesnych odrzutowców treningowych, które zastąpią leciwe L-39 Albatros. Ukraina chce kupić samoloty mogące służyć także do bezpośredniego wsparcia lotniczego, np. przeciwko separatystom w Donbasie, i zamierza wyasygnować na ten program 35 mld hrywien (1,3 mld dolarów).

Przed laty pojawiły się informacje o rozmowach z Chinami w sprawie licencyjnej produkcji maszyny Hongdu L-15. Jednak ten wybór, podobnie jak JF-17, może stać się zarzewiem problemów w kontaktach z Zachodem, a na pewno z USA. Dlatego możliwy jest zakup innego typu samolotu. Na rynku są dostępne m.in. nowy czeski Aero L-39NG, włoski M-346 Master, brytyjski Hawk AJT czy południowokoreański KAI T-50 Golden Eagle. Być może kupione zostaną szkolne maszyny śmigłowe. W sierpniu 2019 roku delegacja ukraińskich sił powietrznych była w Brazylii. Tamtejsza firma Embraer ma w swej ofercie EMB-314 Super Tucano. W grę mogą też wchodzić m.in. amerykański Beechcraft T-6, południowokoreański KAI KT-1 Woongbi czy turecki TAI Hürkuş-C.

Łatwiejsza wydaje się modernizacja lotnictwa transportowego. Ukraina może tego dokonać własnymi siłami, gdyż ➔

JEDNOSTKI LOTNICZE



15 Brygada Lotnictwa Transportowego – Boryspol (An-24, An-26, An-30)
25 Brygada Lotnictwa Transportowego – Melitopol (Il-76, An-26)
456 Brygada Lotnictwa Transportowego – Winnica (An-24, An-26)



7 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Starokonstantynów (Su-24M, Su-24R)
39 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Ożerne (MiG-29, Su-27)
40 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Wasylków (MiG-29, L-39)
114 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Iwano-Frankińsk (MiG-29)
204 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Łuck (MiG-29)
299 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Kulbakino (Su-25)
831 Brygada Lotnictwa Taktycznego – Mirgorod (Su-27)



383 Samodzielny Pułk Zdalnie Sterowanych Samolotów – Chmielnicki (Tu-141, Tu-143, Bayraktar TB2)



U A F

ma zakład lotniczy Aviat, oferujący maszyny biura projektowego Antonowa. Jedną z nich jest dwusilnikowy An-178, wywodzący się od samolotu pasażerskiego An-158 i zabierający na pokład do 18 t ładunku. Antonow pracuje nad czterosilnikowym transportowcem o napędzie odrzutowym An-188. Maszyna na bazie płatowca An-70 będzie mogła przewozić ładunki o masie do 40 t. Istnieje też An-70 z napędem turbośmigłowym. Problemem jest jednak to, że żadna z tych konstrukcji nie jest produkowana...

Tymczasem ukraińskie siły powietrzne, zgodnie z upublicznionym dokumentem, mają dysponować jedną brygadą lotnictwa specjalnego i transportowego zamiast trzema, jak jest obecnie. W latach 2027–2035 do lotnictwa powinny być dostarczane średnie transportowce (jeden, dwa samoloty rocznie), które będą kosztować 40 mld hrywien (1,49 mld dolarów). Nowy samolot ma zastąpić kilka obecnych typów, spośród których najliczniej reprezentowany jest An-26. Ukraińcy mają jeszcze kilka Il-76, An-24 i An-30 (wersja rozpoznawcza) oraz jeden An-70.

KASA, KASA

Pierwszymi zachodnimi konstrukcjami w ukraińskim lotnictwie wojskowym są bezzałogowe statki powietrzne. Istnieje już jednostka wyposażona

w tureckie bezzałogowce Bayraktar TB2. „Wizja sił powietrznych 2035” zawiera zapowiedź inwestycji w nowe systemy, na które zostanie przeznaczonych 30 mld hrywien (1,12 mld dolarów). Jeśli chodzi o bezzałogowce, nad własnymi rozwiązaniami pracuje także Antonow. Docelowo w siłach powietrznych naszego sąsiada mają pojawić się cztery pułki lub brygady z dronami bojowymi i rozpoznawczymi.

Koszty modernizacji lotnictwa sił powietrznych do 2035 roku oszacowano na 320 mld hrywien (11,9 mld dolarów) na podstawie cen z tego roku. Kolejne miliardy pochłonie unowocześnienie naziemnej obrony powietrznej – zakupy nowych systemów rakietowych, radarów, systemów walki elektronicznej, rozpoznania, dowodzenia i kontroli. Tymczasem ubiegłoroczny budżet ukraińskich sił powietrznych wyniósł zaledwie 8,2 mld hrywien.

Oprócz wymiaru militarnego i ekonomicznego „Wizja sił powietrznych 2035” ma kontekst polityczny. Wymiana samolotów będzie techniczną de-rusyfikacją ukraińskiego lotnictwa wojskowego. Jednocześnie zostaną zerwane więzy między firmami sektora lotniczego Rosji i Ukrainy. Wdrożenie założeń zawartych w dokumencie będzie potwierdzeniem zwrotu Kijowa w kierunku Zachodu. Trzeba jednak pamiętać o tym, że na razie jest to wizja, która może się zmienić.



Koszty modernizacji lotnictwa sił powietrznych do 2035 roku oszacowano na

11,9
mld dolarów
na podstawie
cen z tego roku.



Lekcja prosto z frontu

Ukraińskie wojska pancerne mają niemały kłopot z modernizacją czołgów. Trzeba było znaleźć sposób na ich unowocześnienie mimo zerwania kontaktów z rosyjskimi firmami zbrojeniowymi.

TOMASZ OTŁOWSKI

Pierwszy, najbardziej krwawy i najintensywniejszy militarnie okres wojny domowej na Ukrainie (kwiecień–wrzesień 2014 roku) nie był udany dla tamtejszych formacji pancernych. Ze względu na szczupłość sił rządowych, które mogły z marszu uczestniczyć w działaniach na froncie, to właśnie jednostki pancerne (w tym uznawana za elitarną 1 Samodzielna Brygada Pancerna z Czernihowa) stanowiły trzon ukraińskich sił w operacji antyterrorystycznej prowadzonej w zbuntowanych obwodach ługańskim i donieckim. Do walki skierowano około 300 ukraińskich czołgów T-64BW i T-64BM Bułat, które

wykorzystano w zmaganiach o lotnisko w Ługańsku, w krwawych walkach w tzw. worku debalcewskim, a później w działaniach obronnych na przedpolach Mariupola.

NIEZGODNIE Z REGUŁAMI

Udział w tej najbardziej aktywnej fazie wojny domowej zakończył się dla ukraińskich czołgów prawdziwym pogromem. Do końca 2014 roku zniszczonych zostało ponad sto T-64, co stanowi 15% ogółu maszyn tego typu w tamtejszych siłach zbrojnych. Wspomniana 1 Samodzielna Brygada Pancerna, wyposażona w najnowocześniejszą



T-64BW

Uzbrojenie podstawowe:

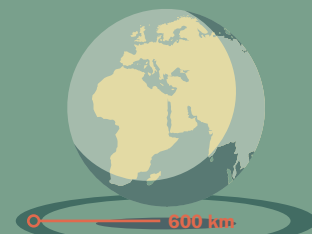
gładkolufowe działo czołgowe 2A46 (D-81T) kalibru 125 mm z karuzelowym automatem ładowania. Szybkostrzelność działa – 8 strzałów/min. Zapas pocisków armatnich – 28–36 sztuk, dodatkowo 6–8 kierowanych pocisków przeciwpancernych typu Kobra (AT-8 Songster w kodzie NATO)

Uzbrojenie dodatkowe:

współosiowy karabin maszynowy PKMT kalibru 7,62 mm (zapas 1200 pocisków) oraz zamontowany na szczycie wieży przeciwlotniczy wielokalibrowy karabin maszynowy NSWT kalibru 12,7 mm (z 300 pociskami), z opcją automatycznego prowadzenia ognia z wnętrza wozu. Dodatkowo dwie czterolufowe wyrzutnie typu 902B Tucza, kalibru 81 mm, strzelające granatami dymnymi i aerozolowymi. Uzbrojenie indywidualne członków załogi – karabinki AKS-74U, pistolety, granaty ręczne F-1.

Maksymalna prędkość:

około 60 km/h (drogowa),
40 km/h (w terenie)



Zasięg operacyjny

Długość: 6,5 m (bez lufy działa), 9,2 m z lufą

Załoga:

3 żołnierzy (dowódca, kierowca-mechanik, strzelec-działonowy)

Wysokość: 2,2 m

Masa: około 40–42 t

Szerokość:
3,4 m

Ochrona: płyty stalowo-kompozytowe, elementy odlewane. Dodatkowo pancerz reaktywny ERA typu Kontakt (rosyjski) lub Nóż (ukraiński), montowany na płycie czołowej i bokach pojazdu oraz na szczycie i bokach wieży

wersję czołgów T-64BM Bułat, utraciła w walkach na wschodzie 15 takich maszyn, czyli niemal 20% swego stanu wyjściowego. 11 z nich zostało wyeliminowanych przez kierowane pociski przeciwpancerne (anti-tank guided missile – ATGM) lub ogień artylerii, a cztery porzuciły załogi po zerwaniu trakcji lub uszkodzeniu układu napędowego (czołgi te zostały następnie przejęte i przywrócone do stanu używalności przez rebeliantów).

Statystyki potwierdzają to, co już wiosną 2014 roku wytykali Kijowowi zachodni eksperci i doradcy – ukraińskie siły pancerne zostały wykorzystane niezgodnie z klasycznymi regułami ich użycia w boju. Największym błędem było pozbawienie załóg wsparcia i osłony ze strony piechoty, co wystawiało je na cenniejszy i bardziej niszczący ogień wrogich ATGM. Innym niedopatrzeniem ukraińskiego dowództwa było dzielenie zwartych oddziałów taktycznych na mniejsze, współpracujące z np. niewyszkolonymi formacjami nieregularnymi (milicje), a także częste wykorzystywanie czołgów jako statycznych punktów ogniowych w stałych liniach obronnych jednostek ukraińskich. Z drugiej strony, tam gdzie formacje pancerne działały zgodnie z kanonami sztuki wojennej, były one nawet w stanie odpiąć ataki rosyjskich liniowych jednostek pancernych, działających pod szyldem separatystów i wyposażonych w najnowsze wersje czołgów T-72, eliminując w toku walk kilkanaście z nich. Ukraińskie T-64BW/BM –

UKRAIŃSKIE T-64BW/BM POKAZAŁY SWĄ WARTOŚĆ BOJOWĄ. BYŁY W STANIE ODPIERAĆ ATAKI ROSYJSKICH LINIOWYCH JEDNOSTEK PANCERNYCH, WYPOSAŻONYCH W NAJNOWSZE WERSJE CZOŁGÓW T-72

PANCERNY POTENCJAŁ

Armia ukraińska ma na stanie około 2300 czołgów podstawowych, z czego aż blisko 1700 sztuk to różne wersje maszyn T-64. Większość z nich (około 950 wozów typu T-64B) znajduje się w rezerwie strategicznej. Pozostałe 750 czołgów T-64 w wersjach BW i BM Bułat pełni służbę w linii i mają być one sukcesywnie zmodernizowane do standardu wzór 2017 (zrzadzka 2017). Ten proces ma się zakończyć do 2023 roku. ■

DECYZJA NA CZAS KRYZYSU

W wyniku rosyjskiej aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie, po 2014 roku relacje Kijowa z Moskwą, także jeśli chodzi o współpracę zakładów zbrojeniowych, zostały zerwane. Uniemożliwiło to pozyskiwanie podzespołów do używanych w siłach zbrojnych Ukrainy maszyn typu T-72 i T-80 (w całości produkowanych i serwisowanych w Rosji). Ukraińcy zdecydowali się wówczas ostatecznie oprzeć swe siły pancerne na czołgach T-64BW i BM Bułat. ■

mimo ewidentnych mankamentów technicznych – pokazały swą wartość bojową, jeśli tylko ich załogi były dobrze wyszkolone i zmotywowane, dowódcy kompetentni, a sytuacja taktyczna zapewniała możliwość działania według reguł walki pancernej.

MODERNIZACJA NA GORĄCO

Niejednoznaczne wnioski z działań wojennych utwierdziły ukraińskich decydentów w przekonaniu, że zrobienie z czołgów T-64 trzonu krajowych sił pancernych było zasadne. Frontowe doświadczenia potwierdzały jednak równocześnie konieczność pilnego unowocześnienia tych maszyn, szczególnie pod względem bezpieczeństwa i przeżywalności załóg oraz prowadzenia walki w nocy, a także w złych warunkach pogodowych. Proces modernizacji T-64BW do standardu BM Bułat okazał się nadmiernie kosztowny i czasochłonny, a nowy wóz zbyt ciężki i niezgrabny. Zdecydowano się więc na inne rozwiązanie, łączące pilne wymogi operacyjne z trudną wciąż sytuacją budżetową Ukrainy.

W styczniu 2017 roku ukraińskie ministerstwo obrony podjęło decyzję o rozpoczęciu modernizacji czołgów podstawowych T-64BW i T-64BM Bułat do standardu wzór 2017 (zrzadzka 2017). Określenie „modernizacja” jest tu jednak użyte nieco na wyrost, bo zakres zaplanowanych zmian w czołgach sugeruje raczej ich odświeżenie przez unowocześnienie syste-

mów odpowiedzialnych za świadomość sytuacyjną załogi i jakość prowadzenia walki. Do końca 2019 roku przekazano siłom zbrojnym w sumie ponad 200 czołgów T-64 BW/BM unowocześnionych do modelu 2017. Według zapewnień Kijowa, docelowo wszystkie maszyny pozostające w linii (około 750 sztuk) mają zostać poddane tej modernizacji.

Ze względu na zerwanie współpracy z zakładami zbrojeniowymi w Rosji prace odbywają się siłami własnego przemysłu obronnego, choć część podwykonawców korzysta z rozwiązań zachodniej myśli technicznej. W procesie unowocześniania maszyn wykorzystuje się więc krajowe podzespoły. Prace modernizacyjne prowadzone są już w dwóch przedsiębiorstwach, należących do państwowego koncernu zbrojeniowego Ukroboronprom – w Lwowskiej Fabryce Pojazdów Opancerzonych oraz w Fabryce im. Małyszewa w Charkowie, gdzie w latach 1963–1987 produkowano czołgi typu T-64.

NARZĘDZIA DLA ZAŁOGI

W czołgach wymieniono celownik działonowego, który zupełnie nie sprawdził się w realiach współczesnego konfliktu. Na jego miejsce montowany jest pasywny celownik termowizyjny typu TPN-1-TPW, umożliwiający wykrycie celów w odległości do 5 km, a identyfikację wrogich maszyn już na dystansie do 4 km. Dotychczas używany aktywny celownik (TPN1-49-23) pozwalał na wykrycie wroga i otwarcie ognia w nocy zaledwie z około 800 m, ale często wiązka podczerwieni zdradzała własną pozycję. Nowy system, dzięki pasywności, jest bezpieczniejszy dla wozu, a ponadto znacząco zwiększa skuteczność i zasięg prowadzenia ognia działonowego, bez względu na porę dnia i warunki pogodowe. Termowizyjne urządzenia obserwacyjne (wyposażone w optoelektronikę trzeciej generacji i odporne na zakłócenia świetlne) otrzymali także pozostali członkowie załogi czołgu. Urządzenia te zintegrowano z cyfrowym układem kierowania ogniem.

Czołgi T-64 wyposażono również w nowy system łączności cyfrowej, który powstał na bazie radiostacji Łybid-K 2RB (ukraińska produkcja na licencji Motoroli), zapewniający szyfrowaną komunikację w promieniu do 70 km od czołgu. Doświadczenia z Donbasu pokazały, że bezpieczeństwo systemów łączności na każdym szczeblu taktycznym jest piętą achillesową ukraińskich sił zbrojnych. Nowy system ma być znacznie bardziej odporny na zakłócenia i próby przechwylenia sygnałów przez nieprzyjaciela. Dodatkowo armatę czołgową wyposażono w system stabilizacji i podążania za celem. Z czołgu usunięto także charakterystyczny dla T-64B/BW reflektor podczerwieni Łuna. Modernizacja zakłada także wzmocnienie ochrony pojazdu, choć Ukroboronprom nie podał szczegółów na ten temat. Być może polega ona na wymianie wkładów pancerza reaktywnego Kontakt-1 (produkcji rosyjskiej) na ukraiński system Nóż. Z pewnością na razie nie wyposaża się tych nowych starych ukraińskich czołgów T-64 w systemy aktywnej ochrony, choć nie można wykluczyć takiego rozwiązania w przyszłości (np. z użyciem rodzimej ukraińskiej konstrukcji Zasłon). ■



OBRONCY WYSP

Amerykańska armia w ewentualnej konfrontacji z Chinami zamierza wykorzystać najnowsze technologie. Do trzymania w szachu wrogiej floty użyje bezzałogowych systemów artylerii rakietowej.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Przyjęta w grudniu 1941 roku w Waszyngtonie przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelta i premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla strategia „Europe first”, czyli „Najpierw Europa”, zakładała, że Amerykanie będą koncentrować się na walce z hitlerowskimi Niemcami, a dopiero w dalszej kolejności zajmą się powstrzymaniem japońskiej agresji w rejonie Pacyfiku i Azji. Co ciekawe, została ogłoszona 11 grudnia 1941 roku, więc zaledwie cztery dni po ataku na bazę US Navy w Pearl Harbor.

SUKCESY W CIENIU OFIAR

Nie wszyscy amerykańscy dowódcy popierali wówczas decyzję Roosevelta. Przeciwnicy podkreślali, że działania na europejskim kierunku są, owszem, korzystne, ale dla Wielkiej Brytanii, a nie dla Stanów Zjednoczonych. Mocnych argumentów jeszcze im przybyło, kiedy Londyn forsował w 1942 roku znaczące zwiększenie obecności wojsk amerykańskich

w Afryce Zachodniej, w której walki toczyły się w byłych brytyjskich koloniach...

Choć wówczas nie doszło do buntu generacji w sprawie działań na Pacyfiku, to bardzo długo wojskowi decydenci – wbrew woli prezydenta USA – starali się zachować równowagę w nakładach sił. Jeszcze w grudniu 1943 roku balans sił amerykańskich zaangażowanych na obu frontach był niemal równy. Przeciwko Japonii Stany Zjednoczone wysłały w bój prawie 1,9 mln ludzi (cywilów i żołnierzy), niemal 8 tys. samolotów i ponad 700 różnego typu okrętów wojennych. Do boju z hitlerowskimi Niemcami zaś skierowano 1,8 mln osób, ponad 8,8 tys. samolotów i nieco ponad 5 tys. okrętów wojennych. Zmieniło się to diametralnie dopiero w 1944 roku. Wówczas stosunek sił wynosił mniej więcej 80% w Europie (ponad 50 dywizji) i 20% na Pacyfiku (około 20 dywizji). Nie przeszkodziło to jednak Amerykanom prowadzić przeciwko Japonii intensywnych działań ofensywnych – wystarczy wymienić Saipan (czerwiec 1944 roku), Guam (lipiec 1944 roku)

BEZZAŁOGOWE WYRZUTNIE, ZRZU- CONE Z SAMOLOTU NA SPADOCHRONIE, BĘDĄ MOGŁY TYGO- DNIAMI CZEKAĆ W UKRYCIU NA NIEPRZYJACIELSKIE OKRĘTY

czy wyzwolenie Filipin w październiku 1944 roku. Były to jednak sukcesy okupione ogromnym nakładem sił i ofiar. Tak dużym, że w 1945 roku, aby zakończyć wojnę z Japonią, sięgnięto po broń atomową.

Amerykanie mocno podkreślają, że wojna na Pacyfiku była dla USA ogromnym wysiłkiem gospodarczym, militarnym i ludzkim – zginęło około 130 tys. amerykańskich żołnierzy, a 240 tys. z nich odniosło rany. To ogromna danina krwi i amerykańskie społeczeństwo nie tylko wciąż o niej pamięta, lecz także nie chce dopuścić, aby drugi raz przyszło ją składać.

Dlatego mieszkańcy USA godzili się inwestować po II wojnie światowej miliardy dolarów w utrzymanie sił morskich (wraz z piechotą morską) zdolnych powstrzymać na Pacyfiku każdego przeciwnika. I przez dziesięciolecia posiadanie dziesiątek okrętów desantowych, fregat rakietowych, lotniskowców atomowych oraz nowoczesnych samolotów wystarczało, aby nikt za oceanem nie myślał z niepokojem o Pacyfiku. Do czasu. A dokładniej do początku obecnej dekady, kiedy okazało się, że amerykańscy stratedzy mylnie oceniali, iż Chiny są zacofane technologicznie. Tymczasem Kopciuszek okazał się księżniczką, na dodatek z aspiracjami do bycia supermocarstwem w rejonie Azji i Pacyfiku. Przez długi czas wielu amerykańskich polityków i generałów nie chciało jednak tego faktu przyjąć do wiadomości. Dopiero gdy Chińczycy rozpoczęli budowę trzech lotniskowców w tym samym czasie, sceptykom klapki spadły z oczu. Wtedy zaczęto szukać panaceum.

ROBOTYZACJA I TECHNOLOGIE

Plan nowej amerykańskiej strategii dla Pacyfiku powstał mniej więcej dwa lata temu, a rok później zaczęto wprowadzać go w życie. Sprowadza się on do idei maksymalnego wykorzystania przewagi technologicznej amerykańskich sił

zbrojnych połączonej z głęboką reformą dwóch rodzajów wojsk. Korpus piechoty morskiej ma stać się formacją służącą do prowadzenia błyskawicznych działań desantowo-obronnych, a marynarka wojenna nie będzie tylko pewnego rodzaju walcem ofensywnym, opierającym swoją siłę na zespołach zadaniowych, których sercem są lotniskowce, lecz zacznie się koncentrować na działaniach na wodach przybrzeżnych. Co ciekawe, w tej amerykańskiej koncepcji rolę młota na okręty wojenne nieprzyjaciela mają przejąć... lądowe systemy rakietowe. Tylko z pozoru brzmi to paradoksalnie. Dynamiczny rozwój pocisków przeciwokrętowych, których zasięgi wynoszą od 150 do 250 km, sprawił, że dzięki charakterystyce pacyficznych archipelagów można takimi systemami uzbrojenia kontrolować ogromne obszary.

Tymczasem Amerykanie, stawiając na systemy rakietowe, chcą do maksimum wykorzystać najnowsze technologie, sięgając więc po systemy bezzałogowe. Niedawno rozpoczęły się pierwsze testy ogniowe prototypowego Remotely Operated Ground Unit Expeditionary (ROGUE) Fires Vehicle. Są to bezzałogowe samochody terenowe JTLV (Joint Light Tactical Vehicle), czyli wozy mające w najbliższej przyszłości zastąpić humpery, na których zainstalowano wyrzutnie pocisków Naval Strike Missile (takie, jakie ma w uzbrojeniu polska Morska Jednostka Rakietowa).

KLUCZOWY ZASIĘG

Warto przypomnieć, że Rosjanie już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia projektowali samobieżne, zdalnie sterowane systemy ogniowe. Były to niszczyciele czołgów uzbrojone w rakiety przeciwpancerne o zasięgu zaledwie kilku kilometrów, a operator musiał być w odległości maksymalnie kilku kilometrów od takiego robota. Tymczasem jeśli chodzi o ideę wykorzystania ROGUE Fires Vehicle, to kluczem ma być praktycznie nieograniczona odległość między sterującym a pojazdem. Tak jak w odniesieniu do dronów, które latają nad Afganistanem, ale są pilotowane przez żołnierzy z bazy w Teksasie. Dzięki temu bezzałogowe wyrzutnie, zrzucone z samolotu na spadochronie, będą mogły tygodniami czekać w ukryciu na nieprzyjacielskie okręty. Nie potrzebują na miejscu do swojej obsługi żołnierzy, których obecność przeciwnik może łatwo wykryć.

Ciekawe jest również to, na jakie pociski zdecydowali się Amerykanie. Chociaż mieli do dyspozycji kilka rodzimych konstrukcji, wybrali norweskie NSM. Jak wyjaśniał Pentagon, są one wyposażone w nowocześniejsze głowice, ale przede wszystkim dysponują znacznie większym – sięgającym 200 km – zasięgiem. I razem z nowymi pociskami przeciwokrętowymi do samolotów AGM-158C LRASM, o zasięgu ponad 350 km, mają tworzyć na Pacyfiku prawdziwą zaporę ogniową.

Jeżeli testy prototypu ROGUE wypadną dobrze, amerykańska piechota morska planuje zlecić opracowanie partii próbnej już wiosną 2021 roku, a seryjnej – rok później. Korpus chce mieć w linii kilkaset takich wyrzutni, łatwo więc sobie wyobrazić, jak duży obszar Pacyfiku mógłby dzięki nim kontrolować. ■



Florence Parly, minister obrony Republiki Francuskiej, przemawia w stoczni Chantiers de l'Atlantique. Przybyła tam, aby wziąć udział w uroczystości symbolicznego cięcia pierwszego arkusza blachy przeznaczonego do budowy jednego z czterech nowych okrętów wsparcia logistycznego. Saint-Nazaire, 18 maja 2020 roku



Baza na horyzoncie

Trudno byłoby bez nich przeprowadzić jakąkolwiek operację na odległych akwenach. Dlatego marynarki wojenne państw NATO intensywnie modernizują swą flotę okrętów logistycznych.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Nawet największe i najnowocześniejsze okręty wojenne mają ograniczoną autonomię działania. Muszą zawijać do portów, żeby uzupełnić zapasy paliwa, żywności, wody pitnej czy amunicji. Trzeba jednak liczyć się z tym, że podczas operacji na odległych akwenach w pobliżu może nie być przyjaznych baz. Wówczas dłuższy pobyt w rejonie działań umożliwiają okrętom wojennym jednostki logistyczne, które można również wykorzystać do wspierania operacji na lądzie. Dlatego marynarki wojenne członków NATO przeznaczają duże pieniądze na tego typu rozwiązania. Często różne państwa korzystają z tego samego projektu, ale dostosowują go do swoich potrzeb.

PREFEROWANA WIELOZADANIOWOŚĆ

15 czerwca 2020 roku kanadyjscy ministrowie obrony oraz prac publicznych i zamówień ogłosili powierzenie Seaspan's Vancouver Shipyards kontraktu o wartości 2,4 mld dolarów kanadyjskich na budowę dwóch okrętów wsparcia (Joint Support Ship – JSS). Co ciekawe, nastąpiło to dziesięć lat po uruchomieniu tego programu. Teraz dzięki wspomnianej umowie może ruszyć pełną parą budowa pierwszego z logistyków. HMCS „Protecteur” ma trafić do marynarki w 2023 roku (pełną gotowość operacyjną osiągnie w 2026 roku), a jego bliźniak HMCS „Preserver” – rok później.

JSS powstanie na bazie zmodyfikowanego projektu okrętu logistycznego typu Berlin firmy ThyssenKrupp Marine Systems. Okręt będzie konstruowany metodą modułową i zostanie zmontowany z 52 bloków. W ten sposób powstanie jednostka wielofunkcyjna, służąca do transportu paliwa, amunicji, części zamiennych, żywności i wody. Na pokładzie znajdują się też warsztaty remontowe i kompleks medyczny. Okręt o wyporności około 20 tys. t będzie mógł zabrać do 64 dwudziestopowowych kontenerów. Modułowy most pontonowy umożliwi zaś przerzucenie ładunku o masie do 50 t w miejsca, gdzie nie będzie infrastruktury portowej. Inną metodą transportu pozostaną śmigłowce, dla których powstaną na pokładzie lądowisko i hangar.

Francuzi również nie zasypiają gruszek w popiele. W 2020 roku Chantiers de l'Atlantique rozpoczęła budowę pierwszego z czterech okrętów wsparcia logistycznego (Bâtiment ravitailleur de force – BRF) dla marynarki wojennej Francji. Tutaj też skorzystano z istniejącego już projektu zagranicznego. Bliskie więzi z włoskimi firmami stocznioowymi spowodowały, że jako bazę nowej konstrukcji wybrano okręt wsparcia logistycznego typu Vulcano o wyporności 27,2 tys. t, który do służby w rodzimej marynarce wojennej wejdzie dopiero pod koniec 2020 roku. Francuskie jednostki będą jednak od niego nieco większe (31 tys. t wyporności przy 194 m długości i 27,6 m szerokości). Na pokładzie znajdzie się miejsce dla 190 osób, w tym



SEASPAR VANCOUVER SHIPYARDS

15 czerwca 2020 roku kanadyjscy ministrowie obrony oraz prac publicznych i zamówień ogłosili powierzenie Seaspan Vancouver Shipyards kontraktu o wartości 2,4 mld dolarów kanadyjskich na budowę dwóch okrętów wsparcia. Każdy z okrętów budowany będzie metodą modułową i zostanie zmontowany z 52 bloków.

ROYAL NAVY



Ben Wallace, sekretarz stanu w resorcie obrony Wielkiej Brytanii, zasugerował w maju br. na posiedzeniu parlamentarnej komisji obrony, że być może już we wrześniu nastąpi wznowienie programu budowy trzech okrętów zaopatrzeniowych do transportu ładunków stałych (Fleet Solid Support) dla Royal Fleet Auxiliary.

Wizja przyszłego okrętu zaopatrzeniowego dla Royal Navy

60 pasażerów. Pierwszy okręt wsparcia, czyli „Jacques Chevallier”, zostanie przekazany francuskiej marynarce wojennej w końcu 2022 roku, a pozostałe – w latach 2025–2029.

SAME ZNAKI ZAPYTANIA

Brytyjczycy z kolei prawdopodobnie wznowią zawieszony jesienią 2019 roku program budowy trzech okrętów zaopatrzeniowych do transportu ładunków stałych (Fleet Solid Support – FSS) dla odpowiedzialnej za wsparcie logistyczne marynarki Royal Fleet Auxiliary. Jego koszt szacowany jest na 1,5 mld funtów szterlingów. Podsekretarz stanu w resorcie obrony Ben Wallace w maju 2020 roku na posiedzeniu parlamentarnej komisji obrony zasugerował, że być może powrót do programu nastąpi we wrześniu. W związku z tym w czerwcu stocznia Harland & Wolff z Belfastu podpisała z Navantią porozumienie o współpracy w projektowaniu jednostek logistycznych. Okręty mają być bowiem budowane w krajowej stoczni.

Zakłada się, że powstaną tam jednostki o wyporności około 40 tys. t, wyspecjalizowane w przewozach ładunków stałych. Wcześniej Brytyjczycy kupili już nowoczesne zbiornikowce w Korei Południowej. Cztery jednostki typu Tide o wyporności 39 tys. t zbudowane przez Daewoo Shipbuilding and Marine Engineering weszły do służby w latach 2017–2019.

Pomimo zapowiedzi Wallace’a kontynuacja programu FSS nie jest jednak do końca pewna, ponieważ podczas wewnętrznej odprawy w Royal Navy pojawiła się informacja o rezygnacji zarówno z budowy FSS, jak i okrętu desantowego (Littoral Strike Ship) na rzecz zunifikowanych jednostek. Projekt ten, znany jako wielozadaniowy okręt wsparcia (Multi-Role Support Ship), dotyczy jednostek mających około 24 tys. t wyporności.

SZYBKO I KONKRETNIE

Gdy Brytyjczycy snują rozważania, Holendrzy intensywnie działają. W lutym 2020 roku potentat stocznioy Damen

Schelde Naval Shipbuilding (DSNS) podpisał z holenderską agencją zaopatrzenia Defensie Materieel Organisatie umowę na nowy okręt wsparcia bojowego HNLMS „Den Helder” (A834). Budżet na budowę wynosi 375 mln euro, choć wcześniej przewidywano, że jednostkę uda się skonstruować taniej. W realizację tego programu zostanie zaangażowanych ponad sto holenderskich firm. Jednak sam okręt powstanie w należącej do DSNS rumuńskiej stoczni w Konstancy. Dopiero prace wykończeniowe i montaż systemów bojowych odbędą się w stoczni w Den Helder. Logistyk ma być ukończony w drugim kwartale 2024 roku.

Jednostka powstanie na bazie mocno zmodyfikowanego projektu okrętu HNLMS „Karel Doorman” (A833), który zbudowano w latach 2011–2014 dla floty wojennej Królestwa Niderlandów. Według danych z modelu jednostki zaprezentowanego na wystawie NEDS 2019 w Rotterdamie, „Den Helder” o wyporności 22,4 tys. t będzie miał 179,3 m długości – w mediach pojawiały się informacje, że to będzie około 200 m – i 24 m szerokości. Załoga nowego holenderskiego logistyka będzie liczyła 75 marynarzy, ale zaplanowano też miejsce dla 75 dodatkowych osób. Na pokładzie będzie można przewozić około 20 kontenerów. W części rufowej znajdują się lądowisko i hangar dla kilku śmigłowców. Okręt zostanie też wyposażony w dwie łodzie hybrydowe RHIB i dwie szybkie łodzie przechwytyjące FRISC.

Do jednostek logistycznych przywiązuje się tak dużą wagę nie tylko z militarnych powodów. W czasach pokoju bywają one wykorzystywane na przykład do transportu pomocy humanitarnej dla ofiar katastrof naturalnych. Gdy wybuchła pandemia koronawirusa, wysłano HNLMS „Karel Doorman” w rejon Karaibów. Na jego pokładzie znaleźli się medycy mający wesprzeć służbę zdrowia w zamorskich posiadłościach Królestwa Niderlandów. ■

PŁYWAJĄCY PARASÓŁ

Japonia buduje tarczę antyrakietową
z niszczycieli wyposażonych w system Aegis.

RAFAŁ CIASTOŃ



Pocisk przeciw-
rakietowy SM-3 wy-
strzeliwany z japoń-
skiego niszczyciela
typu Kongō

Rząd w Tokio trzy lata temu podjął decyzję o pozyskaniu i rozmieszczeniu na terytorium Japonii dwóch instalacji systemu Aegis Ashore, które miały tworzyć element obrony antybalistycznej. W czerwcu 2020 roku zrezygnowano z tych planów ze względu na kłopoty finansowe. W tym samym czasie próby morskie rozpoczął nowy niszczyciel Japońskich Morskich Sił Samoobrony – JS „Haguro”. Jest to ósmy i ostatni z planowanych okrętów wyposażonych w system Aegis. Te jednostki stanowią zatem trzon obrony antyrakietowej Kraju Kwitnącej Wiśni.

PIERWSZE PIĘTRO

Instalacje systemu Aegis Ashore miały zostać ulokowane w prefekturach Yamaguchi i Akita. Początkowo Japonia rozważała możliwość wyposażenia ich w pociski Tomahawk, co wzbudzało niepokój zarówno w Chinach, jak i Rosji. Koncepcja pozyskania tych instalacji została porzucona nie tylko z uwagi na znaczący wzrost planowanych kosztów ich rozmieszczenia, ale też pod wpływem protestów lokalnych samorządów. Tamtejsze społeczności obawiały się tego, jaki wpływ na zdrowie mieszkańców będzie mieć promieniowanie emitowane przez wchodzące w skład Aegis Ashore systemy radarowe, a także ewentualnych szkód związanych z upadkiem w gęsto zamieszkanym terenie pierwszych stopni pocisku przechwytyującego SM-3 Block IIA.

Rząd japoński zapowiedział wprowadzić, że będą rozważane inne opcje służące zwiększeniu zabezpieczenia państwa przed potencjalnym atakiem balistycznym, ale nie wydaje się, by w najbliższych latach zdecydowano się na nowe rozwiązania w tej dziedzinie. Kilka lat temu rozpatrywano wprowadzić pozyskanie zestawów THAAD, lecz z uwagi na ich mniejszy zasięg konieczny byłby zakup aż sześciu baterii, które również musiałyby zostać rozlokowane w zamieszkanym rejonach kraju. Z kolei pozyskanie systemów uderzeniowych, co jest postulowane wśród części członków japońskiego gabinetu, tylko na pozór stanowi rozwiązanie alternatywne.

Ze względu na ograniczenia konstytucyjne trudno sobie wyobrazić, by Japonia choćby na poziomie werbalnym zagroziła innemu krajowi uderzeniem prewencyjnym, a to sprawia, że uzbrojenie ofensywne nie do końca może pełnić funkcję odstraszającą. Choć oczywiście zakup tego rodzaju zestawów nie jest wykluczony, nie mogą one stanowić alternatywy dla systemów defensywnych. Pierwsze i główne piętro obrony antybalistycznej Japonii będą zatem stanowić wyposażone w system Aegis niszczyciele trzech typów: Kongō, Atago i Maya, drugie – baterie pocisków Patriot PAC-2 i PAC-3. Warto zatem przyrzeć się dwóm najnowszym japońskim okrętom.

JEDNOSTKI Z PAZUREM

Okręty typu Maya to ostatnia z planowanych serii japońskich niszczycieli wyposażonych w system Aegis i zdolnych do zwalczania celów balistycznych. Poprzednie to cztery okręty typu Kongō, wcielone do służby w latach 1993–1998, oraz dwie jednostki typu Atago, przyjęte do Japońskich Morskich Sił Samoobrony w latach 2007–2008. Aby zapewnić obronę antybalistyczną całego kraju, Japonia potrzebuje nie mniej niż trzech rozmieszczonych odpowiednio okrętów, co – biorąc pod uwagę okresowe remonty czy potrzebę wymiany załóg – determinuje liczbę co najmniej ośmiu jednostek w linii.

Wcielone do służby w marcu 2020 roku okręty typu Maya oraz Haguro, na którym bandera ma zostać podniesiona rok później, są od podstaw zaprojektowane do roli przeciwrakietowej, więc – w przeciwieństwie do wcześniejszych jednostek – nie będzie konieczna ich modernizacja. Przy długości 170 m okręty te mają wyporność 10 250 t, są więc nieznacznie większe od swych poprzedników (odpowiednio 161 m i 9500 t oraz 165 m i 10 tys. t). Podobnie jak w typie Atago, podstawowe uzbrojenie stanowi 96-komorowa pionowa wyrzutnia rakiet Mk VL-41, z której mogą być odpalane pociski typu ESSM, SM-2, SM-3 i SM-6 oraz raketotorpedy typu 07. Przewidziano też dwie poczwórne wyrzutnie pocisków przeciwokrętowych typu 17, dwie potrójne wy-

rzutnie torpedowe, pojedynczą armatę kalibru 127 mm oraz dwa działka kalibru 20 mm. Ponadto na niszczycielach tego typu znajdują się lądowisko oraz hangar dla śmigłowca pokładowego.

Podobnie jak jednostki wcześniejszych serii, okręty typu Maya i Haguro są zdolne do przenoszenia wszystkich trzech wariantów pocisków przeciwraкетowych rodziny SM-3, a więc Block IA i B oraz Block IIA (w sierpniu 2019 roku Departament Stanu USA wyraził zgodę na sprzedaż Japonii 73 takich po-

NISZCZYCIELE WYPOSAŻONE W SYSTEM AEGIS W JAPOŃSKICH MORSKICH SIŁACH SAMOOBRONY

Typ	rok wprowadzenia do służby
KONGŌ	– 1993
KIRISHIMA	– 1995
MYŌKŌ	– 1996
CHŌKAI	– 1998
ATAGO	– 2007
ASHIGARA	– 2008
MAYA	– 2020
HAGURO	– 2021

JON DASSBACH/US NAVY



cisków). Rakiety Block IIA mają większy od wcześniejszych wersji zasięg, a co bardziej istotne, są zdolne do zwalczania pocisków nie tylko krótkiego i średniego zasięgu, lecz także pośredniego (do 5500 km), których głowice poruszają się z większą prędkością niż ich mniejsi kuzyni.

Japonia będzie też pierwszym zagranicznym użytkownikiem pocisków SM-6, choć do planowanego na rok budżetowy 2019 zakupu nie doszło z powodu braku w USA podzespołów do tych rakiet. Są one uniwersalne, więc można ich używać zarówno przeciwko celom

powietrznym (aerodynamicznym), jak i nawodnym, a ich zasięg sięga 200 Mm.

Niszczyciele są wyposażone w okrętowy system walki Aegis Baseline 9C oraz Aegis BMD 5.1, a także w CEC (Cooperative Engagement Capability), który umożliwia wymianę danych dotyczących wykrywania i namierzania celów oraz naprowadzania pocisków przechwytyjących z innymi okrętami (np. z amerykańskimi i australijskimi niszczycielami również wyposażonymi w system Aegis) czy samolotami wczesnego wykrywania i dowodzenia E-2 Hawkeye.

Siłownia okrętów została wykonana w układzie COGLAG (COmbined Gas turbine eLectric And Gas turbine), czyli z użyciem turbin gazowych oraz silników elektrycznych wykorzystywanych do poruszania się z niewielką prędkością. Moc 50 720 kW zapewnia maksymalną prędkość 30 w. Załogę jednostek stanowi 300 marynarzy.

OFENSYWNY KIERUNEK

Okręt typu Haguro rozpoczął w czerwcu 2020 roku próby morskie i w marcu kolejnego roku trafi do linii. Dzięki temu każda z czterech japońskich flotylli niszczycieli będzie miała w swym składzie dwie jednostki z systemem Aegis, co wydaje się rozwiązaniem wystarczającym, jeśli wziąć pod uwagę dzisiejszą skalę zagrożenia ze strony Korei Północnej. Obserwując jednak nie tylko retorykę, lecz także konkretne posunięcia rządu premiera Shinzō Abe w dziedzinie polityki obronnej, należy się spodziewać, że wkrótce Japonia będzie podejmować decyzje mające na celu wzmocnienie potencjału ofensywnego. Bez wątpienia stanie się tak w wypadku uzyskania potwierdzonych informacji o posiadaniu przez Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną pocisków balistycznych uzbrojonych w głowice nuklearne. Poważniejszym wyzwaniem dla Tokio są jednak rosnące w siłę Chiny i ich działania w regionie Morza Wschodniochińskiego. To właśnie ten akwen staje się centralnym punktem polityki morskiej Japonii. ■

SIŁA RAŻENIA

Granatniki ręczne to broń uwielbiana przez twórców filmów akcji i gier komputerowych.

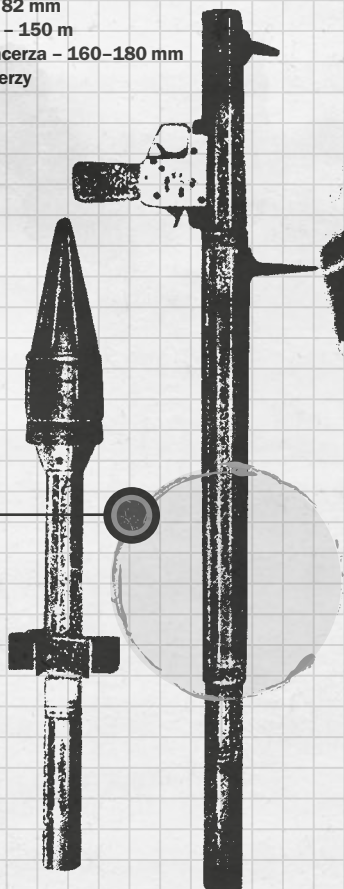
Pierwszym granatnikiem w Wojsku Polskim był brytyjski PIAT, używany w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Podczas zrzutów broń ta trafiła do arsenału Armii Krajowej. Jej żołnierze posługiwali się też zdobytymi na Niemcach

panzerfaustami i panzerschreckami. Po zakończeniu II wojny światowej do WP wprowadzono jako pierwsze czechosłowackie granatniki ręczne P-27. Później pojawiły się konstrukcje sowieckie, polskie i szwedzkie. ■

RPG-2

W 1949 roku do uzbrojenia armii sowieckiej wszedł ręczny granatnik na nabój nadkalibrowy z głowicą kumulacyjną, wzorowany na niemieckim panzerfauscie. Osiem lat później trafił on do arsenału WP. Broń tę produkowały też Chiny jako typ 56.

- ❶ Kaliber – 40 mm
- ❷ Masa – 2,75–2,83 kg
- ❸ Długość – 1200 mm
- ❹ Kaliber głowicy – 82 mm
- ❺ Zasięg skuteczny – 150 m
- ❻ Przebijalność pancerza – 160–180 mm
- ❼ Obsługa – 2 żołnierzy

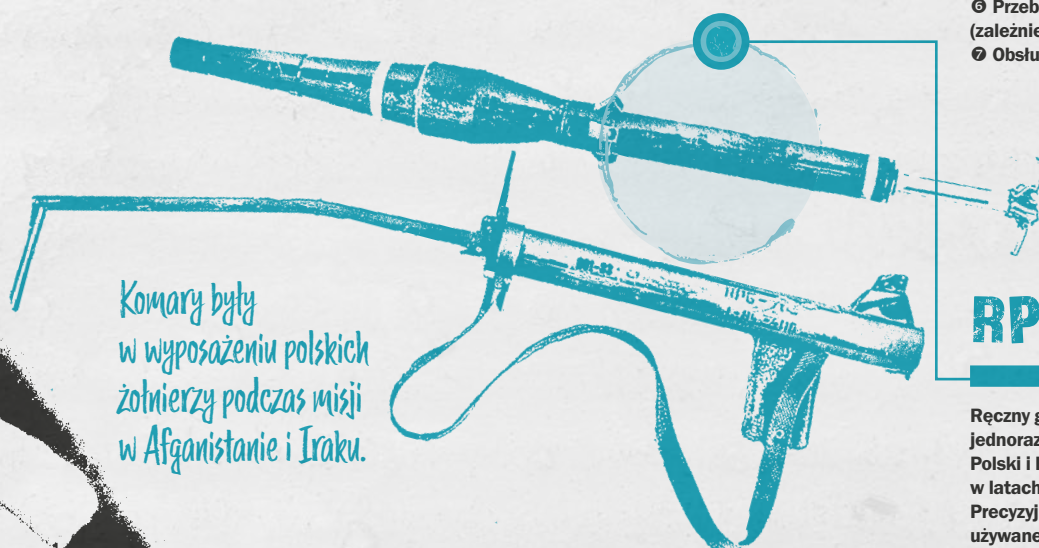




RPG-7

Sowiecki granatnik, który pojawił się na początku lat sześćdziesiątych XX wieku, z czasem stał się najpopularniejszą bronią tego rodzaju na świecie. Stosuje się w niej naboje różnego rodzaju. RPG-7 jest nadal produkowany, używa go WP.

- ❶ Kaliber – 40 mm
- ❷ Masa – 6,3 kg
- ❸ Długość – 950 mm
- ❹ Kaliber naboju – 40–105 mm
- ❺ Zasięg skuteczny – 300–500 m
- ❻ Przebijalność pancerza – 330–750 mm (zależnie od typu głowicy bojowej)
- ❼ Obsługa – 2 żołnierzy



Komary były w wyposażeniu polskich żołnierzy podczas misji w Afganistanie i Iraku.

RPG-76 Komar

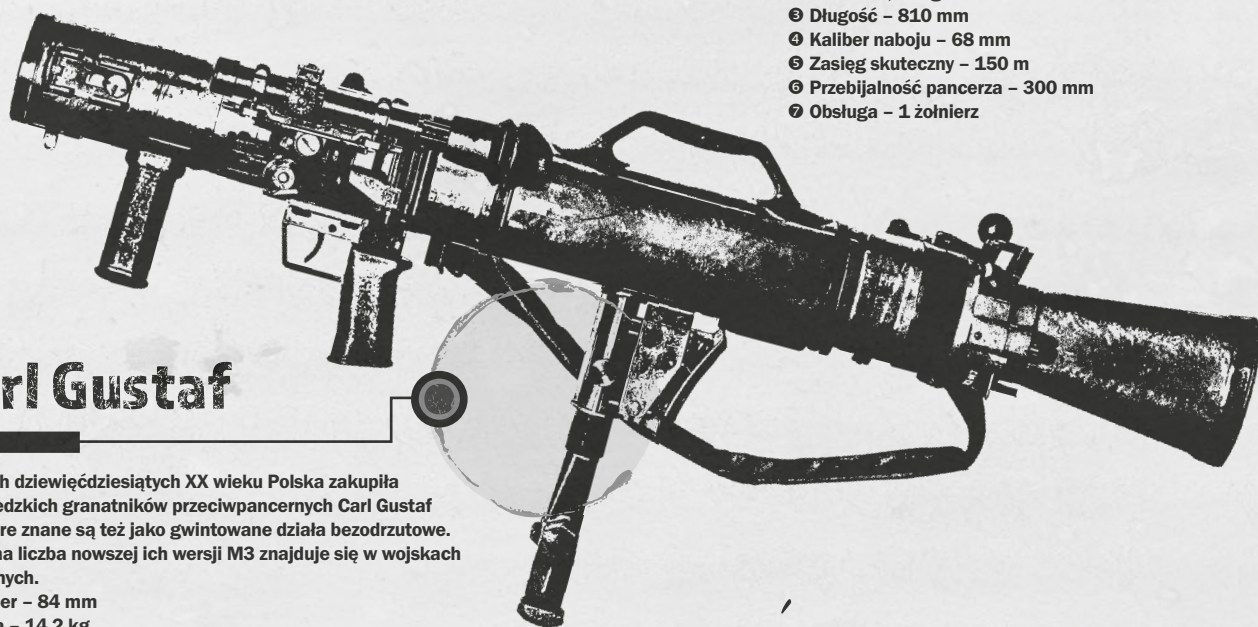
Ręczny granatnik przeciwpancerny z lufą jednorazowego użycia powstał we współpracy Polski i Bułgarii. Komary produkowano w latach 1983–1995 w Zakładach Sprzętu Precyzyjnego w Niewiadowie. Obecnie nie są używane przez wojsko.

- ❶ Kaliber – 40 mm
- ❷ Masa – 0,32 kg
- ❸ Długość – 810 mm
- ❹ Kaliber naboju – 68 mm
- ❺ Zasięg skuteczny – 150 m
- ❻ Przebijalność pancerza – 300 mm
- ❼ Obsługa – 1 żołnierz

Carl Gustaf

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku Polska zakupiła 27 szwedzkich granatników przeciwpancernych Carl Gustaf M2, które znane są też jako gwintowane działa bezodrzutowe. Nieznana liczba nowszej ich wersji M3 znajduje się w wojskach specjalnych.

- ❶ Kaliber – 84 mm
- ❷ Masa – 14,2 kg
- ❸ Długość – 1130 mm
- ❹ Kaliber naboju – 84 mm
- ❺ Zasięg skuteczny – 300–500 m (przeciwko pojazdom)
- ❻ Przebijalność pancerza – 350–powyżej 500 mm (zależnie od naboju)
- ❼ Obsługa – 2 żołnierzy



KURS NA ZACHÓD

Coraz mocniej zacieśniają się relacje między Ukrainą a Zachodem. Kijów wciąż musi jednak dokonać wielu trudnych wyborów.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Zgodnie z założeniami członkowie Programu Rozszerzonych Możliwości NATO mają regularnie uczestniczyć w ćwiczeniach Sojuszu oraz dążyć do pełnej interoperacyjności. Na zdjęciu ukraińscy żołnierze podczas szkolenia w bazie wojskowej Starychi w pobliżu Centrum Szkolenia Bojowego w Jaworowie



MO UKRAINY



W

połowie czerwca 2020 roku Ukraina przystąpiła do Programu Rozszerzonych Możliwości NATO. Dla państw członkowskich oznacza to przede wszystkim zdolność czerpania z doświadczeń zebranych podczas walk w Donbasie.

Jednocześnie dzięki porozumieniu i współpracy z Zachodem Ukraińcy będą mogli jeszcze sprawniej reformować swoją armię. Jest to także jasny sygnał dla społeczności międzynarodowej, że pomimo nacisków ze strony Kremla Kijów nie zrezygnuje z obranego wcześniej kursu.

BLIŻEJ NATO

Oficjalnie Ukraina zabiegała o to członkostwo od października 2019 roku. W rzeczywistości jest to naturalne rozwinięcie wieloletniej współpracy z siłami Sojuszu Północnoatlantyckiego, m.in. w ramach operacji w Afganistanie i Kosowie, Sił Odpowiedzi NATO oraz ćwiczeń międzynarodowych. Kijów już w 2008 roku aplikował o przystąpienie do MAP (Membership Action Plan), ale ze względu na niejednoznaczną sytuację wewnętrzną oraz ówczesny stosunek Zachodu do działań Rosji zdecydowano, że aspiracje Ukrainy będą realizowane poza programem. W czasie prezydentury Wiktora Janukowycza dążenia te były skutecznie blokowane, dlatego przełom we współpracy nastąpił dopiero w 2014 roku. Zarazem na szczycie NATO w Walii zdecydowano o powołaniu Programu Rozszerzonych Możliwości z myślą o najbliższych partnerach Sojuszu.

Zgodnie z założeniami członkowie programu mają regularnie uczestniczyć w ćwiczeniach NATO oraz dążyć do pełnej interoperacyjności z wojskami sojusznikami. Dotychczas umowa ta obejmowała pięć krajów: Australię, Finlandię, Gruzję, Jordanię i Szwecję. Początkowo nie wszystkie państwa członkowskie NATO były przychylnie



Prezydent Ukrainy Wołodimir Zełenski znajduje się w trudnej sytuacji. Z jednej strony stara się utrzymać pozycję twardego negocjatora i otwarcie wyraża poparcie dla działań państw zachodnich. Z drugiej zaś coraz trudniejsza sytuacja wewnętrzna zmusza go do znalezienia kompromisu w relacjach z Rosją.

rozszerzeniu tej grupy o Ukrainę. Ze względu na obawy o możliwe zaostrenie stosunków z Rosją wątpliwości pojawiły się ze strony Niemiec i Francji. Nieprzestrzeganie porozumień z Mińska oraz coraz bardziej agresywne działania wymierzone w państwa Zachodu, w tym ataki hakerskie na niemieckie systemy rządowe, przekonały jednak Berlin i Paryż do podjęcia bardziej zdecydowanych kroków. Sprzeciw zgłaszały również Węgry. Od 2017 roku toczyły one z Ukrainą spór o ustawę językową, którą odbierano jako cios wymierzony w zakarpacką mniejszość węgierską. Ostatecznie osiągnięto porozumienie i państwa należące do NATO jednogłośnie poparły przystąpienie Ukrainy do Programu Rozszerzonych Możliwości.

Przez większość ukraińskich środowisk porozumienie to zostało odebrane jako sukces, ale pojawiły się też głosy krytyki. Wątpliwości budzi przede wszystkim forma współpracy, która jest traktowana jako jednostronna i bardzo wygodna dla Sojuszu (w uproszczeniu: Ukraińcy dążą do spełniania standardów i w zamian za to mogą się dzielić swoim doświadczeniem



Ukraińscy ratownicy szukają ciał pasażerów i załogi samolotu Malaysia Airlines, w pobliżu miejscowości Grabove, w rejonie Doniecka. 20 lipca 2014 roku

BULENT KILIC/AFP/EAST NEWS

SZEŚĆ LAT WOJNY KOSZTOWAŁO ŻYCIE PONAD 13 TYS. OSÓB, GŁÓWNIE CYWILÓW. WŚRÓD OFIAR ZNALEŻLI SIĘ NIE TYLKO MIESZKAŃCY FRONTOWYCH MIEJSCOWOŚCI, LECZ TAKŻE OBYWATELE PAŃSTW ZACHODU

z Donbasu, a NATO realizuje swoją strategię obronną, ponosząc minimalne koszty). Trudno także stwierdzić, czy program będzie miał rzeczywisty wpływ na przyspieszenie pełnoprawnego członkostwa Ukrainy w Sojuszu. Nie ulega jednak wątpliwości, że ta współpraca doprowadzi do zacieśnienia relacji Kijowa z państwami leżącymi na wschodniej flance, w tym z Polską. Jest to tym ważniejsze,

że sprawdzonych sojuszników Ukraińcy potrzebują teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

SIEĆ POWIĄZAŃ

Mimo nieustannych starań dyplomatycznych, reformy armii, a przede wszystkim wysiłku walczących żołnierzy wciąż nie cichną wystrzały w Donbasie. Sześć lat wojny



kosztowało życie ponad 13 tys. osób, głównie cywilów. Wśród ofiar znaleźli się nie tylko mieszkańcy frontowych miejscowości, lecz także obywatele państw Zachodu. Ostatnio to właśnie w kontekście katastrofy malezyjskiego samolotu rejs MH17 międzynarodowe media najczęściej poruszały temat zapomnianego konfliktu. Już w 2015 roku holenderski urząd do spraw bezpieczeństwa we współpracy z międzynarodowym zespołem śledczym JIT (Joint Investigation Team) ustalili, że samolot linii Malaysia Airlines został zestrzelony kierowanym pociskiem raketowym Buk M1 z wyrzutni należącej do rosyjskiej 53 Rakietowej Brygady Przeciwlotniczej.

Na podstawie zebranych dowodów w marcu 2020 roku rozpoczął się proces trzech Rosjan oraz jednego Ukraińca podejrzanych o bezpośrednią odpowiedzialność za katastrofę. Chodzi o byłego pułkownika Federalnej Służby Bezpieczeństwa Igora „Strelkowa” Girkina, agenta Głównego Zarządu Wywiadowczego Siergieja „Chmure” Dubińskiego, byłego żołnierza specnazu Olega „Giurzę” Pulatowa oraz dowódcę lokalnego oddziału separatystów Leonida „Krota” Charczenkę. W 2014 roku wszyscy mężczyźni pełnili znaczące funkcje w strukturach samowłańczych republik. Żaden z nich nie przyznaje się do winy i ze względu na brak umów o ekstradycję istnieją raczej niewielkie szanse, że oskarżonych uda się doprowadzić przed sąd.

Sieć powiązań osób odpowiedzialnych za katastrofę sięga znacznie głębiej. W wyniku dwóch niezależnych śledztw dziennikarskich – rosyjskiego oddziału BBC oraz zespołu Bellingcat – ustalono, że za dostarczenie rakiet użytych do zestrzelenia samolotu odpowiada rosyjski dowódca znany jako Władimir Iwanowicz. Analiza nagrań, na których słychać jego głos, wskazuje, że w rzeczywistości najprawdopodobniej jest to gen. Andriej Burlaka, ówczesny zastępca szefa rosyjskiej straży granicznej (będącej jednocześnie częścią struktur FSB). Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że w czasie katastrofy generał przebywał w Rostowie nad Donem, a już następnego dnia wrócił do Moskwy.

Pomimo twardych dowodów Rosjanie zaprzeczają, że mieli jakikolwiek związek z zestrzeleniem samolotu linii Malaysia Airlines. Tymczasem 10 lipca 2020 roku holenderski rząd złożył w Europejskim Trybunale Praw Człowieka pozew przeciwko Rosji. Cała sprawa toczy się niejako bez uczestnictwa samej Ukrainy, nie oznacza to



Pod koniec 2019 roku w Paryżu doszło do spotkania przywódców Ukrainy, Francji, Niemiec i Rosji, na którym po trzech latach stagnacji wrócono do rozmów pokojowych. Szczyt przyniósł niewiele zmian, ale sam fakt, że do niego doszło, jest już sukcesem.

PO ROKU KADENCJI PREZYDENT ZEŁENSKI ZACZYNA BYĆ ROZLICZANY Z OBIETNIC DOTYCZĄCYCH ZAKOŃCZENIA WOJNY ORAZ TWARDYCH REFORM WENĘTRZNYCH

jednak, że nie ma na nią wpływu. Pod koniec 2019 roku w Paryżu doszło do spotkania przywódców Ukrainy, Rosji, Francji i Niemiec, na którym po trzech latach stagnacji wrócono do rozmów pokojowych. Szczyt przyniósł niewiele zmian, ale sam fakt, że do niego doszło, jest już sukcesem. Ukraińcom udało się rozszerzyć uprawnienia Organizacji Bezpieczeństwa

i Współpracy w Europie o działania w nocy, doprowadzić do wymiany jeńców oraz wstrzymać operacje zbrojne na kolejnych trzech odcinkach frontu. Zgodnie z przewidywaniami poza zasięgiem pozostały dyskusje o odzyskaniu kontroli nad utraconym terytorium czy chociażby wschodnim odcinkiem ukraińskiej granicy.

Nie jest tajemnicą, że dla Rosji wojna w Donbasie stanowi cenny argument w relacjach nie tylko z Ukrainą, lecz także Unią Europejską i NATO, dlatego nie leży w jej interesie szybkie zakończenie konfliktu. Z perspektywy Kremla najbardziej pożądaną sytuacją byłoby doprowadzenie do federalizacji Ukrainy, m.in. przez niezawisłe wybory na terytoriach zajętych przez separatystów. Być może przyniosłoby to długo oczekiwany pokój, ale jednocześnie oddaliło Kijów od zachodnich sojuszników.

CIEŃ NA PREZYDENTURZE

Wszystkie te wydarzenia stawiają prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo w trudnej sytuacji. Z jednej strony stara się on utrzymać pozycję twardego negocjatora i otwarcie wyraża poparcie dla działań państw zachodnich. Z drugiej zaś coraz trudniejsza sytuacja wewnętrzna zmusza go do znalezienia kompromisu w relacjach z Rosją. Zwłaszcza że punktem zapalnym pozostaje nie tylko Donbas, lecz także Krym. W 2014 roku Ukraińcy opuścili tamę w obwodzie chersońskim, tym samym odcinając półwysep od głównego źródła słodkiej wody. Rosjanie bezskutecznie próbowali przekonać Kijów do wznowienia dostaw. Ze względu na pogłębiającą się suszę w ostatnich miesiącach spór ten ponownie przybrał na sile, co w perspektywie może doprowadzić nawet do otwartej konfrontacji.

Paradoksem jest to, że pomimo skomplikowanych relacji Ukraina i Rosja muszą utrzymywać nie tylko stosunki dyplomatyczne, lecz także handlowe, choćby ze względu na tranzyt gazu (co wielokrotnie stanowiło przedmiot awantury). W tym kontekście nie powinny dziwić rosyjskie działania zmierzające do podważenia wiarygodności ukraińskiej władzy. Na początku lipca prorosyjski kanał informacyjny Nasz TV opublikował nagrania, które miały wskazywać na ścisłe powiązania byłego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki z Władimirem Putinem. Naciski wywiera jednak nie tylko Moskwa. Kijów musi się liczyć także z silną presją ze strony ukraińskich nacjonalistów, którzy otwarcie grożą drugim Majdanem w razie jakichkolwiek ustępstw względem separatystów lub – szerzej – Federacji Rosyjskiej.

To nie koniec wyzwań, które stoją przed ukraińskim rządem. Po roku kadencji prezydent Zełenski zaczyna być rozliczany z obietnic dotyczących zakończenia wojny oraz twardej reform wewnętrznych. Dotychczas zdołał utrzymać stosunkowo wysokie poparcie, także ze względu na kompetentnych i obdarzonych zaufaniem publicznym rad-

ców. Niestety, prezydent coraz częściej traci swoich najbliższych współpracowników. Próby czasu nie przetrwali m.in. sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Ołeksandr Danyluk oraz prokurator generalny Rusłan Riaboszapka. W rozmowie z BBC obaj politycy podkreślali, że powodem ich rezygnacji były próby Zełenskigo mające na celu znalezienie kompromisu między wprowadzanymi zmianami a panującym dotychczas układem.

Cieniem na prezydenturze kładzie się także zeszłoroczna rozmowa z Donaldem Trumpem, która ostatecznie doprowadziła do impeachmentu prezydenta Stanów Zjednoczonych. W wyniku przecieku opinia publiczna dotarła do nagań, na których Trump próbuje skłonić Zełenskigo do wszczęcia dochodzenia badającego powiązania rodziny Bidenów z ukraińskim koncernem energetycznym Burisma. Sprawa sięga 2015 roku, kiedy ówczesny wiceprezydent Joe Biden miał użyć swoich wpływów do zwolnienia prokuratora prowadzącego śledztwo przeciwko temu holdingowi. W tym czasie w zarządzie firmy zasiadał jego syn, Hunter Biden. Zarówno Waszyngton, jak i Kijów odrzucili te zarzuty. Nawet po kilku latach powrót do sprawy z pewnością wpłynąłby na pozycję Joe Bidena jako głównego kandydata demokratów w nadchodzących wyborach prezydenckich. Ostatecznie senat Stanów Zjednoczonych uniewinnił Donalda Trumpa, ale upubliczniona rozmowa ukazuje Zełenskigo jako zależnego od Amerykanów i nie pozostaje bez wpływu na jego wizerunek.

ZASTRZYK GOTÓWKI

Problemy Kijowa wykraczają jednak poza relacje z Moskwą, Brukselą czy Waszyngtonem. Po epidemii COVID-19, która dzięki szybkiej reakcji władz została dość sprawnie opanowana, Ukraińcy musieli zmierzyć się z największymi od 1990 roku powodzią. W wyniku intensywnych opadów pod wodą znalazło się ponad 300 miejscowości. W rozwiązywaniu trudności nie pomaga także coraz mocniej podupadająca gospodarka oraz kurczący się budżet.

Pozytywne informacje płyną ze strony Banku Światowego, który pod koniec czerwca 2020 roku zdecydował o otwarciu kredytu dla Ukrainy w wysokości 350 mln dolarów. Kwota ta ma wesprzeć wprowadzenie reform koniecznych ze względu na światowy kryzys gospodarczy i jest pierwszą z dwóch planowanych transz. W połączeniu z 250 mln dolarów, które w związku z przystąpieniem do Programu Rozszerzonych Możliwości NATO Kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczył na rozwój sił zbrojnych Ukrainy, jest to pomoc, którą nasi sąsiedzi na pewno oczekują. Pozostaje mieć nadzieję, że ten trudny czas zacieśni także relacje Kijowa z Warszawą. Ostatnie lata niejednokrotnie pokazały, że to właśnie od nich może zależeć przyszłość obu państw. ■



WOJSKOWA PRZEPROWADZKA

Jeśli Amerykanie wycofają z Niemiec część swoich żołnierzy, to i tak nadal pozostaną tam oddziały Stanów Zjednoczonych najliczniejsze w Europie.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

O 9,5 tys. żołnierzy, czyli o jedną trzecią, zmniejszy się amerykański kontyngent wojskowy w Niemczech. Takie polecenie wydał Pentagonowi prezydent Donald Trump. „Ameryka musi bardziej rozproszyć swoje siły, szczególnie w Azji, aby skuteczniej odpowiedzieć na rosnącą potęgę Chin”, w ten sposób doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Robert O’Brien tłumaczył tę decyzję na łamach „Wall Street Journal”. Przekonywał, że wycofanie części żołnierzy z Niemiec pozwoli Amerykanom sprawniej reagować na zagrożenia. Duże wojskowe bazy poza granicami USA uznał za przeżytek, który na dodatek sporo kosztuje.

Dyskusje na temat wycofania części wojsk z Niemiec trwały w amerykańskiej administracji od września 2019 roku. O re-

dukcji sił USA nad Renem mówił wówczas Richard Grenell, ambasador Stanów Zjednoczonych w Berlinie. „Trudno oczekiwać, żeby nasz podatnik opłacał amerykańskich żołnierzy w Niemczech, a Niemcy wydawali swoje nadwyżki budżetowe na cele socjalne”, krytykował. Był to także czas napięć w relacjach między Waszyngtonem a Berlinem. Dotyczyły one nie tylko zbyt niskich nakładów, jakie rząd kanclerz Angeli Merkel wydaje na obronność, lecz także różnicy zdań, m.in. na temat wycofania się USA z porozumienia nuklearnego z Iranem czy budowy rosyjskiego gazociągu Nord Stream 2.

Nie wiadomo, które oddziały wycofane z Niemiec trafią do innych państw europejskich, w tym prawdopodobnie także do Polski. Wiadomo zaś, że operacja ta ma zostać przeprowadzona



na podstawie dwustronnych porozumień, prawdopodobnie do końca września 2020 roku.

KAWALEK AMERYKI NAD RENEM

Po zakończeniu II wojny światowej w RFN-ie stacjonowało około 400 tys. alianckich żołnierzy, co drugi z nich był Amerykaninem. Ten stan utrzymywał się dość długo, bo w czasie zimnej wojny Niemcy były państwem wschodniej flanki NATO. Dopiero po upadku muru berlińskiego Stany Zjednoczone zaczęły przenosić swoje siły w inne części świata. W 2006 roku nad Renem pozostało ponad 70 tys. amerykańskich żołnierzy, a dziś jest ich 35 tys. Stacjonują oni w 11 dużych miastach oraz wielu mniejszych, głównie w czterech niemieckich krajach związkowych: Nadrenii-Palatynacie, Bawarii, Badonii-Wirtembergii i Hesji.

W ostatnich latach Waszyngton nie tylko zabierał amerykańskich żołnierzy ze Starego Kontynentu, lecz także ich tam wysyłał, m.in. do Polski, krajów bałtyckich, w rejon Morza Czarnego i... do Niemiec. W 2018 roku US Army Europe w Wiesbaden zapowiedziało, że do 2020 roku ze Stanów Zjednoczonych przybędzie nad Ren około 1500 amerykańskich żołnierzy. Utworzyli oni batalion obrony powietrznej oraz artylerii rakietowej.

„Amerykanie mają w Niemczech strategiczne interesy”, twierdzi były inspektor generalny Bundeswehry Harald Kujat

i zwraca uwagę na geograficzne położenie swego kraju. Amerykańska infrastruktura wojskowa na terenie Niemiec należy do największych poza granicami USA i służy do zabezpieczenia operacji w Afganistanie i Iraku, w basenie Morza Śródziemnego, a także na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Na południu Niemiec, w Grafenwöhr znajduje się jedna z największych w Europie baz szkoleniowych oraz poligon NATO. Olbrzymia baza lotnicza i dowództwo sił powietrznych USA mieszczą się w Ramstein w Nadrenii-Palatynacie. To stamtąd startują samoloty uczestniczące w misjach na Bliskim Wschodzie i w Afganistanie. Pobliski szpital wojskowy w Landstuhl jest zaś największą placówką medyczną poza terytorium USA, gdzie trafiają ranni żołnierze uczestniczący w operacjach Sojuszu. Strategiczne znaczenie dla Stanów Zjednoczonych ma także centrala US European Command (EUCOM) położona niedaleko Stuttgartu. To stamtąd Amerykanie koordynują ruchy swoich wojsk w Europie i Afryce.

Większość sił USA w Niemczech to jednostki wsparcia i logistyczne. Są one częścią amerykańskiego wkładu do NATO. Tym samym chronią nie tylko Europejczyków, lecz także Stany Zjednoczone. Na terytorium Niemiec znajdują się również oddziały bojowe, które w razie potrzeby mogą zostać przerzucone na flankę wschodnią Sojuszu. Takie zadanie mogą otrzymać m.in.: stacjonujący w Vilseck 2 Pułk Kawalerii wyposażony w transportery Stryker, eskadra myśliwców F-16 z bazy →

w Spangdahlem, 12 Brygada Lotnictwa Bojowego US Army, pododdziały obrony powietrznej wyposażone w zestawy Patriot i Avenger czy nowo formowana 41 Brygada Artylerii Rakietowej (jej dwa bataliony dysponują wyrzutniami rakiet M270 MLRS).

OBRONA KOSZTUJE

Wycofanie części wojsk amerykańskich znad Renu ma być odpowiedzią na zbyt wolne zwiększanie niemieckich wydatków wojskowych. Według NATO, w ostatnich latach wzrosły one z 1,18% PKB w 2014 roku do 1,38% w 2019 roku. Dziś Berlin wydaje na obronność około 50 mld dolarów rocznie. To sporo w liczbach bezwzględnych, ale i tak ciągle daleko im do 2% PKB, do czego wszystkie kraje NATO zobowiązały się na szczycie w 2014 roku. Minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer twierdzi, że Niemcy osiągną ten pułap dopiero w 2031 roku, choć powinny w 2024.

W odpowiedzi na amerykańską krytykę Niemcy podają dane na temat kosztów stacjonowania w ich kraju żołnierzy zza oceanu. Według telewizji Deutsche Welle, przez minione siedem lat rząd RFN wydał na ten cel ponad 240 mln euro. Pieniądze te zostały przekazane m.in. na emerytury dla byłych pracowników baz oraz na utrzymanie nieruchomości. Niemcy partycypują także w kosztach budowy natowskich (głównie amerykańskich) baz. Na ten cel przeznaczono 480 mln euro w latach 2012–2019. Oprócz tego do 2022 roku w Weilerbach koło Kaiserslautern ma powstać największy amerykański szpital wojskowy poza granicami USA. Niemieckie firmy zainwestowały w to przedsięwzięcie ponad 150 mln euro.

Amerykańska obecność nad Renem ma także drugie oblicze. Od sił zbrojnych USA zależą dziesiątki tysięcy miejsc pracy. Jak podaje ambasada Stanów Zjednoczonych w Berlinie, zatrudniają one 17 tys. amerykańskich i 12 tys. niemieckich cywilów. Liczba ta rośnie, gdy w Niemczech odbywają się manewry, na które dodatkowo przyjeżdżają żołnierze zza oceanu. W Nadrenii-Palatynacie, gdzie stacjonuje najwięcej Amerykanów, zatrudnionych jest ponad 7 tys. miejscowych pracowników i armia USA jest jednym z największych pracodawców. Ponadto wokół amerykańskich placówek tworzą się lokalne społeczności, bo wraz z żołnierzami przyjeżdżają także ich rodziny. Baza w Ramstein to małe miasteczko, w którym są nie tylko koszary, hangary czy magazyny, lecz także centra handlowe, szkoły, poczta i policja. Wiesbaden zaś jest główną kwaterą amerykańskich wojsk lądowych w Europie. W 2019 roku miasto odwiedziło 23 tys. gości z Ameryki, co dla regionalnej gospodarki było dodatkowym gospodarczym impulsem.

Niemiecka scena polityczna jest podzielona co do opinii na temat wycofania amerykańskich wojsk. Socjaldemokra-

WYCOFANIE CZĘŚCI WOJSK AMERYKAŃ- SKICH ZNAD RENU MA BYĆ ODPOWIEDZIĄ NA ZBYT WOLNE ZWIĘKSZANIE NIEMIECKICH WYDATKÓW WOJSKOWYCH

tyczna SPD (Sozialdemokratische Partei Deutschlands) współzrządzająca w koalicji z chadekami (Christlich Demokratische Union Deutschlands, CDU) chce, by w ślad za żołnierzami została też wycofana amerykańska broń atomowa znajdująca się w bazie Büchel. Podobne stanowisko zajmuje postkomunistyczna Lewica (Die Linke). Politycy tych partii krytykują także wykorzystywanie przez Amerykanów bazy w Ramstein jako centrum dowodzenia atakami przy użyciu samolotów bezałogowych. Konserwatywne CDU i CSU (Christlich-Soziale Union), liberalna FDP (Freie Demokratische Par-

tei) i część Zielonych zwracają zaś uwagę na utratę tysięcy miejsc pracy, głównie w przedsiębiorstwach, których los zależy od istnienia amerykańskich baz.

Kancelerz Angela Merkel długo nie włączała się w tę dyskusję, zabrała głos dopiero na początku lipca 2020 roku, gdy Niemcy przejęły półroczną prezydencję w Unii Europejskiej. Przyznała, że jej kraj powinien zwiększyć wydatki obronne. Jednocześnie podkreśliła, że stacjonujące w RFN-ie wojska amerykańskie „służą zarówno ochronie Niemiec i europejskich członków NATO, jak i interesom USA”.

SPRZECIW W KONGRESIE

To „kolosalny błąd” i „czysto polityczny manewr”, powiedział w rozmowie z magazynem „Der Spiegel” gen. por. Ben Hodges, który w latach 2014–2017 dowodził US Army w Europie, a przed emeryturą stacjonował w Wiesbaden. Podkreślił także, że wycofanie części wojsk amerykańskich z Niemiec obniży poziom bezpieczeństwa w krajach bałtyckich, Polsce i Rumunii. Generał twierdzi, że bez amerykańskich baz w Niemczech trudno mówić o skutecznej obronie wschodniej flanki NATO.

Decyzję o ograniczeniu amerykańskiej obecności wojskowej w Niemczech krytykuje także część kongresmenów, zarówno demokratów, jak i republikanów. Ich sprzeciw może utrudnić wycofanie wojsk znad Renu. W Kongresie rozpoczęła się bowiem debata nad nowym budżetem obronnym na 2021 rok. Mitt Romney, republikański senator i kandydat w wyborach prezydenckich w 2012 roku, przedstawił poprawkę, która wyklucza sfinansowanie operacji opuszczenia terytorium Niemiec przez amerykańskich żołnierzy. Od sekretarza obrony senator zażądał raportu wykazującego, że taki krok leży w interesie Amerykanów i nie zagraża bezpieczeństwu europejskich partnerów NATO.

Należy jednak pamiętać, że nawet jeżeli w Niemczech zmniejszy się liczba amerykańskich żołnierzy, to i tak w dalszym ciągu pozostaną tam najliczniejsze oddziały USA w Europie i będą one odgrywały ważną logistyczną rolę w działaniach strategicznych Stanów Zjednoczonych na całym świecie. ■

BIJĄCE ŹRÓDŁO ZAGROŻENIA



ALEX LMX / SHUTTERSTOCK

Saudyjczycy inwestują w energię atomową, bo zdają sobie sprawę z tego, że kiedyś ich złoża ropy naftowej się wyczerpią. Może jednak ich program nuklearny jest tylko parawanem dla militarnego projektu?

TOMASZ OTŁOWSKI

Wwielu zachodnich mediach w kwietniu 2020 roku pojawiły się informacje o szybkich postępach programu nuklearnego, który Arabia Saudyjska realizuje już od kilku lat. Mało kto jednak zwrócił uwagę na te doniesienia, po pierwsze, ze względu na ich zdawkowy charakter, po drugie, ponieważ świat miał wówczas ważniejsze sprawy – związane z wybuchem pandemii koronawirusa. Informacje o budowie reaktorów opierały się zresztą wyłącznie na danych pozyskanych z komercyjnych zdjęć satelitarnych kompleksu atomowego w Mieście Nauki i Technologii Króla Abdulaziza (King Abdulaziz City for Science and Technology – KACST). Powstaje tam olbrzymia siłownia jądrowa, docelowo mająca składać się aż z 16 reaktorów atomowych.

Materiał fotograficzny pokazuje znaczący postęp prac konstrukcyjnych, które oficjalnie rozpoczęto już dwa lata temu (choć faktycznie trwają one tam co najmniej od 2014

roku). Jeszcze do niedawna budowa kompleksu zdawała się toczyć nieco ślamazarnie. Obecne zaawansowanie działań wskazuje jednak, że znacznie przyspieszyła i to mimo szalejącej w Arabii Saudyjskiej epidemii koronawirusa oraz poważnych zawirowań na rynkach ropy naftowej, powodujących spadek dochodów budżetowych królestwa.

PROGRAM TEORETYCZNIE CYWILNY

Saudyjska przygoda z energetyką jądrową rozpoczęła się stosunkowo niedawno, choć już pod koniec ubiegłego stulecia w Rijadzie mówiło się o konieczności sięgnięcia po takie źródła. Dopiero jednak w królewskim dekreście z wiosny 2010 roku, dotyczącym planów modernizacji sektora energetycznego w Arabii Saudyjskiej, oficjalnie zapisano potrzebę prac nad atomem. Rok później Rijad opublikował dokument, w którym dużo miejsca poświęcono kwestii dywersyfikacji źródeł pozyskiwania energii.



Wówczas wydawało się to czymś futurystycznym – wszak mowa o kraju, który ma do dyspozycji olbrzymie złoża ropy naftowej. Saudyjczycy wiedzą jednak, że podstawa ich bogactwa kiedyś się wyczerpie lub straci na znaczeniu w świecie poszukującym alternatywy dla paliw kopalnych. W takiej sytuacji, aby zapewnić królestwu niezbędne zasoby energetyczne – gwarantujące dotychczasowy poziom życia społeczeństwa i przetrwanie władzy monarchii – konieczne będzie ich pozyskiwanie z innych źródeł.

Z takich samych powodów swój cywilny program atomowy rozwijają Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA), bliski sojusznik Rijadu. Kraj ten w lutym 2020 roku ukończył budowę pierwszego w świecie arabskim reaktora jądrowego. Jego ostateczne oddanie do eksploatacji – planowane pierwotnie na czerwiec 2020 roku – opóźnia się, jednak najprawdopodobniej wkrótce elektrownia zacznie działać. Zgodnie z założeniami reaktory w ZEA na początku mają zapewniać 6% krajowego zapotrzebowania na prąd, ale za dziesięć lat będzie to już około 25%.

Bardzo podobne szacunki przedstawił Rijad, który dodatkowo planuje wykorzystanie materiałów rozszczepialnych z elektrowni jako paliwa do setek małych siłowni jądrowych, zasilających systemy odsalania wody morskiej w pustynnych regionach kraju nad Morzem Czerwonym i Zatoką Perską. Saudyjską elektrownię atomową buduje argentyńskie konsorcjum INVAP, ale w pracach uczestniczą też firmy z USA. Jest to całkowicie legalny projekt, a Arabia Saudyjska – jako strona traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – już zapowiedziała, że jej instalacje nuklearne będą po uruchomieniu otwarte dla międzynarodowych inspektorów.

Na pierwszy rzut oka wydaje się zatem, że kwestia saudyjskich projektów w dziedzinie energetyki nuklearnej nie powinna budzić jakichkolwiek podejrzeń ani mieć żadnych negatywnych skutków geopolitycznych. Niestety skomplikowana sytuacja strategiczna w regionie Bliskiego Wschodu (zwłaszcza w rejonie Zatoki Perskiej) rodzi jednak poważne obawy o faktyczny charakter i cel tych działań. Aby w pełni zrozumieć istotę i przyczynę tych wątpliwości, należy cofnąć się w czasie o kilkanaście lat.

NARZĘDZIE STRATEGICZNEGO SZANTAŻU

Kiedy w 2002 roku świat dowiedział się o istnieniu zaawansowanego programu nuklearnego, który Iran rozwijał w największej tajemnicy co najmniej od początku lat dwudziestych XX wieku, procesy geopolityczne na Bliskim Wschodzie nabrały nowej dynamiki. Ze względu na tajemnicę, w jakiej rewolucyjny szyicki kraj prowadził prace nad energetyką atomową, oraz późniejszą nieprzejrzystością jego działań i brak pełnej współpracy ze społecz-



WOBEC ARABII SAUDYJSKIEJ WYSU- WANE SĄ ZARZUTY

O UKRYWANIE ZA-
AWANSOWANYCH
OŚRODKÓW WZBO-
GACANIA URANU,
DZIAŁAJĄCYCH JUŻ
ZNACZNIE DŁUŻEJ
NIŻ TRWA OFICJALNY
PROGRAM ATOMOWY
RIJADU



W Mieście Nauki i Technologii Króla Abdulaziza powstał projekt reaktora opracowany przez naukowców tego ośrodka z pomocą międzynarodowych ekspertów.

nością międzynarodową, uznano, że ten program w istocie ma charakter militarny.

Perspektywa (bez względu na jej faktyczną realność) irańskiej broni atomowej stała się odtąd prawdziwą złączywą dla regionalnych graczy skonfliktowanych z Iranem (takich jak arabskie kraje znad Zatoki Perskiej) lub wręcz mu wrogich (Izrael). Zarówno Tel Awiw-Jafa, jak i Rijad nie mają najmniejszych wątpliwości, że Teheran dąży do pozyskania broni nuklearnej jako realnego, ostatecznego środka odstraszania potencjalnych agresorów, ale też narzędzia strategicznego szantażu wobec całego Bliskiego Wschodu. Temu samemu celowi służą jego rozbudowane i zaawansowane programy rakietowe, stawiające go w pierwszym szeregu regionalnych potęg militarnych, jeśli chodzi o arsenał rakiet balistycz-

nych, w dużej części zdolnych do przenoszenia głowic atomowych. Podobnie ocenia tę sytuację znaczna część opinii publicznej w USA i Europie Zachodniej.

Zatem już 15 lat temu Arabia Saudyjska wdrożyła pierwsze działania mające na celu neutralizację szybko rosnącego zagrożenia ze strony Iranu. Nie tylko zintensyfikowano modernizację konwencjonalnych sił zbrojnych (w latach 2006–2020 na sprzęt wydano około 250 mld dolarów), lecz także odmłodzono strategiczny arsenał rakietowy. Mocno już przestarzałe rakiety balistyczne typu DF-3 (Dong Feng-3) o zasięgu do 4 tys. km, kupione w Chińskiej Republice Ludowej pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, zaczęto od 2007 roku zastępować nieco nowszymi



ZARÓWNO TEL AWIW-JAFA, JAK I RIJAD NIE MAJĄ WĄTPLIWOŚCI, ŻE TE- HERAN DĄŻY DO PO- ZYSKANIA BRONI NU- KLEARNEJ JAKO OSTA- TECZNEGO ŚRODKA ODSTRASZANIA AGRE- SORÓW, ALE TEŻ NA- RZĘDZIA STRATEGICZ- NEGO SZANTAŻU WO- BEC BLISKIEGO WSCHODU

pociskami klasy DF-21, również chińskiej produkcji. Rakiety te, przy zasięgu około 2 tys. km, mają znacznie lepszą celność (rozrzut wynosi zaledwie kilkadziesiąt metrów, w porównaniu do nawet półtora kilometra w wersji DF-3). Ponadto są napędzane paliwem stałym, co znacząco skraca czas przygotowań do ich odpalenia. Co jednak najważniejsze, zostały przystosowane do przenoszenia głowic nuklearnych o mocy od 200 do 500 kt.

Innymi działaniami podjętymi przez Rijad – w większości o niejawnym charakterze – były przygotowania do uruchomienia własnego projektu nuklearnego. Saudyjczycy zaczęli rozglądać się po świecie za firmami i konsorcjami gotowymi uczestniczyć w ich programie jądrowym, a także w eksploatacji złóż uranu.

EFEKT DOMINA

Wielu ekspertów od dawna ostrzega przed realną groźbą wyścigu zbrojeń nuklearnych na Bliskim Wschodzie. Jeśli świat nie powstrzyma Iranu przed wejściem w posiadanie broni jądrowej, to niejako automatycznie wymusi to podjęcie podobnego kroku przede wszystkim właśnie przez Arabię Saudyjską, jako niekwestionowanego lidera w świecie arabskim i regionalne mocarstwo. W dalszej kolejności o własny arsenał atomowy mogłyby pokusić się również Zjednoczone Emiraty Arabskie, Egipt, a być może także Turcja, która – choć nie należy do rodziny krajów arabskich – zażarcie rywalizuje z Saudami o prymat w świecie sunnickiego islamu.

Kiedy więc przed dekadą Arabia Saudyjska oficjalnie poinformowała o rozpoczęciu prac koncepcyjnych nad własnym projektem atomowym, natychmiast pojawiły się wątpliwości co do jego rzeczywistej natury. Tym bardziej że Rijad wybrał, jako wiodącą dla swego programu, technologię rozszczepiania jąder atomu na bazie paliwa uranowego. Oficjalnie wynika to z faktu, że na terenie tego kraju znajdują się spore zasoby naturalne uranu, którego wydobycie rozpoczęto już kilkanaście lat temu. Skądinąd wiadomo jednak, że tego typu technologia daje też sposobność – co od ponad dwóch dekad doskonale udowadniają Irańczycy – skrytego pozyskiwania materiału do produkcji broni jądrowej. Od dawna zresztą pojawiają się spekulacje, że ten oficjalny saudyjski program nuklearny, rozwijany w blasku fleszy i kamer satelitów oraz zgłoszony do Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, jest tylko parawanem dla innego, już ściśle militarnego projek-

tu, prowadzonego w tajemnicy gdzieś w głębi pustynno-górzystego interioru królestwa Saudów.

UKRYTE CELE

Istnienia takich instalacji nie sposób oczywiście wykluczyć, ale warto w tym kontekście wspomnieć o tropie pakistańskim. Na długo zanim pojawiły się jakiegokolwiek wzmianki o zainteresowaniu Arabii Saudyjskiej energetyką nuklearną, świat obiegły pogłoski o poufnym porozumieniu między Rijadem a Islamabadem. Umowa miała dotyczyć finansowego wsparcia Saudów dla prac nad pakistańskim arsenałem nuklearnym w zamian za możliwość wypożyczenia je-

go części w razie gwałtownego zaostrzenia sytuacji strategicznej w regionie Zatoki Perskiej. O ewentualności takiego przymierza wspominali nie tylko eksperci zachodni, ale też, w zawołowany sposób, sami Saudyjczycy. Choć temat wydawał się nośny medialnie i dobrze osadzony w geopolitycznym kontekście (między Arabią a Pakistanem istnieje głęboka więź strategiczna i bliskość relacji w różnych aspektach), to realność takiego scenariusza jest wątpliwa.

Aby w pełni skutecznie wejść w posiadanie bomb będących efektem saudyjsko-pakistańskiego joint venture, Rijad musiałby je pozyskać razem z pakistańskimi systemami rakiet balistycznych, dla których te głowice są przeznaczone. Tym samym znacznie bardziej prawdopodobny w kontekście współpracy atomowej na linii Rijad-Islamabad wydaje się scenariusz, w którym Pakistańczycy dostarczyli Saudyjczykom odpowiednią technologię, know-how, a być może także pomoc w postaci doświadczonych techników i naukowców pracujących nad ulepszaniem pakistańskiego arsenału jądrowego. Co ważne, pakistańska technologia nuklearna również bazuje na wzbogacaniu uranu.

Być może saudyjski program atomowy rzeczywiście ma służyć zapewnieniu bezpieczeństwa energetycznego królestwa w perspektywie najbliższych dwóch dekad. Obecne uwarunkowania geopolityki regionu Zatoki Perskiej każą jednak wątpić, że jest to jedyny cel Rijadu. Jeśli zatem za kilka lat okaże się, że na Bliskim Wschodzie pojawiły się kolejne dwa mocarstwa jądrowe – do tego żywiące wobec siebie jawnie wrogie uczucia – odpowiedzialność za taki stan będą ponosić głównie państwa zachodnie, które w odpowiednim momencie nie potrafiły czy nie chciały ukroić atomowych ambicji ajatollahów z Teheranu. ■



Aktywiści
Indyjskiej Partii
Ludowej palą plakaty
z wizerunkiem chińskiego
prezydenta Xi Jinpinga
podczas protestu przeciwko
Chinom. Srinagar,
Indie, 19 czerwca
2020 roku

WALKA NA PIĘŚCI

Indyjsko-chiński spór o fragment Himalajów toczy się z przerwami od kilkudziesięciu lat. Niedawny kryzys, najbardziej krwawy od 1962 roku, może wywołać eskalację napięć w regionie Morza Południowochińskiego.

ROBERT CZULDA

Kamienie, stalowe pręty, drewniane kije, pięści – za pomocą takich narzędzi indyjscy i chińscy żołnierze, a więc z dwóch termojądrowych potęg, starają się uzyskać kontrolę nad niewielkim skrawkiem górskiego pasma. Akesaiqin, bo o tym terenie mowa, stanowi część Wyżyny Tybetańskiej. Choć pozostaje on pod kontrolą Chin, Indie utrzymują, że to fragment ich regionu Ladakh. Zdaniem Pekinu wcześniejsze, brytyjskie delimitacje granicy z czasów kolonialnych, nie mają podstawy prawnej i należy zaakceptować status quo, a więc władanie Państwa Środka i przynależność Akesaiqin do Autonomicznego Regionu Sinkiang-Ujgur.

STARCIE W TRUDNYCH WARUNKACH

Wydawałoby się, że walka o ten kawałek ziemi nie ma większego sensu, bo jest to teren górzysty (średnio 4,2 tys. m n.p.m.), skuty lodem, trudno dostępny, praktycznie niezamieszkały, pozbawiony surowców naturalnych. Pro-

wadzenie działań zbrojnych w takich warunkach jest bardzo trudne, a przesuwanie dużych, zmechanizowanych zgromadzeń praktycznie niemożliwe. Żołnierze potrzebują wielu dni na aklimatyzację, aby uniknąć ryzyka śmierci w wyniku choroby wysokościowej. Mimo to w 1962 roku doszło tam do otwartej wojny. Ówczesne starcie wygrały Chiny, które po zajęciu spornego obszaru ogłosiły zawieszenie broni. Ceną była śmierć około 700 chińskich żołnierzy i 1,5 tys. indyjskich. Do incydentów w tym regionie nadal dochodzi co jakiś czas, ale tegoroczny jest największy od 1962 roku.

O co zatem toczy się ta gra? Kontrola nad tym terenem umożliwia zatrzymanie nacierających wojsk, co zabezpiecza na przykład Kaszmir czy Tybet. To właśnie chęć dominacji nad przełęczami Himalajów w XIX wieku była motorem działań Brytyjczyków, Chińczyków i Rosjan. Dla Pekinu ważne jest to, że Akesaiqin łączy Sinkiang z Tybetem, nad którym stara się trzymać kontrolę. Indie z kolei nie chcą stracić tego terenu chociażby dlatego, by nie dawać pretekstu





do działania kaszmirskim separatystom, którzy odebraliby to jakoś słabość władz w Nowym Delhi.

KĄSANIE RYWALA

Granica w tym miejscu przebiega wzdłuż tzw. linii faktycznej kontroli (Line of Actual Control – LAC), ustanowionej w 1962 roku. Prowadzi ona przez himalajskie jezioro Bangong Cuo, które jako część Tybetu w około 2/3 jest kontrolowane przez Chiny. To właśnie tam w ostat-

nich latach doszło do dwóch incydentów. W 2017 roku obie strony obrzuciły się kamieniami, a dwa lata później – jak podaje indyjska prasa – „patrol napotkał żołnierzy chińskich. Doszło do bójki i wezwania posiłków. Ostatecznie obie strony wróciły do koszarów”. A trzeba pamiętać, że każdy z uczestników konfliktu ma w regionie około 220 tys. żołnierzy.

Zdaniem niektórych ekspertów przyczyn tegorocznego starcia należy szukać w decyzji z sierpnia 2019 roku, kiedy rząd Indii uchylił specjalny status stanu Dżammu i Kaszmir. Podzielono go na dwa terytoria związkowe, to jest Dżammu i Kaszmir, a na wschodzie Ladakh. Poza tym w ubiegłym roku Indie zakończyły też budowę przebiegającej tuż obok LAC drogi do bazy lotniczej Daulat Beg Oldi. Chiny miały uznać to za zagrożenie swoich interesów, w tym swobody tranzytu do Pakistanu, będącego ich sojusznikiem. Według Nowego Delhi, w pierwszej fazie kryzysu chińskie oddziały przekroczyły tę linię i zaczęły wznosić umocnienia.

O tym, że stawianie jakichkolwiek konstrukcji w regionie jest uważane za prowokację, świadczy kryzys z 2017 roku wywołany budową drogi na płaskowyżu Doklam, leżącym

między Chinami, Bhutanem a Indiami. Wówczas Nowe Delhi – sojusznik Thimphu, który spiera się o to miejsce z Pekinem – wysłało buldożery z obstawą wojska. W ten sposób uniemożliwiono chińskim żołnierzom prowadzenie dalszych prac. Choć nie jest to fragment terytorium Indii, Hindusi poczuł się zagrożeni, bo to niezwykle ważny punkt, łączący różne indyjskie stany na północnym wschodzie. W odpowiedzi Chiny uniemożliwiły indyjskim pielgrzymom wizyty w buddyjskiej świątyni w rejonie tybetańskiego jeziora Mapam Yumco.

SIEĆ ZALEŻNOŚCI

Cały konflikt nie toczy się jednak w próżni, lecz wprawia w ruch skomplikowaną siatkę regionalnych zależności. W tym sporze stronę Indii biorą tybetańskie władze na uchodźstwie. Sojusznikiem Chin jest wspomniany Pakistan, czyli śmiertelny wróg Nowego Delhi, które jednocześnie zacieśnia polityczno-wojskową współpracę z rywalami Pekinu: Stanami Zjednoczonymi, Japonią i Wietnamem. Poza tym Chiny nie mają formalnych kontaktów

CHINY I INDIE W 1996 ROKU POD- PISAŁY POROZUMIE- NIE, W KTÓRYM USTALIŁY, ŻE NIE BĘDĄ SIĘGAĆ PO ŚRODKI MILITARNE. TO DLATEGO W PÓŹNIEJSZYCH KONFLIKTACH ŻOŁ- NIERZE UŻYWALI PIĘŚCI, KAMIENI CZY OWINIĘTYCH DRUTEM KOLCZA- STYM KIJÓW

z Bhutanem, co wynika z zadawnionych sporów, ale utrzymują dobre relacje z Nepalem, podczas gdy stosunki indyjsko-nepalskie są napięte również ze względu na konflikty terytorialne. W czerwcu 2020 roku parlament Nepalu przyjął zmiany w mapie politycznej kraju, uwzględniając na niej obszary będące przedmiotem sporu z Indiami. Była to reakcja na wcześniejszą decyzję New Delhi o utworzeniu drogi do Chin przez himalajski terytorium Kalapani.

WAŻENIE SIŁ

Należy pamiętać, że dwie główne strony tego konfliktu to mocarstwa jądrowe i chociaż ryzyko termonuklearnej wojny jest minimalne, to taki kryzys musi niepokoić. Tym bardziej jeśli weźmie się pod uwagę szerszy kontekst. Sporny obszar w Himalajach położony jest przy Kaszmirze, który z kolei od dekad stanowi kość niezgody między Indiami i Pakistanem. Jakiegokolwiek niepokoję na granicy między tymi krajami mogą stanowić inspirację dla kaszmirskich separatystów. Tam także znajduje się lodowiec Siachen, ko-

lejnny obiekt sporu między Nowym Delhi i Islamabadem. Ryzyko otwartej, konwencjonalnej i pełnoskalowej wojny również należy uznać za bardzo małe. Niemniej jednak eksperci ocenili potencjał obu stron do prowadzenia wojny. Jak wynika z raportu bostońskiego ośrodka Belfer Center for Science and International Affairs, Indie mają strategiczną przewagę – dominują pod względem doświadczenia i przygotowania do walki w tym regionie. Chińczycy skoncentrowali swoje wysiłki modernizacyjne na wschodzie i południu, głównie w rejonie Morza Południowochińskiego, podczas gdy bazy w pobliżu granicy z Indiami nie zostały w równym stopniu przygotowane do wojny. Co więcej, jak podają autorzy raportu, „wysokie położenie chińskich baz w Tybecie i Sinkiangu, a także trudne w regionie warunki pogodowe i klimatyczne sprawiają, że chińskie samoloty bojowe mogą zabierać jedynie około połowy paliwa i uzbrojenia”.

Jednocześnie Indie rozbudowały na północy obronę przeciwlotniczą oraz wzmocniły bazy na wypadek ataku. Hinduscy piloci górują też nad Chińczykami doświadczeniem. Jak stwierdzono w raporcie, „ostatnie ćwiczenia chińskiego lotnictwa – które nie opierały się na przyjętych wcześniej scenariuszach – wykazały, że piloci pozostają w bardzo dużym stopniu uzależnieni od decyzji przekazywanych z łądu. Oznaczać to może, że Chińczycy są w walce zdecydowanie mniej efektywni, niż na ogół się zakłada”.

SPEKTAKL CZY WOJNA?

Obie strony wysłały w region dodatkowe oddziały. Zarówno w Pekinie, jak i Nowym Delhi da się usłyszeć wojowniczą retorykę. Na razie to jest jednak tylko pewnego rodzaju teatr, jako że otwarta wojna o tak mało istotny w gruncie rzeczy obszar byłaby nierozsądna zarówno dla Indii, niemogących równać się pod względem budżetu obronnego z Chinami, jak i dla Pekinu, który chce utrzymać w regionie – szczególnie w Tybecie – spokój, podczas gdy wojna wpłynęłaby negatywnie na gospodarkę i mogłaby wzmocnić w regionie Azji-Pacyfiku pozycję Stanów Zjednoczonych. Chociaż ogłoszono „uzgodnienie konfrontacji na spornym odcinku”, to obie strony raczej zwiększają obecność wojskową w regionie, a nie ją redukują.

Indie wysyłają sygnały, że w razie nasilenia chińskich działań w Himalajach przestaną respektować konsensus wypracowany na nieformalnym szczycie w Wuhan w 2018 roku. Wtedy to premier Narendra Modi i sekretarz generalny Xi Jinping uznali, że obie strony będą deeskalować wzajemne napięcia i szukać pokojowych rozwiązań. Skoro jednak prowadzenie walki w górach jest trudne, Indie są gotowe zwiększać presję na Chiny w innym miejscu, czyli na politycznie niespokojnym Morzu Południowochińskim. Znamienne jest to, że oprócz krytyki działań Pekinu w Himalajach Nowe Delhi w tym samym momencie i w równie negatywnym tonie odniosło się do niedawnej decyzji Chin o ustanowieniu dwóch nowych dystryktów administracyjnych na spornych wyspach Paracelskich i Spratly. ■



Chiny punktuja Ujgura

O łamanie praw człowieka władze chińskie oskarżane są od lat. Szczególnym przypadkiem jest sprawa Ujgurów w Sinciangu. W obronie tej mniejszości ostatnio coraz częściej stają państwa zachodnie.

ROBERT SENDEK

Tego dnia Zakir obudził się nieco wcześniej niż zwykle. Zapalił światło i, nie budząc ciężarnej żony, zmówił poranną modlitwę. Właśnie zaczął się ramadan, dlatego zanim się rozwidniło, zjadł śniadanie, potem starannie się ogolił. Wyszedł do pracy, a ponieważ tak było mu bliżej, skorzystał z tylnego wyjścia w swoim bloku. Wracał drogą w pobliżu meczetu, ale ten był zamknięty. Tam Zakira zarejestrowały kamery publicznego nadzoru. Następnego dnia po mężczyznę przyszli policjanci. Kazali mu się ubierać, po czym wywieźli w nieznanym kierunku. Jaką zbrodnię popełnił Zakir?

Zakir jest muzułmaninem, tak jak wszyscy członkowie jego rodziny. Mieszka w Urumczy, największym mieście regionu. Nie angażuje się w politykę, nie jest buntownikiem. Brody nie zapuszcza, bo to znak islamskich radyka-

łów. Nawet Koranu nie czyta, gdyż ten skonfiskowały mu władze już jakiś czas temu. Nie ma dostępu do internetu, nie ogląda więc żadnych zakazanych programów. Zresztą w Chinach dostęp do takich treści w sposób legalny jest niemożliwy. Zakir próbuje przeżyć z dnia na dzień i utrzymać rodzinę. Modli się, bo tak robili jego przodkowie. Algorytm uznał jednak, że Zakir jest elementem społecznie niebezpiecznym. Jeśli zajmuje go religia, a do tego spodziewa się kolejnego dziecka, to jest podejrzany. Zostanie zatem skierowany do jednostki reedukacyjnej, gdzie przyswoi sobie zasady funkcjonowania w komunistycznym społeczeństwie Chin. Przy okazji zostaną mu wybite z głowy religijne przesady, które nie przystoją obywatelowi komunistycznego państwa w XXI wieku. Żonę zaś skieruje się do szpitala na przymusową aborcję.



IKA HILAL / SHUTTERSTOCK

To nie jest fikcja literacka ani scenariusz filmu grozy. Taki los spotyka setki tysięcy ludzi w północno-zachodnich Chinach. Ucieleśnienie państwa totalitarnego niczym z prozy George'a Orwella.

PERMANENTNA INWIGILACJA

Sinciang to jeden z pięciu regionów autonomicznych w Chinach. Dość przy tym specyficzny: stanowi bowiem największą w kraju jednostkę administracyjną, obejmującą niemal jedną szóstą powierzchni całego państwa. To teren górzysto-wyżynny, w dużej mierze pustylny. Na zachodzie graniczy z państwami Azji Środkowej, Afganistanem, Tadżykistanem, Kirgistanem i Kazachstanem. Większość mieszkańców stanowią tam

mużulmanie kilku narodowości, przede wszystkim tureckojęzyczni Ujgurzy oraz spokrewnieni z nimi językowo Kazachowie i Kirgizi, część stanowią także chińscy wyznawcy islamu.

Od dłuższego czasu dochodzą z tego regionu bardzo niepokojące informacje. W mediach pojawiają się nawet opinie, że Sinciang został zamieniony w jeden wielki obóz koncentracyjny. Jest to reakcja na problemy, jakie z mniejszością mużulmańską, zwłaszcza z najliczniejszymi tutaj Ujgurami, mają w regionie władze chińskie. W przeszłości dochodziło tutaj do manifestacji i zamieszek: najbardziej tragiczne miały miejsce w 2009 roku, gdy w starciach z policją zginęło około 200 osób. Do podobnych wystąpień dochodziło jednak już wcześniej, a także później, lecz nie miały one aż tak tragicznego przebiegu. Protesty są reakcją na brutalność władz i służb porządkowych, wynikającą z problemów ekonomicznych lub poczucia zagrożenia tożsamości narodowej. W związku z niepokojami władze chińskie od kilku lat prowadzą w regionie zaostrożony reżim kontroli mieszkańców. Służy temu system wszechobecnej inwigilacji, w którym władze wykorzystują technologie rozpoznawania twarzy i cyfrowej identyfikacji osób. Mieszkańców regionu śledzą na ulicach setki kamer. Miasta, zwłaszcza stołeczne Urumczy oraz uważany za główny ośrodek kulturalny Ujgurów Kaszgar, zostały podzielone na sektory, a przejście między nimi jest możliwe wyłącznie przez posterunki kontrolne.

Ważny element kontroli stanowi powszechny w Chinach tzw. system zaufania społecznego. Polega on na indywidualnej ocenie zachowania każdego obywatela: właściwe są premiowane dodatkowymi punktami, a niepożądane prowadzą do odjęcia punktów. Na cenzurowanym jest zwłaszcza islam, wiązany silnie z przynależnością etniczną oraz nielegalną działalnością. Według doniesień uciekinierów, w Sinciangu Chińczycy uznawani są za osoby bezpieczne, przeciętni Ujgurzy, którzy nie mieli żadnych konfliktów z prawem – są oznaczeni jako średnio bezpieczni. Ujgurzy zaś, którzy podpadli systemowi, oznaczeni są jako niebezpieczni. Przy czym, aby otrzymać taki status, nie trzeba kraść ani zabijać, wystarczy odmówić modlitwę, mieć zainstalowaną w telefonie niewłaściwą aplikację. Punkty są odejmowane nawet za wychodzenie z domu tylnym wyjściem. Do meczetów od czasu do czasu mogą uczęszczać przedstawiciele niższych warstw społeczeństwa (wejścia świątyń są monitorowane), jest to jednak zakazane dla ujgurskiej elity intelektualnej, nauczycieli, a nawet pracowników takich instytucji, jak np. banki. Uciekinierzy



Indonezyjscy mużulmanie demonstrują w obronie Ujgurów. Dżakarta, grudzień 2018 roku

z regionu opisują, że podczas ramadanu boją się zapalić światło w mieszkaniach, aby nie być posądzonymi o praktykowanie zakazanych obyczajów i przestrzeganie postu.

Istnieją doniesienia, że w systemie powszechnej inwigilacji Chińczycy wykorzystują także sztuczną inteligencję. Koordynuje ona informacje napływające z kamer ulicznych, punktów kontrolnych w miastach, wiąże z systemem zaufania społecznego i dokonuje oceny jednostki. Człowiek, który np. idzie na zakupy lub do pracy, okazuje w punktach kontrolnych karty identyfikacyjne, system zaś ocenia na podstawie zebranych punktów, czy może przejść dalej. Ponadto na bazie zebranych informacji system sam typuje ludzi potencjalnie niebezpiecznych, wykazujących zachowania religijne lub podejmujących działania podejrzanе, po czym wskazuje ich policji. Jak donoszą media zachodnie, algorytmy miały dotychczas skierować do obozów reedukacyjnych tysiące osób.

MILION W OBOZACH

Tak opresyjny system polityczny budzi oczywiście niezgodę samych Ujgurów. W efekcie wielu z nich decyduje się na ucieczkę za granicę, do Kazachstanu czy Kirgistanu, albo próbuje organizować ruch oporu, sympatyzuje z podziemnymi ruchami separatystycznymi lub szuka ratunku w religii. Stąd zaś już niedaleka droga do poglądów radykalnych i sympatii względem ugrupowań islamistycznych. Władze uznają takie zachowania za antypaństwowe wspieranie terroryzmu i jeszcze mocniej dokrecają śrubę.

W obozach reedukacyjnych – jak oceniają organizacje międzynarodowe – może obecnie przebywać nawet milion Ujgurów, Kazachów i innych muzułmanów. Nominalnie służą one ukształtowaniu właściwych postaw obywatelskich, mają włączyć muzułmanów do społeczeństwa chińskiego poprzez wpojenie im chińskich wartości. Z tego też względu obozy takie bywają nazywane ośrodkami doskonalenia zawodowego, gdzie osadzeni mogą zdobywać wiedzę, nowe umiejętności przydatne na rynku pracy, a także uczyć się języka chińskiego. Obrońcy praw człowieka donoszą jednak, że za fasadą z szumnych haseł dochodzi tam do łamania praw człowieka na ogromną skalę. W istocie stanowią one miejsca pracy przymusowej, uwięzieni są traktowani brutalnie, poddawani torturom, przechodzą przy tym istne pranie mózgu, celem zaś jest ukształtowanie ich tożsamości naro-



Ilham Tohti został skazany przez chińskie władze na dożywocie za pracę na rzecz praw mniejszości.

W CHIŃSKICH OBOZACH REEDUKACYJNYCH MOŻE PRZEBYWAĆ NAWET MILION UJGURÓW, KAZACHÓW I INNYCH MUZUŁMANÓW

dowej i religijnej według wytycznych partii komunistycznej. W więzieniach przebywają również przedstawiciele elity ujgurskiej, np. Ilham Tohti, skazany na dożywocie za pracę na rzecz praw mniejszości.

Represje są brutalne i bezkompromisowe, a ich efektem jest rozbicie tradycyjnych więzi społecznych i tragedia setek tysięcy rodzin. Mówi się o zmuszaniu kobiet ujgurskich do aborcji, a nawet przeprowadzaniu przymusowych sterylizacji. Cel to utrzymanie kontroli nad niepokornymi.

W OBRONIE MNIEJSZOŚCI

Sytuację w Sinciangu zaczęto nazywać w przestrzeni medialnej ludobójstwem Ujgurów. Budzi to u zachodnich polityków poczucie grozy. Zbulwersowany doniesieniami amerykański se-

kretnarz obrony Mike Pompeo uznał, że w Sinciangu „ożywiają stronice powieści »Rok 1984« George’a Orwella”. Sprawa chińskich muzułmanów weszła w związku z tym do agendy rozmów wielkich mocarstw z Chinami. Instytucje zachodnie próbują upominać się o prześladowanych Ujgurów. Jesienią 2019 roku Ilham Tohti został laureatem Nagrody im. Sacharowa za wolność myśli, przyznawanej przez Parlament Europejski. Kwestię Sinciangu poruszano również podczas szczytu Unia Europejska–Chiny w czerwcu 2020 roku, akcentując potrzebę zbadania sytuacji na miejscu przez ekspertów Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Sprawa Ujgurów regularnie pojawia się podczas rozmów amerykańsko-chińskich (obok kwestii dotyczących Tybetu i Hongkongu), stając się elementem nacisku. W maju 2020 roku amerykański kongres przyjął projekt sankcji wymierzonych w chińskich urzędników, odpowiedzialnych za stworzenie i funkcjonowanie w regionie obozów reedukacyjnych. Należy do tego grona przede wszystkim Chen Quanguo, sekretarz partii komunistycznej w Sinciangu, obwiniany o prowadzenie w regionie brutalnej polityki względem mniejszości, ale winę za taki stan rzeczy ponoszą także inni wysocy przedstawiciele władz chińskich. Dokument wprowadzający sankcje w czerwcu 2020 roku podpisał prezydent Donald Trump.

Niemal równolegle Departament Handlu USA wpisał na czarną listę 33 chińskie przedsiębiorstwa i instytucje, które współpracowały z tamtejszą armią i były zaangażowane w stworzenie na terenie Sinciangu systemu elektronicznej inwigilacji. Władze w Pekinie odrzucają oskarżenia instytucji zachodnich i argumentują, że prowadzą jedynie walkę z ekstremizmem, terroryzmem i separatyzmem. ■

Ryzyko osłabienia



TRZY PYTANIA DO

*Krzysztof
Winkler*

Brytyjskie media podały informacje o rządowych planach redukcji sił zbrojnych. Jakich wojsk będą one dotyczyć?

Planowana redukcja ma być częścią działań zmierzających do obniżenia wydatków rządowych – o 5% w każdym ministerstwie. Według planów opublikowanych przez „The Sunday Times”, w najgorszym wariantcie wojska lądowe zostałyby zmniejszone z 74 tys. do 55 tys. żołnierzy, brygada komandosów piechoty morskiej rozwiązana, a jej jednostki artylerii, saperów i desantowe zlikwidowane, podobnie jak flota samolotów Hercules i śmigłowców Puma. Siły powietrzne miałyby zamknąć kilka baz. Ucierpiałaby także flota trałowców. W zamian planowano zwiększyć wydatki na działania w cyberprzestrzeni i w Kosmosie. Po kilku dniach rząd dementował te zapowiedzi, a sekretarz obrony Ben Wallace stwierdził, że nie ma planów zmniejszenia armii. Trwają jednak prace nad oceną dotychczasowego sposobu działania i finansowania sił zbrojnych. Na wydatki obronne może wpłynąć także kryzys wywołany pandemią COVID-19. Niewykluczone zatem, że cięcia się pojawiają. Trudno na razie jednak przewidzieć, czy rzeczywiście będą tak głębokie, jak te zapowiadane w mediach.

Taka redukcja doprowadzi do osłabienia zdolności obronnych Wielkiej Brytanii?

Wprowadzenie głębokich cięć w wydatkach oraz likwidacja wielu jednostek oczywiście odbiłyby się negatywnie na zdolnościach obronnych brytyjskiej armii. O ich wielkości zdecyduje przegląd obronności i bezpieczeństwa, największy od czasów zimnej wojny. W jego wyniku mogą zostać ograniczone programy modernizacyjne. Tymczasem pod koniec 2020 roku mają zapaść decy-

zje w sprawie wdrożenia programu modernizacji czołgów Challenger 2. Podobna procedura dotyczy dalszych działań związanych z budową myśliwca nowej generacji Tempest. Przy redukcjach pojawiłyby się też problemy z zakupem wystarczającej liczby samolotów F-35 B dla obu brytyjskich lotniskowców oraz z budową trzech okrętów zaopatrzeniowych potrzebnych do utrzymania gotowości bojowej ich grup. Pod znakiem zapytania stoi także zwiększenie wydatków obronnych do 2% PKB czy też dotrzymanie zobowiązania obecnego rządu do przekroczenia tej kwoty. Trzeba pamiętać, że ze względu na kryzys wywołany koronawirusem może dojść do spadku PKB i rząd w Londynie wyda na armię mniej niż w poprzednich latach. Tymczasem, aby zminimalizować negatywne skutki decyzji o redukcji, należałoby rozwijać zdolności bojowe na wielu płaszczyznach, modernizować i wdrażać nowe systemy uzbrojenia. Część ekspertów uważa, że po opuszczeniu Unii Europejskiej należy rozbudowywać brytyjski potencjał obronny w związku z ograniczaniem w Europie aktywności Amerykanów.

Planowane cięcia mogą wpłynąć na sojusznicze zobowiązania Wielkiej Brytanii?

Jeśli wejdą one w życie, trudniej będzie na przykład wystawić kontyngenty do działań w ramach NATO. Tym samym może być także ograniczona zdolność do utrzymywania brytyjskiej obecności w Europie Centralnej i Wschodniej. ■

Dr KRZYSZTOF WINKLER jest członkiem Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzgruber.

NARZĘDZIA POLITYCZNEGO SZANTAŻU

Korea Północna ostatnio nie prowadzi testów pocisków międzykontynentalnego zasięgu. Oznacza to odejście od agresywnej polityki międzynarodowej, a może raczej zmianę strategii?

RAFAŁ CIASTOŃ

함남 선덕서 동해로 발사

진·전 주민 자가격리 과산군 오가리에 이동통제반 24시간

Mieszkaniec Seulu ogląda transmisję telewizyjną z wystrzelenia północnokoreańskiej rakiety, 9 marca 2020 roku.

P o kilkunastu miesiącach względnego spokoju na Półwyspie Koreańskim znów obserwujemy tam wzrost napięcia, o czym dobitnie świadczy chociażby wysadzenie w powietrze budynku biura łącznikowego między państwami koreańskimi w Kaesongu. Wprawdzie nie dochodzi do kolejnych testów rakiet średniego, pośredniego czy międzykontynentalnego zasięgu, nie oznacza to jednak, że program balistyczny stoi w miejscu. Być może mamy do czynienia z nowym, równie groźnym zjawiskiem.

ZMIANA AKCENTÓW

W maju 2019 roku przeprowadzono pierwsze testy pocisku KN-23, przez zachodnie media określanego niekiedy kopią rosyjskiego iskandera. Po dwóch zakończonych sukcesem próbach nie był już testowany i niejasny pozostaje jego status operacyjny. Napędzana stałym paliwem rakietą ma zasięg 450–690 km, w zależności od masy głowicy. W sierpniu rozpoczęto natomiast testy pocisku KN-24, wyglądem zbliżonego do amerykańskiego ATACMS. Ta konstrukcja ma wprawdzie mniejszy zasięg (do 410 km), ale nie on stanowi o jej wartości. Kwestia rozmiarów budzi

wątpliwości, ale eksperci portalu 38North, poświęconego analizom dotyczącym Korei Północnej, zakładają, że średnica rakiety może wynosić od 700 do 850 mm, co oznaczałoby, że możliwe jest zamontowanie w głowicy prezentowanego w 2017 roku ładunku jądrowego o średnicy około 600 mm. Oczywiście są to jedynie przypuszczenia i nie sposób dziś jednoznacznie stwierdzić, czy pocisk ma pełnić rolę nosiciela broni atomowej, ale jest to bardzo prawdopodobne.

KN-24, podobnie jak KN-23, przewożony jest na kołowej wyrzutni wyposażonej w dwa pociski. Podczas ubiegłorocznych testów rakiety były odpalane w piętnastominutowym przedziale czasowym, w trakcie kolejnej próby w marcu 2020 roku udało się skrócić ten czas do pięciu minut. Ten progres wskazuje, że pocisk wciąż jest w fazie opracowania i nie uzyskał gotowości operacyjnej. Gdy to się stanie, może stanowić poważne wyzwanie dla amerykańskich i południowokoreańskich planistów wojskowych. Dzięki stosunkowo niskiej trajektorii lotu (poniżej 50 km przy maksymalnym zasięgu, przy czym może ona zostać dodatkowo spłaszczona), a także zdolności do manewrowania, jego ewentualne przechwycenie będzie znacznie trudniejsze, niż



Zdaniem Marka T. Espera, sekretarza obrony USA, Korea Północna wciąż dąży do posiadania pocisków klasy ICBM (intercontinental ballistic missile). Podobne opinie znajdują się w raportach amerykańskich agencji wywiadowczych.



JUNG YEON-JE / AFP / EAST NEWS

w wypadku SCUD-ów i ich pochodnych. Mobilna wyrzutnia i krótki czas przygotowania do odpalenia utrudnią zaś ich namierzenie i zniszczenie przed startem.

Od sierpnia 2019 do marca 2020 roku przeprowadzono również 12 testów pocisków krótkiego (380 km) zasięgu – KN-25. Ta konstrukcja również jest napędzana stałym materiałem pędnym, ale w tym wypadku na wyrzutni znajdują się aż cztery pociski. Status operacyjny rakiet pozostaje oczywiście nieznany. Niemniej jednak sam fakt testowania w ciągu zaledwie roku trzech różnych typów pocisków krótkiego zasięgu świadczy o nowych priorytetach północnokoreańskiego programu balistycznego, a pośrednio również jądrowego.

Do końca 2017 roku wyraźnie skupiano się na udoskonalaniu pocisków o jak największym zasięgu, a celem było opracowanie rakiet międzykontynentalnych. Nie sposób dziś wprawdzie stwierdzić, że został on zarzucony, ale bez wątpienia inaczej rozkładają się akcenty programu. Pozyskanie systemów przenoszenia broni jądrowej szczybla taktycznego i operacyjno-taktycznego daje Korei Północnej więcej korzyści w wymiarze militarnym, przy czym jest obciążone dużo mniejszym ryzykiem w wymiarze politycznym.

REALNE ZAGROŻENIE

Testy pocisków średniego, pośredniego i międzykontynentalnego zasięgu wzbudzały obawy Stanów Zjednoczonych.

Początkowo w polu rażenia tej broni znajdowały się wyspa Guam i część Alaski, potem zachodnie wybrzeże USA, w końcu zaś cały kraj. Efektem były słowa prezydenta Donalda Trumpa o ogniu i furii, jakich świat nie widział, i największy od lat wzrost napięcia między obydwojoma państwami. Testy systemów krótkiego zasięgu nie wywołują natomiast większego zainteresowania prezydenta USA. Tymczasem jeśli któryś ze wspomnianych wyżej pocisków okaże się mieć podwójne zastosowanie, tj. możliwość przenoszenia głowic zarówno konwencjonalnych, jak i jądrowych, sytuacja militarna na Półwyspie Koreańskim ulegnie zasadniczej zmianie.

Niezależnie od buńczucznej retoryki reżimu jego przedstawiciele doskonale zdają sobie sprawę z tego, że pociski strategiczne to wyłącznie narzędzie politycznego szantażu, a nie dostępna w sytuacji kryzysowej opcja militarna. I tak naprawdę posługiwanie się nimi ma pewne ograniczenia, bo jeśli dysponujący przecież miazdzącą przewagą adwersarz uwierzyłby w zamiar użycia tej broni przez Pjongjang, mógłby podjąć ryzyko konwencjonalnego bądź nawet nuklearnego ataku wyprzedzającego.

Z systemami krótkiego zasięgu sprawa wygląda zgoła inaczej. Dają one możliwość zarówno szantażu, jak i potencjalnego użycia, choćby mającego na celu wyłącznie demonstrację siły. Stanowią szczybel w drabinie eskalacji i z tej perspektywy groźba ich użycia jest całkiem realna. Władze Korei Północnej mogły więc zdecydować o rozwoju tego rodzaju systemów uzbrojenia jako bardziej użytecznych.

ATUTY REŻIMU

Działania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej (KRL-D) w dziedzinie rozwoju pocisków krótkiego zasięgu mają jeszcze jedno wytłumaczenie. Ogłoszona w 2017 roku modyfikacja południowokoreańsko-amerykańskiego porozumienia w sprawie pocisków balistycznych zniósła ograniczenia dotyczące masy głowicy, utrzymując jedynie limit zasięgu (800 km). Seul może więc dziś rozwijać kolejne konstrukcje z rodziny Hyunmoo. I tak testowany po raz pierwszy w 2020 roku pocisk balistyczny Hyunmoo-4 ma zasięg 800 km i może przenosić ładunek o masie 2 t. Stanowi on rozwinięcie Hyunmoo-2C, o podobnym zasięgu, ale z czterokrotnie lżejszą głowicą.

Korea Południowa ma również pociski manewrujące Hyunmoo-3 o zasięgu – w zależności od wersji – sięgającym 500, 1000 i 1500 km. Ostatnia wersja jest w uzbrojeniu nowych jednostek marynarki wojennej – niszczycieli, fregat i okrętów podwodnych. Seul dysponuje więc zdywersyfikowanym i stale unowocześnianym potencjałem uderzeniowym. Pjongjang nie chce pozostać w tym wyścigu z tyłu. Przy niekwestionowanej przewadze jakościowej Południa to właśnie pociski balistyczne (oraz oczywiście broń jądrowa) są głównymi atutami komunistycznego reżimu. W wersji konwencjonalnej dają one jedyną możliwość uderzenia na cele zlokalizowane głęboko na terytorium Republiki Korei.

Lotnictwo KRL-D wygląda wprawdzie imponująco w kategoriach liczbowych (około 545 samolotów bojowych), ale





Pocisk KN-24 wyglądem przypomina amerykański ATACMS.

TESTOWANIE W CIĄGU ZALEDWIE ROKU TRZECH RÓŻNYCH TYPÓW POCISKÓW KRÓTKIEGO ZASIĘGU ŚWIADCZY O NOWYCH PRIORYTETACH PÓŁNOCNOKOREAŃSKIEGO PROGRAMU BALISTYCZNEGO

znacznie gorzej w jakościowych. W zasadzie jedynymi względnie nowoczesnymi maszynami są MiG-29 (około 20 egzemplarzy) i Su-25 (ponad 30), w służbie wciąż znajdują się prawdopodobnie pamiętające wojnę koreańską MiG-15, a także kolejne typy samolotów tej rodziny: MiG-17, MiG-19, MiG-21 i MiG-23 czy bombowce Il-28. Zdolność do przeniknięcia tak wyposażonego lotnictwa w głąb terytorium przeciwnika należy ocenić jako iluzoryczną, więc do realizacji podobnych misji pozostają zatem wspomniane pociski balistyczne. W wypadku uzbrojenia w głowice jądrowe staną się one również narzędziem odstraszenia, zarówno w wymiarze militarnym, jak i politycznym. Łatwo sobie wyobrazić przecież północnokoreańską wersję doktryny deeskalacji przez eskalację.

NA PÓŁWYSPIE BEZ ZMIAN

Jeśli spojrzeć się na użyteczność taktycznych głowic jądrowych z tej perspektywy, można dojść do wniosku, że o ile pociski międzykontynentalne są dla Pjongjangu czynnikiem zwiększającym ryzyko konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi, ze scenariuszem militarnym włącznie, o tyle pociski krótkiego zasięgu takie ryzyko redukują. Czy jednak rozwój tych ostatnich oznacza, że reżim porzucił marzenia o pierwszych? Niestety nie, i istnieje na to co najmniej kilka dowodów.

W 2018 roku wydawało się, że poligon raketowy Tongchang-ri, gdzie testowano rakiety nośne i międzykontynental-

ne, zostanie zlikwidowany. Obserwowano demontaż części tamtejszych instalacji, choć niektórzy eksperci podkreślali, że prace są celowo spowalniane i mogą być obliczone jedynie na sprawianie stosownego wrażenia. Od kilku miesięcy aktywność na poligonie rośnie i nic nie wskazuje na to, by miał on zostać zamknięty.

Sekretarz obrony USA Mark Esper otwarcie mówi, że KRL-D wciąż dąży do posiadania pocisków klasy ICBM (intercontinental ballistic missile) i podobne opinie znajdują się w raportach amerykańskich agencji wywiadowczych. Podziemna baza raketowa ma powstawać w prowincji Ryanggang, przy granicy z Chinami. Trudno więc zakładać, by miały w niej znaleźć się pociski krótkiego zasięgu. Kolejna baza, lub przynajmniej magazyn rakiet, powstanie w rejonie międzynarodowego portu lotniczego Pjongjang Sunan.

Wydaje się zatem, że reżim jedynie zmienił akcenty programu balistycznego, odkładając w czasie jedne projekty, a przyspieszając inne. Pozorując gotowość do denuklearyzacji, Kim Dzong Un z jednej strony liczył na złagodzenie sankcji, z drugiej zaś na przeczekanie obecnej kadencji prezydenckiej w USA. W roku wyborczym ryzyko ziszczenia się groźby „ognia i furii, jakich świat nie widział” w zasadzie nie istnieje. W styczniu 2021 roku z północnokoreańskiej stolicy znów usłyszymy groźby i jednocześnie zapewnienia o gotowości do dialogu, niezależnie od tego, kto będzie wówczas lokatorem Białego Domu. Parafrazując Ericha Marię Remarque’a, na Półwyspie Koreańskim bez zmian... ■

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre


Member



MSPO

**XXVIII Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**



Brytyjska Wystawa Narodowa

8-10.09.2020, Kielce

TU SPOTYKA SIĘ BRANŻA OBRONNA

PARTNER STRATEGICZNY



WWW.MSPO.PL



KOSOWO

Urzędująca w Hadze Specjalna Izba Sądowna ds. zbrodni w Kosowie pod koniec czerwca 2020 roku oskarżyła prezydenta Kosowa Hashima Thaçiego oraz kilku urzędników o popełnienie zbrodni wojennych i przeciw ludzkości w czasie wojny w Kosowie pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku. SE



JAPONIA

Sily powietrzne Japonii prawdopodobnie dostaną 105 myśliwców Lockheed F-35 Lightning II. W grę wchodzi 63 samoloty w wersji F-35A oraz 42 egzemplarze F-35B. Gdyby doszło do transakcji, Japońskie Powietrzne Siły Samoobrony dysponowałyby 147 samolotami F-35 i byłyby drugim największym po USA użytkownikiem tych maszyn. DEK



Pochodzący z okresu zimnej wojny samolot Fiat G.50 z fińską swastyką

FINLANDIA

Bez swastyki

Dowództwo sił powietrznych zmieniło emblemat.

Ten symbol we współczesnym świecie kojarzy się przede wszystkim z narodowym socjalizmem i hitlerowskimi Niemcami.

W Finlandii tymczasem od 1918 roku swastyka pozostaje elementem wielu symboli państwowych, oznaczeń i odznaczeń wojskowych, zwłaszcza związanych z lotnictwem. Do końca II wojny światowej błękitną swastykę malowano na samolotach jako fiński znak rozpoznawczy, później zastąpiono ją białą-błękitną kokardą. Do dzisiaj widnieje jednak np. na fladze prezydenckiej. Do niedawna była ona również elementem oficjalnego emblematu



dowództwa fińskich sił powietrznych. Teraz ją usunięto. Tak powód zmiany wyjaśnił gen. Jari Mikkonen (na zdjęciu): „Od czasu do

czasu musieliśmy wyjaśniać, sięgającą roku 1918 roku, historię swastyki w fińskim lotnictwie wojskowym. Symbol ten wywoływał nieporozumienia z naszymi zagranicznymi partnerami. Dalsze jego używanie uznano zatem za niestosowne i niepotrzebne”. Przedstawiciele fińskiego lotnictwa podkreślali, że użycie tego symbolu w ich tradycji wojskowej nie ma żadnego związku z hitlerowskimi Niemcami ani z nazizmem.

SOMALIA

Zamach na generała

W połowie lipca 2020 roku celem samobójczego ataku stał się gen. Odowaa Yusuf Rageh. Zamach miał miejsce na ulicach stołecznego Mogadiszu. Bojownik kierujący samochodem pułapką próbował wbić się w konwój eskortujący dowódcę somalijskiej armii, ale został zastrzelony przez jego ochroniarzy. W wyniku eksplozji auta zginęła jedna postronna osoba, a pięć odniosło rany. Rageh wyszedł z zamachu bez szwanku.

W Somalii regularnie dochodzi do ataków na oficerów armii rządowej. Odbudowane z trudem wojsko próbuje przejąć inicjatywę i wypierać islamistów z zajętych terenów. Odowaa Yusuf Rageh objął w sierpniu 2019 roku, w wieku 32 lat, funkcję głównodowodzącego somalijską armią. Nominacja tak młodego oficera na wysokie stanowisko była znakiem zaufania dla jego bezkompromisowości i zaangażowania w walce z islamistami z Asz-Szabab. ROB

AUSTRALIA

Stan zagrożenia

Canberra zamierza inwestować w bezpieczeństwo.

Premier Scott Morrison ogłosił plany zwiększenia wydatków na obronę o 40% w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Tym samym Australia ma przeznaczyć 270 mld dolarów australijskich (około 186,5 mld dolarów amerykańskich)

na podniesienie zdolności kraju do „odstraszania lub reagowania na agresję”. Premier zaznaczył przy tym, że w grę wchodzi kupno m.in. pocisków dalekiego zasięgu. Takie decyzje wynikają, jak podkreślił, z narastającej w regionie

niepewności gospodarczej i obaw o bezpieczeństwo, czego nie doświadczano od czasów II wojny światowej. Przyczynami są m.in. rosnące napięcie między USA i Chinami, a także zagrożenie nową pandemią COVID-19. „Chcemy, aby region Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku był wolny od przymusu i hegemonii. Aby wszystkie kraje, duże i małe, mogły swobodnie współpracować ze sobą i kierować się międzynarodowymi zasadami i normami”, powiedział premier Morrison.

ARMENIA, AZERBEJDŻAN

KONFLIKT W NOWEJ ODSŁONIE

Oba kraje przerzucają się odpowiedzialnością za wzrost napięcia na granicy.

Między siłami Armenii i Azerbejdżanu 12 lipca 2020 roku doszło do starć granicznych. Według armeńskiego ministerstwa obrony winni byli azerscy żołnierze, którzy próbowali przekroczyć granicę samochodem UAZ. Azerowie z kolei odpowiedzieli, że to Ormianie brutalnie złamali warunki zawieszenia broni, bo prowadzili ostrzał artyleryjski pozycji azerskich, a następnie podjęli próbę ich zajęcia.

Incydent wydarzył się na granicznej linii w prowincji Tawusz i rejonie

Towuz. Konsekwencją była kilkudniowa wymiana ognia, w której wyniku, jak się szacuje, po obu stronach zginęło kilkudziesięciu żołnierzy, w tym wysocy rangą azerscy oficerowie – gen. Polad Hasimov oraz płk İlgar Mirzayev. Na wieść o starciach w kilku miastach Azerbejdżanu odbyły się uliczne manifestacje. Największe miały miejsce w Baku, gdzie tysiące osób żądało rozpoczęcia wojny z Armenią.

To kolejna odsłona ormiańsko-azerskiego konfliktu o Górski Karabach. Toczącą się w pierwszej połowie lat

dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia wojnę wygrała Armenia, ale formalnie nie przypieczętowało jej zawarcie pokoju. Od 1994 roku obowiązuje jedynie zawieszenie broni. Od tego czasu Azerbejdżan i Armenia nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, nie prowadzą też ze sobą handlu ani innego rodzaju współpracy. Regularnie natomiast na granicach między obiema republikami dochodzi do wymiany ognia. Ostatnie poważniejsze starcie odnotowano w maju 2018 roku. SEND ■

TURCJA

Zastąpią stingery

Jak ogłoszono na początku lipca 2020 roku, po zakończeniu testów ogniowych nowy system rakietowy obrony powietrznej krótkiego zasięgu Sungur jest gotowy do służby. Wyposażony w cztery wyrzutnie pocisków PorSav, może niszczyć rakietę manewrującą, bezzałogowce oraz nisko lecące samoloty i śmigłowce znajdujące się w odległości do 6 km. System zamontowany na pojazdach opancerzonych Vuran 4x4 zostanie wyposażony w urządzenia optyczne do wykrywania, identyfikowania i śledzenia celów powietrznych. W przyszłości nowa broń ma zastąpić amerykańskie zestawy FIM-92 Stinger. RSE ■

TAJWAN

Pokaz determinacji

„Han Kuang” odbyły się już po raz 36.

Gotowość tajwańskich jednostek do obrony na wypadek agresji chińskiej armii sprawdzano w czasie corocznych ćwiczeń wojskowych „Han Kuang”. Pekin uznaje Tajwan za zbuntowaną prowincję i nie wyklucza możliwości użycia wobec niej siły. W ostatnich miesiącach można było zauważyć rosnącą presję Chin, przejawiającą się m.in. w częstszych przelotach samolotów w pobliżu przestrzeni powietrznej Tajwanu. „Han Kuang”, największe ćwiczenia wojsko-

we Tajwanu, przeprowadzono po raz 36. Uczestniczyły w nich jednostki sił lądowych, powietrznych oraz marynarki wojennej. Prezydent Tsai Ing-wen powiedział, że wojsko musi każdego roku przeprowadzać test gotowości, bo „niezwykle ważne jest, aby świat przekonał się o naszej determinacji i wysiłkach na rzecz obrony kraju”. Podczas tegorocznych manewrów doszło do niefortunnego wypadku: w katastrofie śmigłowca OH-58D zginęło dwóch pilotów. SR ■

HISTORIA

/ XX WIEK



↓

Główna brama wjazdowa do katowni – więzienia mokotowskiego przy ulicy Rakowieckiej 37 w Warszawie. Druga połowa lat czterdziestych XX wieku

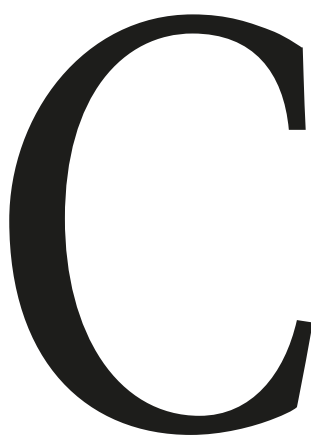
W MAJESTACIE BEZPRAWIA

Ośmiu pilotów Wojska Polskiego, doświadczonych i zasłużonych dla Polski, skazano w sfigowanym procesie na śmierć i 7 sierpnia 1952 roku stracono.

ROBERT SENDEK

STANISŁAW DĄBOWIECKI





zytamy: „Ja, niżej podpisany Bernard Adamecki, z własnej nieprzymuszonej woli oświadczam, co następuje: w latach 1946–1949 należałem do organizacji podziemnej w Sztabie Generalnym WP”. Tak brzmi początek zeznań, w których jeden z ośmiu pilotów oskarżonych w sfingowanym procesie przyznaje się do popełnienia przestępstwa. Jest początek lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, mroczne czasy stalinizmu. W kraju z nadania Moskwy rządzi komuniści. Szpiegami, agentami imperialistycznego wywiadu, podejrzany są wszyscy ci, którzy podczas niedawno zakończonej wojny walczyli z Niemcami po niewłaściwej stronie. Wystarczyło, że należeli do Armii Krajowej albo znaleźli się w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

PO WOJNIE, LECZ BEZ SPOKOJU

Główną zbrodnią płk. Bernarda Adameckiego była przynależność do organizacji podziemnej, która miała za zadanie „opóźnianie procesu socjalizacji w Wojsku Polskim oraz wprowadzanie dawnych tradycji”. O tym, czego dotyczyły te dawne, w sensie: przedwojenne jeszcze, tradycje, czytamy dalej w zeznaniach pułkownika. Chodziło mianowicie o „defilady po nabożeństwie w kościele, udział wojska w obchodzeniu Bożego Ciała itp.”. To nie wszystkie „zbrodnie”. Adamecki przyznał się jeszcze do czegoś: „oficerów i podoficerów dawnych poglądów starałem się w miarę możliwości wciągać na ważne lub ważniejsze stanowiska”. A do tego: „podczas naboru kandydatów do Technicznej Szkoły Lotniczej nie odrzucałem ujawnionych byłych członków AK”.

W normalnych czasach nikomu nawet do głowy by nie przyszło, by przesłuchiwać oficera z tego tylko powodu, że poszedł do kościoła albo że rekrutował ludzi mających doświadczenie w walce. Ale przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych to nie były normalne czasy. Komunistyczny rząd pod dyktando sowieckich doradców prowadził zacięłą walkę z prawdziwymi bądź urojonymi wrogami „władzy ludowej”. Jej ofiarami stawali się oficerowie mający cenne doświadczenia bojowe, odznaczenia polskie i alianckie. Tacy właśnie, jak ośmiu pilotów, którzy wiedzę i umiejętności zdobywali w przedwojennej Polsce, walczyli podczas okupacji, a potem zdecydowali się wstąpić do nowego, ludowego wojska.

Gdy w 1945 roku wojna w Europie się skończyła, wielu żołnierzy należących do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie miało dylemat: wybrać wolność i ułożyć sobie życie na emigracji czy za ryzykować i wrócić do kraju opanowanego przez Sowietów? Decyzja nie była prosta, część żołnierzy zdecydowała się pozostać w Wielkiej Brytanii, Włoszech lub wyjechać do Kanady czy Stanów Zjednoczonych. Inni natomiast wybierali repatriację. Wątpliwości takie nie ominęły również polskich pilotów walczących w brytyjskich dywizjonach lotniczych.

Wielu weteranów walk powietrznych zdecydowało się wracać do rodzin. Do kraju przyjechali wówczas ci najsłynniejsi, jak np. Stanisław Skalski, ale także inni, wcale nie mniej od niego zasłużeni w bojach. Ocenia się, że po zakończeniu wojny do Polski wróciło około 3 tys. pilotów, mechaników i nawigatorów lotniczych. Próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości: rozpoczynali właściwie od nowa życie w cywilu lub zgłaszali

Jak głosy oficjalne oskarżenia, spiskowcy podjęli służbę w ludowym wojsku po to, aby we właściwym momencie przejąć władzę nad armią i podporządkować ją emigracyjnemu rządowi w Londynie.



Płk Szczepan Ścibior, w czasie wojny dowódca eskadry 305 Dywizjonu Bombowego, w więzieniu był poddawany wielogodzinnym brutalnym przesłuchaniom.

OCENIA SIĘ, ŻE PO ZAKOŃCZENIU WOJNY DO POLSKI WRÓCIŁO

OKOŁO 3 TYS. PILOTÓW, MECHANIKÓW I NAWIGATORÓW LOTNICZYCH

się do armii. Tam stawali przed komisjami weryfikacyjnymi, po czym kierowano ich do pracy w tworzących się strukturach wojska ludowego. Doświadczeni, mający specjalistyczną wiedzę i umiejętności szybko awansowali.

Takie właśnie były losy m.in. płk. Szczepana Ścibiora: w czasie wojny dowódca eskadry 305 Dywizjonu Bombowego, po powrocie do kraju i weryfikacji objął funkcję komendanta szkoły pilotów w Dęblinie. W tym samym dywizjonie służył również ppłk Stanisław Michowski, który znalazł pracę w Oddziale II Sztabu Generalnego. Przez jakiś czas razem z nim pracował także inny pilot repatriant, płk Józef Jungrow, podczas wojny wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej w Wielkiej Brytanii, po powrocie zatrudniony w Akademii Sztabu Generalnego. Z kolei ppłk Władysław Minakowski, walczący w 304 Dywizjonie Bombowym, został dowódcą Samodzielnej Eskadry Aerofotogrametrycznej.

Do pracy w tworzącym się „ludowym” lotnictwie zgłaszali się również ci, którzy okres wojny spędzili w kraju. Płk Adamecki podczas okupacji działał w Komendzie Głównej AK, gdzie był odpowiedzialny m.in. za organizację zrzutów. Po zweryfikowaniu najpierw podjął pracę w szkole pilo-

tów w Dęblinie, potem został komendantem Wojskowej Szkoły Technicznej w Warszawie. Był on weteranem powstania warszawskiego, podobnie jak inny z pilotów, płk August Menczak, który doświadczenie bojowe zdobywał jeszcze podczas wojny polsko-bolszewickiej.

SPISEK, WYWIAD I DYWERSJA

Tymczasem pod koniec lat czterdziestych sytuacja w kraju szybko się zmieniała. Wśród komunistycznych elit, które budowały nad Wisłą nowy ustrój, dochodziło do tarć i przetasowań. W efekcie wewnętrznych rozgrywek jesienią 1949 roku od władzy odsunięto dotychczasowego ministra obrony, marszałka Michała Rolę-Żymierskiego oraz wiceministra gen. dyw. Mariana Spychalskiego. Oskarżono ich o tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, które miało polegać m.in. na tym, że do służby wojskowej przyjmowali głównie Polaków, w tym żołnierzy z PSZ.

Nowym ministrem obrony został marszałek Konstanty Rokossowski, notabene głównodowodzący Północnej Grupy Wojsk sowieckiej armii stacjonującej w Polsce. Pod jego wpływem zaczął się proces stopniowej sowietyzacji polskich



PILOTOM POSTAWIONO ZARZUTY PRZYNALEŻNOŚCI DO „DYWERSYJNO-SZPIEGOWSKIEJ ORGANIZACJI DZIAŁAJĄCEJ W LUDOWYM WOJSKU POLSKIM”



**Płk BERNARD
ADAMECKI**



**Płk JÓZEF
JUNGRAW**



**Płk AUGUST
MENCZAK**



**Ppłk WŁADYSŁAW
MINAKOWSKI**

wojsk. Sygnał do czystek w armii dał prezydent Bolesław Bierut. W listopadzie 1949 roku na jesiennym plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wypowiedział znamienne słowa: „Dziś zadanie polega na tym, by wydobyć z ukrycia przyczajone niedobitki wroga i rozsiane po wszystkich szczelinach maszyny społecznej chytrze zamaskowane jego macki, na których usiłują oprzeć swą szpiegowską, szkodnicką, spiskową, terrorystyczną, dywersyjną robotę wrogu nam imperialistyczne środki zagraniczne”.

To był impuls: ruszyła państwowa machina szukania „przyczajonych niedobitków wroga”. Już wkrótce „Trybuna Ludu” mogła na pierwszej stronie triumfalnie ogłosić: „Udaremnienie zbrodniczego spisku sanacyjno-faszystowskich oficerów, agentów anglo-amerykańskiego wywiadu”. Jak głosiły oficjalne oskarżenia, spiskowcy podjęli służbę w ludowym wojsku po to, aby we właściwym momencie przejąć władzę nad armią i podporządkować ją emigracyjnemu rządowi w Londynie. Rozgałęzioną konspiracją kierowało jakoby grono wysokich rangą oficerów, w tym generałowie Stanisław Tatar, Jerzy Kirchmayer, Stefan Mossor i Franciszek Herman. W sfingowanych procesach rzekomi przywódcy spisku zostali potępieni i skazani na kary dożywocia lub wieloletniego więzienia.

Na tym się jednak nie skończyło. Tropiąc szpiegów i agentów głęboko jakoby zakonspirowanych w strukturach wojska, komuniści aresztowali około setki oficerów służby czynnej i rezerwy. Postawiono im następnie zarzuty uczestnictwa w działaniach antypaństwowych. Rozpoczęły się tzw. procesy odpryskowe. Przed wymiarem ludowej sprawiedliwości stanęło wielu oficerów, których jedyną winą było to, że walczyli na Zachodzie albo należeli do AK.

Najbardziej znany proces odpryskowy dotyczył tzw. spisku komandorów, gdzie głównymi oskarżonymi było siedmiu wysokich rangą oficerów mary-

narki wojennej. Tymczasem podobną zmwę stalinowscy śledczy wytropili również w siłach powietrznych. W tzw. grupie kierownictwa konspiracji wojsk lotniczych znaleźli się: płk Bernard Adamecki, płk Józef Jungraw, płk August Menczak, płk Szczepan Ścibior, ppłk Stanisław Michowski, ppłk Władysław Minakowski, ppłk Stanisław Ziach oraz ppłk Aleksander Majewski.

TYGODNIE W STÓJCE

Wojsko nie podlegało cywilnej bezpiece, więc aresztowanymi zajął się Główny Zarząd Informacji, czyli kontrwywiad wojskowy, podległy bezpośrednio ministrowi obrony narodowej, oraz terenowy Zarząd Informacji Wojsk Lotniczych. Poddawani byli brutalnej presji psychicznej oraz długotrwałym wyczerpującym przesłuchaniom.

Piotr Woźniak, żołnierz AK i autor wspomnień „Zapluty karzeł reakcji”, przebywał w celi z jednym z lotników. Wspomina go tak: „Minakowski opowiadał o swych wyczynach w RAF-ie w okresie wojny, o liczbie strąconych samolotów niemieckich i sposobach walki z nimi, o wysokich odznaczeniach polskich i brytyjskich, które zdobył jego mundur”. Woźniak opisał również, jak nieszczęsnych pilotów zmuszano do zeznań: przez pierwszy tydzień przesłuchanie trwało codziennie bez przerwy przez osiem godzin, w drugim tygodniu – 16, w trzecim już 22 godziny na dobę. Jeśli to nie skutkowało, przesłuchiwanemu musiał siedzieć bez najmniejszego ruchu. Po kolejnych tygodniach znów zaostrzano procedurę: przesłuchiwanego delikwenta na stojąco (to tzw. stójka), później zaś na stojąco i bez ruchu. „Teoretycznie więzień miał być poddawany takim warunkom przez okres od dwunastu tygodni do trzech miesięcy. Ale to się nie zdarzało. Wystarczała mu połowa tego czasu. Jeżeli już doszedł do postawy stojącej, to już całkowicie załamywał się i był zdolny do składania wszelkich pożądanых zeznań”, opisywał Piotr Woźniak.

Przesłuchiwanie było jedną z metod wydobywania obciążających zeznań. Inną okazało się umieszczanie w celi konfidentów i prowokatorów. Wyciągali oni od osadzonych informacje, które następnie stawały się podstawą kolejnych oskarżeń. W ten sposób śledczym udało się wydobyć wiele szczegółów z życia ppłk. Minakowskiego. Sięgano również po przemoc psychiczną – na płk. Augusta Menczaka podziały groźby: zasugerowano mu, że jeśli się nie przyzna do zarzutów, jego żona i wychowanka znajdą się w więzieniu, w rękach wszechwładnej bezpieki. Przyznał się zatem do wszystkiego, czego od niego żądano. Płk Adamecki, mający jeszcze przed aresztowaniem kłopoty zdrowotne, wytrzymał trzy miesiące przesłuchań. W końcu jednak złamano go, podpisał wszystko. Podobnie jak pozostali, przyznał się do uczestnictwa w nieistniejącym spisku.

Najdłużej opierał się Minakowski, który wytrzymał do etapu całodniowej stojki. Według Woźniaka podpułkownik po tygodniach przesłuchań był w fatalnym stanie: „cały opuchnięty, a ciało miał pokryte wrzodami. Szczególnie głowę pokrywał mu jeden wielki ropień. Będąc w takim stanie, ppłk Minakowski nie wrócił już do celi po kolejnym, nocnym śledztwie”.

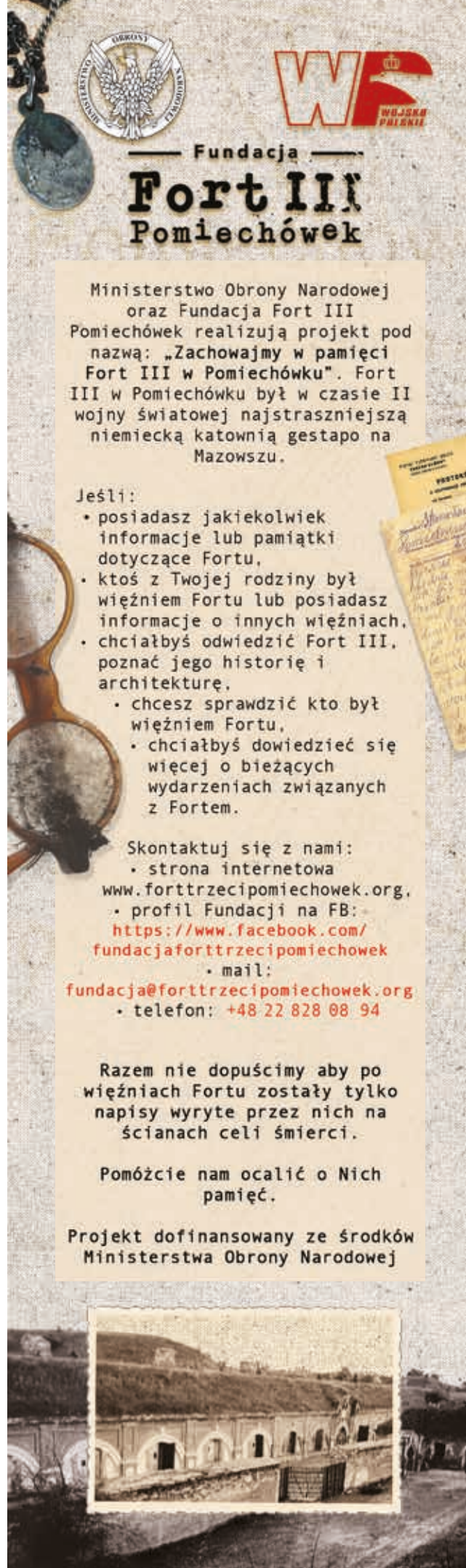
NA ULASKAWIENIE NIE ZASŁUGUJĄ

W maju 1952 roku odbył się proces całej ósemki pilotów. Akt oskarżenia przygotował prokurator wojsk lotniczych ppłk Jan Amons, oficer sowiecki, od połowy lat trzydziestych pracujący w strukturach wymiaru sprawiedliwości ZSRS, a po wojnie – w prokuraturze wojskowej Wojska Polskiego. Adamecki, Jungrow, Menczak, Ścibior, Michowski, Minakowski, Ziach i Majewski mieli zarzuty przynależności do „dywersyjno-spiegowskiej organizacji działającej w Ludowym Wojsku Polskim”. W ramach rzekomej działalności konspiracyjnej każdy z nich „osobiście i za pośrednictwem podległej mu sieci dywersyjno-spiegowskiej zbierał, gromadził i przekazywał przedstawicielom wywiadów imperialistycznych wiadomości z zakresu obronności państwa a dotyczące lotnictwa wojskowego i cywilnego, stanowiące tajemnicę państwową i wojskową”.

Oskarżenia te były tożsame ze zdradą, dlatego Amons zażądał dla wszystkich kary śmierci. Z wyjątkiem Ziacha i Majewskiego, którzy otrzymali dożywocie. Skład sędziowski pod przewodnictwem płk. Piotra Parzenieckiego wymierzył pozostałym karę wnioskowaną przez prokuraturę. W protokole zapisano przy tym, że „skazani na ulaskawienie nie zasługują”. Wyrok wykonano 7 sierpnia 1952 roku. Ciała zamordowanych pochowano na tzw. Łączce. ■

Podczas pisania artykułu korzystałem z opracowań Jerzego Poksińskiego „TUN. Tatar-Utnik-Nowicki. Represje wobec oficerów Wojska Polskiego 1949–1956”, Warszawa 1992 (stąd cytaty zeznań Adameckiego) oraz „Victis honos. Spisek w wojsku”, Warszawa 1994.

Cytat z Bieruta w: Andrzej Garlicki, „Stalinizm”, Warszawa 1993.
Pozostałe cytaty: Piotr Woźniak, „Zapluty karzeł reakcji. Wspomnienia AK-owca z więzień w PRL”, Paryż 1982.




Fundacja
Fort III
Pomiechówek

Ministerstwo Obrony Narodowej
oraz Fundacja Fort III
Pomiechówek realizują projekt pod
nazwą: „Zachowajmy w pamięci
Fort III w Pomiechówku”. Fort
III w Pomiechówku był w czasie II
wojny światowej najstraszniejszą
niemiecką katownią gestapo na
Mazowszu.

Jeśli:

- posiadasz jakiegokolwiek informację lub pamiątki dotyczące Fortu,
- ktoś z Twojej rodziny był więźniem Fortu lub posiadasz informacje o innych więźniach,
- chciałbyś odwiedzić Fort III, poznać jego historię i architekturę,
- chcesz sprawdzić kto był więźniem Fortu,
- chciałbyś dowiedzieć się więcej o bieżących wydarzeniach związanych z Fortem.

Skontaktuj się z nami:

- strona internetowa www.forttrzecipomiechówek.org,
- profil Fundacji na FB: <https://www.facebook.com/fundacjaforttrzecipomiechówek>
- mail: fundacja@forttrzecipomiechówek.org
- telefon: +48 22 828 08 94

Razem nie dopuścimy aby po więźniach Fortu zostały tylko napisy wyrzeźbione przez nich na ścianach celi śmierci.

Pomóżcie nam ocalić o nich pamięć.

Projekt dofinansowany ze środków Ministerstwa Obrony Narodowej



NICZYM KOMANDOSI

**Pod koniec lat trzydziestych
ubiegłego stulecia w Wojsku Polskim
zorganizowano jedne z pierwszych na
świecie oddziały spadochronowe.**

MACIEJ NOWAK-KREYER

Zrzucani na spadochronach za liniami wroga wszechstronnie wyszkoleni dywersanci, wyposażeni w szybkostrzelną broń, specjalnie zaprojektowane dla nich środki łączności oraz materiały wybuchowe, mieli siał popłoch i zamęt, dezorganizując działania przeciwnika. Ci żołnierze, przypominający dzisiejszych komandosów, w sierpniu 1939 roku byli gotowi do działania.

PIERWSZE KROKI

Za symboliczny początek polskich wojsk spadochronowych można uznać artykuł mjr. Mariana Romeyki „Wyprawy specjalne”, opublikowany we wrześniu 1929 roku. Autor przedstawił w nim pomysł wykorzystania spadochronu nie tylko do ratowania pilotów, lecz także sprawnego i skrytego przetrzucania żołnierzy. W pierwszej połowie lat trzydziestych ukazała się cała seria prac dotyczących tego zagadnienia, napisanych m.in. przez ppłk. Sergiusza Abzółtowskiego, kmdr. ppor. Władysława Lorentza-Kosianowskiego, kpt. Mieczysława Lisiewicza. Uznali oni, że w związku z bardzo ograniczonymi możliwościami transportowymi polskiego lotnictwa wojskowego należy postawić nie na masowe desanty, lecz na zrzuty niewielkich oddziałów dywersyjnych. Wiele wniosków autorów tych publikacji to dzisiaj podstawowe założenia szkolenia komandosów. Stwierdzono wówczas chociażby, że działania spadochroniarzy mają mieć charakter partyzancki, należy więc ich wszechstronnie wyszkolić, w tym z taktyki piechoty, łączności oraz saperki, a także wyposażyć w lekką, szybkostrzelną broń małego kalibru.

Budowę wojsk spadochronowych zaczęto od pracy u podstaw, czyli organizacji cywilnego sportu spadochronowego, czym od 1935 roku zajęła się Liga Obrony Powietrznej Państwa (wtedy już jako Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej – LOPP). Tworzono ośrodki szkolenia (centralny w Legionowie) i stawiano wieże spadochronowe (pierwszą w War-



szawie na Polu Mokotowskim). W 1936 roku LOPP zaczęła prowadzić w ośrodku legionowskim kursy instruktorskie, a Sztab Główny Wojska Polskiego zdecydował o włączeniu do wyszkolenia wojskowego zajęć spadochronowych. Pierwszy taki kurs odbył się w Legionowie jesienią 1937 roku dla podchorążych wszystkich rodzajów broni. O jego randze może świadczyć huczne rozpoczęcie, które uświetnił pokazowy skok 58 spadochroniarzy oddany w Wieliszewie, obserwowany przez marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego. Skoczkowie, aby uzyskać większy efekt, otworzyli zarówno spadochrony główne, jak i zapasowe. Samo szkolenie skupiało się na nauce podstaw spadochroniarstwa. Kursanci oddali po 15 skoków z wieży spadochronowej i po jednym z balonu oraz samolotu. Efekty można było zobaczyć w sierpniu 1938 roku, gdy absolwenci tego kursu przeprowadzili pokazowy desant na lotnisku na Okęciu, z bronią i wyposażeniem osobistym. Już miesiąc później wzięli udział w kolejnym kursie, który miał podnieść ich kwalifikacje. Uczyli się wówczas również taktyki, topografii oraz układania ładunków wybuchowych. Okazało się, że przygotowywali się wówczas do ważnego egzaminu: udziału w wielkich manewrach międzydywizyjnych na Wołyniu.

WOŁYŃSKI EGZAMIN

15 września 1938 roku, bez wiedzy jednostek uczestniczących w manewrach, na Wołyniu wylądowała grupa 24 spadochroniarzy. Co ciekawe, w jej składzie znalazł się tajny obserwator z ramienia Wydziału II Sztabu Głównego WP. Do transportu skoczków przeznaczono dwa samoloty Fokker F.VII. W związku z tym, że kierownictwo manewrów знаło rejon lądowania żołnierzy, dowódca grupy, por. Antoni Mokrzecki, obawiając się niespodzianek, już w trakcie lotu zmienił miejsce zrzutu na lądowisko zapasowe, w lasach niedaleko miejscowości Puchany (10 km od Łucka). Zmniejszono także pułap skoku z 400 do 200 m.



Kpt. Bolesław Orliński skacze na spadochronie z powodu awarii samolotu, 1931 rok.



Mjr Władysław Tuchułka, komendant Wojskowego Ośrodka Spadochronowego w Bydgoszczy, 13 września 1939 roku podjął decyzję o ewakuacji lotniska, co zakończyło działalność WOS-u.

Oddział desantowy uzbrojony był w granaty, pistolety Vis, karabinki wz. 29, erkaem wz. 28 oraz petardy imitujące ładunki wybuchowe. Żołnierze mieli też do dyspozycji m.in. radiostację wraz z oprzyrządowaniem oraz zapasowy środek łączności – gołębie w skórzanych pojemnikach. Broń długą przypiętą pasami do nogi (erkaem otrzymał najwyższy skoczek), z założeniem, że zostanie odpięta po otwarciu spadochronu, tak aby lądujący żołnierz od razu mógł zająć pozycję leżącą. Sprzęt łączności rozdzielono na dwie osoby. Jedna skakała z radiostacją podpiętą pod spadochronem głównym oraz oprzyrządowaniem do niej pod zapasowym, a także z gołębiami, przyczepionymi do boków. Drugi spadochroniarz skakał z bateriami do radiostacji.

Po trzech minutach od lądowania żołnierze byli już gotowi do akcji. Niestety radiostacja została uszkodzona, a oszołomione gołębie nie chciały lecieć z meldunkiem. To jednak nie przeszkodziło spadochroniarzom wykonać nocnych zadań dywersyjnych. Zostali wykryci dopiero podczas ostatniego, gdy obrzucili petardami lotnisko w Łucku.

Desant został powtórzony 17 września w rejonie Klewania i znowu zakończył się sukcesem. Spadochroniarze nie dość, że wykonali wszystkie zadania, to jeszcze wrócili do Łucka dwiema zdobytymi ciężarówkami. Manewry wołyńskie dowiodły, że dywersanci na spadochronach to realna siła, której bardzo trudno przeciwdziałać. Uznano także, że żołnierzom są potrzebne spadochrony o większej nośności i szybszym tempie spadania oraz lżejszy i mniej zawodny sprzęt łączności, pistolety maszynowe, a także specjalne umundurowanie.

OŚRODEK DLA SPECJALISTÓW

Aby te wnioski wprowadzić w życie, w maju 1939 roku utworzono Wojskowy Ośrodek Spadochronowy w Byd-

goszczy (WOS) pod komendą mjr. Władysława Tuchułka. Jednym z instruktorów został por. Jerzy Górecki, późniejszy komendant słynnego ośrodka spadochronowego z czasów II wojny światowej – Central Landing School w Ringway koło Manchesteru.

WOS miał szkolić podoficerów i oficerów do działań dywersyjnych z wykorzystaniem spadochronu oraz przygotować kadrę pierwszego batalionu spadochronowego, którego utworzenie planowano na luty 1940 roku. Jedynym z warunków przyjęcia na kurs była znajomość języka niemieckiego lub rosyjskiego. Ośrodek dysponował samolotami Fokker F.VII oraz przekazanym do testowania sprzętem opracowanym specjalnie na potrzeby jednostek spadochronowych. Były to samoczynnie otwierane spadochrony o większym udźwigu (120 kg), wytrzymała i zminiaturyzowana radiostacja, specjalne miny naciskowe z silniejszym ładunkiem wybuchowym, amortyzowane zasobniki na broń zespołową i cięższy sprzęt, a także pokrowce na broń osobistą oraz lżejsze wyposażenie. Żołnierze dostali też do wypróbowania dwa pistolety maszynowe wz. 39 Mors.

W inauguracyjnym kursie wzięło udział 40 oficerów i 40 podoficerów. Wszyscy już potrafili skakać ze spadochronem. Podzieleni na grupy od ośmiu do dziesięciu osób, w skład których weszli żołnierze piechoty, łączności i saperzy, odbyli szkolenie spadochronowo-dywersyjne, przy czym uczono ich także tworzenia zbrojnego podziemia i pracy w konspiracji. Skoki wykonywali w polskich brezentowych kombinezonach lotniczych, z ciasno obandażowanymi stawami skokowymi oraz z nożami służącymi do szybkiego przecięcia linek spadochronu w sytuacji awaryjnej.

Ukoronowaniem szkolenia był desant 2 sierpnia 1939 roku w rejonie Zielonki, wykonany dwiema grupami po dziesięć





CZAS NA CZASZE

W 1925 roku polski Instytut Badań Technicznych Lotnictwa przystąpił do prac nad wyposażeniem lotników w spadochrony ratunkowe. Po zbadaniu wielu ich typów za najlepszy uznano amerykański Irvin. W 1927 roku Instytut zorganizował kurs instruktorski, na którym skoczków szkolił Lyman Ford. Szkolenie zwieńczyły skoki oddane ze skrzydła bombowca metodą zryw. W 1929 roku w Legionowie powstały Wojskowe Warsztaty Balonowe, w których na licencji rozpoczęto produkcję spadochronów nazywanych polskimi irvinami. Wytwarzano je w kilku odmianach, miały koliste czasze szyte z pasów jedwabiu i z wszytymi linkami, spotykającymi się w kominku spadochronu, oraz udźwig 80 kg.

WOS MIAŁ SZKOLIĆ PODOFICERÓW I OFICERÓW DO DZIAŁAŃ
DYWERSYJNYCH Z WYKORZYSTANIEM SPADOCHRONU ORAZ PRZY-
GOTOWAĆ KADRĘ PIERWSZEGO BATALIONU SPADOCHRONOWEGO,
KTÓREGO UTWORZENIE PLANOWANO NA LUTY 1940 ROKU

osób. Spadochroniarze mieli dokonać rzeczywistego zniszczenia, z użyciem prawdziwych ładunków wybuchowych, obiektów na trasie kolejowej Mińsk Mazowiecki – Tłuszcz. Po skoku z 400 m wszystkie zadania, na które przewidziano godzinę, wykonano w ciągu 20 minut. Podczas wysyłania meldunku spadochroniarze zostali zaatakowani przez patrol przeciwnika, odparli atak i... ćwiczenia zostały zakończone.

WOJENNY EPILOG

Następny kurs zaczął się 7 sierpnia. Tym razem większy nacisk położono na doskonalenie techniki – skoki w trudnych warunkach (w nocy i na wodę), z bardzo opóźnionym otwarciem oraz ślizg na spadochronie. Szkolenie przerwała mobilizacja alarmowa 28 sierpnia. Wtedy WOS zaczął się przenosić do swojej siedziby wojennej w Małaszewiczach koło Brześcia nad Bugiem, skąd spadochroniarze mieli prowadzić działania dywersyjne na terenie Prus Wschodnich.

Z kolei 30 sierpnia kadrę oraz dwie drużyny w pełni uzbrojonych skoczków przetransportowano tam samolotami Fokker, pozostałych zaś spadochroniarzy wraz ze sprzętem ciężkim planowano dostarczyć koleją.

Żołnierzom jednak los nie sprzyjał – wczesnym rankiem 1 września lotnisko w Małaszewiczach zostało zbombardowane i Ośrodek stracił wszystkie samoloty. Mjr Tuchułka 13 września 1939 roku podjął decyzję o ewakuacji lotniska, co zakończyło działalność WOS-u. W 1939 roku polscy spadochroniarze ostatecznie walczyli w regularnych oddziałach wojska, a część z nich zdołała przedostać się na Zachód.

Pierwszym komandosom-spadochroniarzom nie było zatem dane prowadzenie we wrześniu 1939 roku takich działań, do których ich przygotowano. Wysiłek włożony w szkolenie nie poszedł jednak na marne. Zdobyte doświadczenie wykorzystano do przygotowywania cichociemnych czy żołnierzy 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

Historyczna chwyla



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Zostało ono zrobione w sierpniu 1944 roku już po bitwie pod Falaise, która rozstrzygnęła losy polskiej dywizji.

„Polski pancerniak przed kanadyjczykiem”, zapisano na odwrocie tej fotografii.

Tym pancernikiem jest oczywiście żołnierz 1 Dywizji Pancernej gen. dyw. Stanisława Maczka, a kanadyjczyk napisany został małą literą, gdyż chodzi o wrak shermana, który należał do kanadyjskiej jednostki. Fotografii zrobiono w sierpniu 1944 roku, już po bitwie pod Falaise, która rozstrzygnęła losy polskiej dywizji.

Polscy pancerniacy wraz ze swymi kanadyjskimi towarzyszami broni zdziśiatkowali uciekające z okrażeńa pancerne dywizje SS, ale w zażartych bo-

jach sami także ponieśli dotkliwe straty. Do tego cierpieli zamknięci pod rozgrzanymi do czerwoności od słońca pancernymi czołgami. Największe katusze przeżywali jednak strzelcy wieżowi. Skuleni w głębi wieży, zrani potem i odurzeni spalinami silnika oraz gazami strzelających prawie bez przerwy dział i cekaemów mdleli, a gdy się ocknęli – dostawali torsji. W dywizji zwykło się wówczas mówić: „Oho! Ten już rzuca wiktem!”. Najczęściej tę kąśliwą uwagę wypowiadali radiooperatorzy lub dowódcy, którzy mieli możliwość wy-

chylić głowę z wjazdu i zaczerpnąć świeżego powietrza.

W dywizyjnej kronice zapisano jeden z takich wypadków, który przydarzył się w walce pod Chambois. Kiedy strzelec wieżowy nie wytrzymał i „rzucił wiktem”, radiooperator Wilhelm G., który odznaczał się tym, że spośród wszystkich pięciu języków, jakimi się posługiwał, najgorzej wysławiał się w polskim, popatrzył z wyrzutem na błędnego kolegę i, trącając łokciem dowódcę czołgu, wycedził: „Uś – śwynia! Taka historyczna chwyla, to on idzie rzygać do czołga!”. PK ■

Czekolada” – skąd się wziął ten oryginalny pseudonim?

Wbrew pozorom, od mojego nazwiska. Przed wojną w Krakowie była znana fabryka czekolady Adama Piaseckiego. Ja nie byłem spokrewniony z tym potentatem cukierniczym, ale, jak widać, wystarczyła zbieżność nazwisk. Ten pseudonim nadali mi koledzy, dla kawału. Wołali: „O Piasecki! »Czekolada! Czekolada!«, i tak się przyjęło.

Walczył pan w powstaniu warszawskim. Jest pan warszawiakiem?

Urodziłem się w Warszawie, ale w dzieciństwie mieszkałem na Wołyniu.

Mój ojciec był zawodowym

Tamta kula była dla mnie

*Ze Zbigniewem Piaseckim
„Czekoladą” o chwilach
zwątpienia i powstańczym szczęściu
rozmawia Piotr Korczyński.*

NAGLE GRUCHNĘŁA SALWA Z NASZYCH POZYCJI I NIEMCY SIĘ WYCOFALI. PIERWSZY STRACH MINĄŁ. ZORIENTOWAŁEM SIĘ, ŻE JEDNAK NIE JE- STEM SAM. DUCH BOJOWY WRÓCIŁ

wojskowym i służył pod samą granicą polsko-sowiecką w 19 Pułku Ułanów Wołyńskich im. gen. Edmunda Różyckiego. Dlatego mieszkalem i chodziłem do szkoły w Ostrogu nad Horyniem. Mieszkańcy tego miasteczka to była prawdziwa mozaika narodowa. Oprócz Polaków żyli tam Ukraińcy, Rosjanie, Żydzi, a nawet Czesi. W mieście stacjonował również 11 Batalion Graniczny Korpusu Obrony Pogranicza. Kiedy w 1939 roku wybuchła wojna, ojciec był już na zachodniej granicy i tam walczył m.in. w słynnym boju Wołyńskiej Brygady Kawalerii pod Mokraj. W czasie odwrotu 19 Pułk Ułanów znalazł się pod Lwowem i tam ojciec dostał się do sowieckiej niewoli. Później został zamordowany w Katyniu.

Kiedy się pan o tym dowiedział?

Dopiero w 1943 roku. Gdy z matką i siostrą wróciliśmy do Warszawy, znaleźliśmy nazwisko ojca na liście katyńskiej ogłoszonej przez Niemców.

Jak udało się wam przedrzeć do stolicy?

Kiedy Sowieci zajęli nasze miasteczko, dowiedzieliśmy się, że w pierwszej kolejności będą wywozić rodziny wojskowych. Ostrzegli nas znajomi. To byli tzw. biali Rosjanie, którzy o planowanych deportacjach dowiedzieli się od sowieckich oficerów. Udało się wyjechać dzięki kilku polskim podoficerom, którzy uciekli z niewoli i zorganizowali przerzut polskich rodzin z sowieckiej okupacji do Generalnego Gubernatorstwa.

Jak wyglądała ta „ewakuacja”?

Mieliśmy do dyspozycji kilka sań, które wyjeżdżały z kolejnymi rodzinami co 40 minut, żeby nie stworzyć kawalkady, co od razu sprowadziłoby na nas NKWD [Ludowy Komisarjat Spraw Wewnętrznych ZSRR]. I tak jechaliśmy od wioski do wioski przez pięć dni, aż do Małkini. Tam wsiedliśmy do pociągu, żeby dojechać do rodziny pod Warszawą. Najpierw mieszkaliśmy w Tomaszowie Lubelskim, a jesienią 1941 roku znaleźliśmy się w Mińsku Mazowieckim u wujka, który przyjął nas na czas wojny. Wkrótce wujek poinformował mamę, że jest taka organizacja, która za zgodą Niemców prowadzi internaty dla dzieci rodzin wojskowych – Rada Główna Opiekuńcza. W Warszawie były dwie takie placówki. Mama oddała mnie do jednej z nich, bo tam oprócz internatu była szkoła. Chciała, żebym kontynuował naukę.

Tam zapewne rozpoczęła się pana przygoda z konspiracją...

W szkole odbywały się tajne komplety. To był pierwszy stopień wtajemniczenia konspiracyjnego. W 1942 roku by-

łem już w Szarych Szeregach jako zastępowy. Gdy skończyłem 16 lat, z zawiszków przeszedłem do starszej grupy – Bojowych Szkół. Wtedy już brałem udział w akcjach małego sabotażu. I tak dotrwałem do powstania, po którego wybuchu automatycznie stałem się żołnierzem.

Czy rozpoczęcie walk 1 sierpnia 1944 roku było dla pana zaskoczeniem?

Do akcji zbrojnej w Warszawie szykowaliśmy się długo przed powstaniem. Dlatego wcześniej pojechałem kolejką do Mińska Mazowieckiego pożegnać się z rodziną. Okazało się, że w tym samym czasie mama przyjechała do Warszawy, żeby mnie zabrać z internatu. Minęliśmy się, więc ruszyłem z powrotem na stację kolejową. Pamiętam, jak szedłem aleją między wielkimi dębami i nagle z drugiej strony wyłoniła się mama! Zapytała mnie: „Gdzie ty synu idziesz?”. Zaczęła prosić ze łzami w oczach: „Nie idź, nie idź. Ojciec już nie żyje i ty chcesz tak jak on...”. Tłumaczyłem jej, że jestem żołnierzem, że dostałem rozkaz. To musiało ją przekonać, bo pozwoliła mi odejść. Przyznam się, że wtedy byłem nawet zły, że starała się mnie zatrzymać. Kiedy odszedłem jakieś 200–300 m odwróciłem się, a ona ciągle stała w tym miejscu i patrzyła, jak się oddalam.

Do jakiego oddziału miał pan przydział?

Do artylerii – i w tym kierunku byłem szkolony, choć oczywiście w warunkach konspiracyjnych to była sama teoria. Wybuch powstania zastał mnie w drodze na Mokotów, gdzie była nasza harcerska baza. Szedłem tam razem z kolegą ulicą Marszałkowską. Pamiętam ludzi stojących w bramach i niemieckie patrole – motocyklistów jeżdżących tam i z powrotem. Warszawiacy zaczęli nas ostrzegać: „Chłopcy, nie idźcie dalej, bo na placu Zbawiciela Niemcy łapią takich jak wy, młodych, i zamykają w kościele”. Nie zatrzymaliśmy się, ale zaczęliśmy kluczyć bocznymi ulicami. Kiedy przechodziliśmy przez róg Koszykowej i Mokotowskiej, zauważyliśmy, że w bramie stoi oddział powstańców. Powiedziałem wtedy do kolegi: „Słuchaj, Rysiek, nie idźmy dalej, bo wpadniemy w łapy Niemców. Przyłączmy się do tego oddziału”. I tak zrobiliśmy. Oni chętnie się zgodzili. Czekali na swojego dowódcę, którym był zawodowy oficer „Long” [Karol Gomułka]. I rzeczywiście, po chwili przyjechał i przywiózł dla swoich ludzi broń. Dostałem wtedy stary rewolwer z pięcioma kulami w bębenku, a kolega – granat. I tak uzbrojeni ruszyliśmy do walki w batalionie „Ruczaj”.

Gdzie wtedy uderzyliście?

Na koszary SA [Sturmabteilung, oddziały szturmowe NSDAP] znajdujące się w dawnym budynku Poselstwa



Czechosłowackiego na Koszykowej. Nasz atak zaskoczył nieprzyjaciela. Szybko zdobyliśmy budynek i wzięliśmy do niewoli całą kompanię. Jak się okazało, to byli włosowcy [rosyjscy żołnierze walczący po stronie Niemców, którymi dowodził gen. Andriej Własow]. Wtedy mocno się dozbroiliśmy, mnie trafił się karabin. Następnie szybko pozajmowaliśmy pozycje w oknach. Ja stanąłem w tym z widokiem na aleję Róż, gdzie zastała mnie noc. Nagle usłyszałem niemieckie komendy, zobaczyłem coraz więcej pożarów w różnych punktach miasta... Zrobiło mi się nieswojo. Zacząłem się bać. Myślałem o tym, co będzie, jak Niemcy zaatakują. Nie znałem tej części miasta, nie wiedziałem, gdzie uciekać. Wydawało mi się, że zostałem sam w tym oknie. Nagle gruchnęła salwa z naszych pozycji i Niemcy szybko się wycofali. Pierwszy strach minął. Zorientowałem się, że jednak nie jestem sam. Duch bojowy wrócił.

Co przyniósł świt?

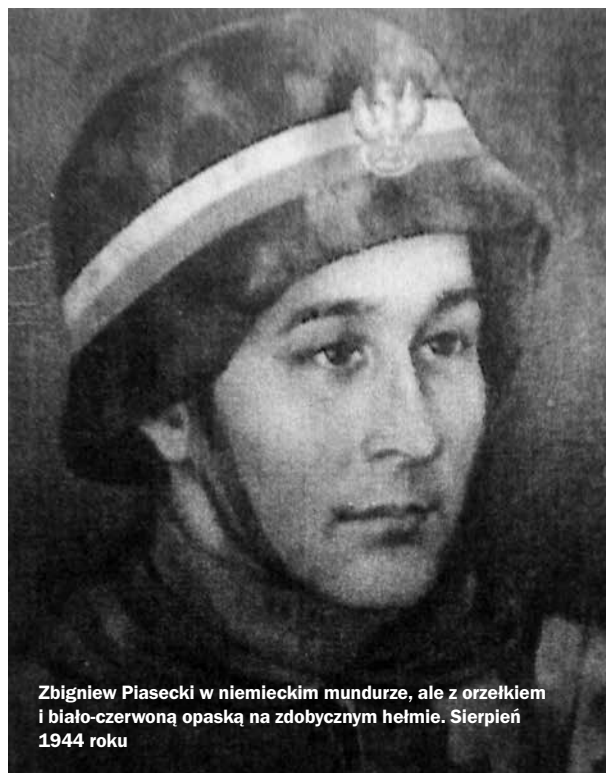
Rankiem 2 sierpnia nadjechały czołgi, a za nimi szła niemiecka piechota. Nie mieliśmy z nimi żadnych szans. Wycofaliśmy się z koszar przez ulicę Mokotowską na Kruczą. Tam oddaliśmy żandarmerii około 80 jeńców i mogliśmy kilka godzin odpocząć. Potem nastąpiła reorganizacja. Dowództwo zaczęło wysyłać uzbrojonych chłopaków w różne części miasta, żeby wzmocnić inne oddziały. Ja znalazłem się w grupie pięciu chłopaków, która dotarła do Alei Ujazdowskich i dołączyła do dwunastoosobowego oddziału dowodzonego przez Kazimierza Leskiego „Bradla”. On już wtedy był legendą.

As akowskiego kontrwywiadu, który m.in. podszywał się pod niemieckiego generała...

Tak. Minęło jeszcze kilka dni i „Bradl” dowodził już całą kompanią, ponad setką ludzi. Jako oficer kontrwywiadu nie miał bojowego przydziału, wręcz zakazano mu walczyć. To jednak nie był typ człowieka, który mógłby stać z boku. Kompania „Bradla” weszła w skład batalionu „Miłosz”, którego dowódca, płk „Sławbor” [Jan Szczurek-Cergowski] dowodził obroną Śródmieścia Południowego.

Która z akcji kompanii „Bradla” najmocniej zapadła panu w pamięć?

Atak na Imkę [budynek YMCA, czyli Young Men's Christian Association przy ulicy Konopnickiej 6]. Tam była mocna niemiecka załoga, która blokowała nam kontakt z Czerniakowem. Właściwie Imkę zdobyliśmy dzięki jednemu koleźce, który złamał rozkaz. Mianowicie przed głównym wejściem do budynku spadła bomba. Ten chłopak wracał od siostry, która mieszkała niedaleko. Nagle wskoczył do tego leja i zaczął wołać do żołnierzy w Imce: „Poddajcie się, bo jak nie, to was wysadzę w powietrze!”. Tamci się wystraszyli i rzucili do swych plecaków. Na co on wtedy zaczął ma-



Zbigniew Piasecki w niemieckim mundurze, ale z orzełkiem i biało-czerwoną opaską na zdobycznym hełmie. Sierpień 1944 roku

DO AKCJI ZBROJNEJ W WARSZAWIE SZYKOWALIŚMY SIĘ DŁUGO PRZED POWSTANIEM

chać rękami i wołać do nas: „Granaty, granaty!”. Szybko biegałem, więc ruszyłem do niego jako pierwszy, a za mną paru kolegów. W stronę Niemców poleciało kilka tych granatów, więc się wycofali.

Na czym polegała niesubordynacja kolegi?

Kiedy wezwano go do dowództwa, usłyszał: „Słuchaj Władek [kpr. Władysław Sieczyński „Władek Biały”], powinieneś siedzieć teraz w areszcie. Musimy cię zamknąć. Wiesz dlaczego? Bo żołnierz musi być posłuszny rozkazom. Tyś na własną rękę zorganizował akcję. Czy zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi naraziłbyś na śmierć w razie jej fiaszki?”. On z pokorą tego wszystkiego słuchał, ale oficerowie nie mogli zaprzeczyć, że dzięki jego inicjatywie udało się wreszcie tę Imkę zdobyć. Ostatecznie Władek dostał za to Virtuti Militari.

Gdzie ruszyliście po zdobyciu Imki?

To jeszcze nie wszystko, co wiąże się z tym miejscem. W nocy zebrał nas dowódca i kazał wrócić do Imki po broń Niemców, którzy tam zginęli. Ruszyliśmy tam w kilku. Biegłem za jednym kolegą. W pewnym momencie, na skwerku u zbiegu ulic Prusa i Konopnickiej, wypatrzył on Niemca, który leżał na plecach, ale w rękach trzymał gotowy do strzału karabin. To był ranny w nogę esesman. Gdy zobaczył ubranych w niemieckie hełmy i panterki ludzi, zaczął wołać: „Kameraden! Kameraden!” [koledzy]. Dobiegliśmy do niego. Kolega chwycił karabin Niemca za lufę w taki sposób, że została ona skierowana prosto w jego brzuch, a esesman cały czas miał palce na cynglu. Kiedy to zobaczyłem, bez zastanowienia strzeliłem mu dwa pociski w kolano, w to samo miejsce, gdzie był ranny. Zwinął się z bólu i wypuścił broń z ręki. Tym samym złamałem rozkaz, by pod żadnym pozorem nie strzelać. Przywlekliśmy tego Niemca na swoje pozycje. Dowódca od razu zapytał, kto strzelał. Przyznałem się. Kiedy kazał zabrać mi automat, pomyślałem, że to jest plama na moim honorze i że muszę uciec do innego plutonu. Ostatecznie jednak pocieszył mnie kolega, który wręczył mi karabin znaleziony podczas tej akcji. Zresztą mój automat, świetny MP 41 z dwoma magazynkami, wrócił do mnie. Oddał mi go dowódca naszej drużyny.

Kiedy pan zauważył, że powstanie zaczyna chylić się ku upadkowi?

Jak zaczęli z różnych części miasta przebiegać się do nas powstańcy. Przeważnie przechodzili kanałami. Widać było, że nie mamy już żadnych szans. Niemcy panują nad sytuacją, a Sowieci ani myślą przyść nam z pomocą.

To był najtrudniejszy moment powstania?

W powstaniu dwa razy uciekłem śmierci spod kosa. Pierwszy raz – przed zdobyciem Imki, kiedy zajmowaliśmy pozycję na ulicy Prusa. Przez dwa dni siedzieliśmy tam w drewnianej szopie przylegającej do kilkupiętrowego budynku. Mieliśmy urządzone stanowiska w oknach obłożonych workami z piaskiem i od czasu do czasu ostrzeliwaliśmy się z Niemcami. Nie miałem wtedy jeszcze automatu, tylko stary karabin z I wojny światowej, który ciągle mi się zacinał. W czasie kolejnej strzelaniny na Prusa znowu się zaciął. Zauważył to mój kolega i zaproponował, że mnie zastąpi. Kiedy tylko zmieniliśmy się miejscami, on dostał

kulę prosto w czoło. Jakiś snajper z Imki miał moją pozycję na muszce. To była kula przeznaczona dla mnie... Do dziś mam wyrzuty, że kolega zginął za mnie.

A drugi raz?

Dostałem odłamkiem pocisku móżdżerzowego, kiedy z budynku sejmowego Niemcy ostrzeliwali nasze pozycje na skarpie. Moja rana wyglądała bardzo groźnie, całą pierś miałem zalaną krwią. Na szczęście w momencie wybuchu pocisku instynktownie obróciłem się o 90 stopni i odłamek tylko porysował moją pierś, odrywając do połowy brodawkę – dlatego było tyle krwi. Podbiegł do mnie dowódca plutonu, wziął na plecy, żeby zanieść do sanitariuszki. Musiał przedostać się pod ulicą specjalnie wykopanym tunelem, który miał zaledwie 120, 150 cm wysokości. Dźwigał mnie, idąc na kolanach. Wtedy mu powiedziałem: „Panie poruczniku, ja mogę iść o własnych siłach”. A on, zdumiony, z radością zawołał: „To ty żyjesz!”.

To frontowe szczęście towarzyszyło panu do końca powstania?

Nawet do końca wojny, bo uniknąłem niewoli.

Jak to się panu udało?

Tutaj muszę wymienić kolejną po „Bradlu” postać wielkiego formatu, czyli por. Henryka Ossowskiego „Dołęgę”, adiutanta „Hubala”, który był w tym samym plutonie co ja. On najpierw był dowódcą drużyny, a potem zastępcą dowódcy plutonu. „Dołęga” przedstawił nam przed kapitulacją propozycję nie do odrzucenia: kto chce, może przebić się przez pierścień warszawski w rejony leśne, by tam dalej walczyć w partyzantce. Oczywiście zgodziłem się bez wahania. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, bo kordon niemiecki był zbyt szczelny, by większej liczbie ludzi z bronią udało się przedrzeć. W końcu jednak wydostaliśmy się z miasta grupkami, bez broni, wraz z ludnością cywilną. Tak dla mnie skończyło się powstanie. ■

Mjr ZBIGNIEW PIASECKI był harcerzem Szarych Szeregów, a następnie żołnierzem batalionów „Ruczaj” i „Miłosz” oraz 28 Dywizji Piechoty Armii Krajowej im. Stefana Okrzei.

Za możliwość przeprowadzenia wywiadu z mjr. Zbigniewem Piaseckim dziękuję pani Jolancie Szyłkowskiej, prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Szczecin, oraz Panu Tomaszowi Sawickiemu, prezesowi Stowarzyszenia „Paczka dla Bohatera”.



W 1985 roku van der Krap został odznaczony Krzyżem Armii Krajowej.



Obóz w Colditz był ulokowany w zamku na skalistym wzgórzu i – jak twierdzili Niemcy – nie można było stamtąd uciec.

Charles w Warszawie

Tak długo próbował uciec z niewoli jenieckiej, aż w końcu mu się udało. W ten sposób Charles Douw van der Krap trafił do polskiego podziemia.

ROBERT SENDEK

Wśród wielu niezwykłych historii żołnierskich z czasów II wojny światowej do najbardziej egzotycznych należy opowieść o Malaju, który latem 1944 roku wyspiewywał w podwarszawskich lasach jawajskie i holenderskie piosenki. Taką właśnie historię przedstawił w spisanych po latach wspomnieniach Charles Douw van der Krap, Malaj z Jawy, żołnierz armii holenderskiej, członek polskiego podziemia.

Powód do radości miał wówczas niebyle jaki: na Zachodzie właśnie utworzono drugi front. Polacy, jak wspominał van der Krap, byli przekonani, że teraz „nic nie powstrzyma aliantów i dzielnych polskich oddziałów stacjonujących w Anglii. Już niedługo tysiącami zaczną przybywać do kraju polscy spadochro-

niarze i bohaterowie spod Monte Cassino. Gnębiony naród uwolni się od niemieckiego i radzieckiego jarzma. Nareszcie przyjdzie czas, gdy mostem powietrznym dotrą do Polski całe wagony niezbędnego uzbrojenia” (cytaty pochodzą ze wspomnień, które ukazały się w przekładzie Ryszarda Turczyna pod tytułem „Przeciw swastyce”, Wrocław 2011). Z tego właśnie powodu van der Krap uczył „nieprzytomnych ze szczęścia” Polaków śpiewać po niderlandzku.

OBOZOWE BIURO TURYSTYCZNE

Charles Douw van der Krap był jednym z wcale niemałej grupy żołnierzy armii zachodnich, których wojenne losy rzuciły nad Wisłę. Jego droga do AK okazała się jednak wyjątkowo kręta.

Urodził się w 1908 roku w Surabai, jednym z miast ówczesnych Holenderskich Indii Wschodnich (dziś Indonezja). Wstąpił do holenderskiej marynarki wojennej i do europejskiej metropolii przybył na studia wojskowe. W maju 1940 roku wziął udział w kilkudniowej wojnie obronnej zakończonej kapitulacją Holandii. Po ustaniu walk wielu oficerów, na polecenie dowództwa, złożyło deklarację lojalności, ale van der Krap odmówił. Dlatego spędził kilka lat w obozach jenieckich: najpierw w zachodniemieckim Soest, potem w Juliusburgu (dziś Dobroszyce), wreszcie w słynnym więzieniu w Colditz. Przetrzymywano tam oficerów armii polskiej (m.in. adm. Józefa Unruga oraz gen. dyw. Tadeusza Piskora), brytyjskiej i francuskiej oraz holenderskiej.

VAN DER KRAP PO LATACH PISAŁ WE WSPOMNIENIACH M.IN. O KATYNIU, WALKACH NA ULICACH OKUPOWANEJ WARSZAWY PODCZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ORAZ POLSKICH OBAWACH PRZED WŁADZĄ KOMUNISTÓW

W stalagu Malaj pierwszy raz zetknął się z Polakami. W swych wspomnieniach miał dla nich wiele ciepłych słów, doceniając polską fantazję, doświadczenie oraz zmysł organizacyjny, przydatne podczas przygotowywania ucieczek. Pisał też, że w obozie to Polacy nauczyli oficerów holenderskich gry w siatkówkę.

Obóz w Colditz ulokowany był w zamku na skalistym wzgórzu i – jak twierdzili Niemcy – nie dało się stamtąd uciec. Mimo wszystko więźniowie wiele wysiłku wkładali w obmyślanie sposobów wydostania się na wolność. Istniały nawet tzw. biura turystyczne, czyli zakonspirowane drużyny, które opracowywały koncepcje ucieczki. Van der Krap przystępował do każdej grupy, która przygotowywała wyprawę za mury. Wspominał: „w sumie miałem za sobą trzynaście mniejszych bądź większych prób ucieczki, które nieodmiennie kończyły się niepowodzeniem, a w kilku przypadkach opłacone zostały długotrwałym pobytem w odosobnieniu”. Był jednak przekonany, że w końcu się uda.

BAJECZKA O JAPOŃCZYKU

W czerwcu 1943 roku został z dużą grupą oficerów holenderskich przeniesiony do obozu jenieckiego w Stanisławowie. I dopiero stamtąd udało mu się uciec. W listopadzie tegoż roku wraz z dwójką innych Holendrów wydostał się na wolność przez podkop pod murem obozu. Jeden z uciekinierów, Wil A. Pückel wybrał drogę przez Węgry, a dwaj pozostali, van der Krap i Frederik Kruijnk (nawiasem mówiąc, późniejszy wiceadmiral holenderskiej marynarki wojennej), wybrali ucieczkę przez Polskę. Zamierzali przedrzeć się na Zachód i podjąć walkę na nowo, w ruchu oporu lub w szeregach alianckich armii.

Holender o wyraźnie orientalnych rysach twarzy musiał wykazać się pomysłowością, by uwiarygodnić swój pobyt na wolności. W końcu „biuro turystyczne” wpadło na pomysł, że będzie udawał Japończyka podróżującego w towarzystwie holenderskiego mechanika. Było

to mocno naciągane, ale ta bajeczka przydała się w drodze. Obydwaj dostali kontakt w Jasle i musieli z Galicji dotrzeć do Generalnego Gubernatorstwa. Kupujący bilet na pociąg Malaj wzbudził podejrzenia kasjera, który jednak uwierzył w opowieść o Japończyku.

Od polskich oficerów osadzonych w Stanisławowie van der Krap otrzymał bibułę z rekomendacjami do polskiego podziemia. W Jasle Holendrzy dotarli do żony jednego z oficerów uwięzionych w Stanisławowie i przez nią skontaktowali się z AK. Konspiratorzy uznali, że w tak małym mieście dwaj uciekinierzy nie będą mogli pozostać niezauważeni, wysłano ich zatem do Warszawy. Przerzutem zajęli się doświadczeni ludzie, którzy skierowali ich do poczekalni i wagonu „nur für Deutsche”. Obaj Holendrzy mówili po niemiecku, więc ucieli sobie nawet pogawędkę z podróżującym z nimi podoficerem, który – jak wspominał van der Krap – „nie podejrzewając niczego, uważał, że ma za współpasażerów dwóch towarzyskich zagranicznych monterów, którzy w ramach Kriegseinsatz [operacji wojskowej] udają się do wielkiego przedsiębiorstwa transportowego do Warszawy, gdzie będą naprawiać ciężarówki”. W stolicy uciekinierzy zostali przyjęci z rezerwą. Szczegółowo ich sprawdzono, ale w końcu zaopatrzone w nowe dokumenty, przyjęto do AK i wcielono do jednego z oddziałów.

Choć ostatecznie Holendrzy nie wzięli udziału w walkach, byli świadkami wszystkich zbrodni, jakich dopuszczali się okupacyjne wojska niemieckie w stolicy. Dużo dowiedzieli się o historii Polski, poznali także niezwykle trudną sytuację polityczną kraju znajdującego się między dwoma wielkimi wrogimi mocarstwami. Dzięki tej wiedzy van der Krap mógł po latach napisać w wydanych w 1981 roku wspomnieniach m.in. o Katyniu, walkach na ulicach okupowanej Warszawy podczas powstania warszawskiego oraz polskich obawach przed władzą komunistów.

PRAWDZIWA WTOPA

W szeregach AK van der Krap poznał ukrywającego się w Warszawie innego uciekiniera z obozu, australijskiego pilota Keitha Chisholma. Pewnego dnia, gdy przechadzali się obaj nad Wisłą, zatrzymał ich niemiecki policjant, który zażądał dokumentów. Chisholm nie wytrzymał napięcia i zepchnął policjanta do wody. Konspiratorzy uciekli, ale okazało się, że policjant utonął, a gestapo znalazło przy nim dokumenty van der Krapa.

Jako osoba poszukiwana przez Niemców, był spalony w konspiracji, ale polskie podziemie go nie zostawiło. W okupowanej Warszawie istniała niewielka holenderska kolonia, do której należeli przedwojenni pracownicy warszawskich zakładów Philipsa. Wszyscy, jako oficjalni przedstawiciele zakładów, musieli współpracować z władzami niemieckimi, ale równocześnie utrzymywali kontakty z polskim podziemiem. Dzięki temu umieszczono van der Krapa w mieszkaniu na terenie zakładów. Stamtąd po wybuchu powstania warszawskiego miał możliwość oglądania pierwszych akordów tragedii miasta. Wraz z innymi Holendrami pracującymi w zakładach Philipsa został jednak w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku ewakuowany do ojczystego kraju. Wziął wówczas udział w holenderskim ruchu oporu, o Polsce nigdy jednak nie zapomniał. ■

PRZED STU
LATY ODRODZONE
POLSKIE WOJSKO ODPAR-
ŁO BOLSZEWICKĄ NAWALĘ.
W CYKLU **BOLSZEWIKA GOŃ**
POKAZUJEMY MAŁO ZNA-
NYCH, ZAPOMNIANYCH BO-
HATERÓW TAMTYCH
WYDARZEŃ.

Galicjoki na polskiej wojnie

Kiedy mówimy o wielkich triumfach, przywołujemy najczęściej generałów i pułkowników. Są jednak wojny, takie jak ta z 1920 roku, w których to bezimienni żołnierze trwale zapisali się na kartach historii.

PIOTR KORCZYŃSKI

C hyba każdy zna tę zagadkę: „Nie je, nie pije, a chodzi i bije?”. Wydawać by się mogło, że poprawna odpowiedź jest oczywista i wszyscy ją znają: zegar. Jednak wiosną 1920 roku, w wojsku, które cofało się pod naporem bolszewickiej nawały, mówiono tak o polskim żołnierzu. O głodzie i chłódzie, w coraz

bardziej beznadziejnej sytuacji, armia stworzona w większości z chłopów, robotników i tzw. inteligencji pracującej, jednak nie poddawała się bolszewickiej propagandzie. Spędzało to sen z powiek politruków, coraz mniej pewnym swych internacjonalistycznych haseł. Oddziały nie rozsypały się też pod ciosami konnych armii i korpusów, które

Na zdjęciu: szer. Józef Kaliciński – jeden z tysięcy walecznych, których Stanisław Rembek uczynił nieśmiertelnymi dzięki swej powieści „W polu”. Kaliciński w Bitwie Warszawskiej był ciężko ranny.

wcześniej rozbiły niejedną formację narodową, a kiedy szala zwycięstwa wydawała się wyraźnie przechylać na stronę Armii Czerwonej – nastąpił cud. Klęskę ponieśli ci, którzy obwieszczali już światu swój triumf.

CHŁOP POTEĞĄ JEST I BASTA!

Alfons Fugiel był typowym przedstawicielem galicyjskiej wsi. To, co odziedziczył po podziale ojcowizny z kilkoma braćmi, nie dawało mu żadnych perspektyw na życie. Wystarczył rok niekorzystnej aury, by zmienił się w nędzarza – komornika. Do tej zgryzoty dołączyła jeszcze kolejna – wojna! Wiedział, że toczą się walki z Moskalami, którzy jego wsi dali się mocno we znaki, kiedy szli na Gorlice w 1915 roku. Wtedy był za młody, by dostać powołanie do c.k. armii i pomścić na Kozakach spalone chaty w rodzinnym Rosenbergu (dzisiejsze Rożnowice).

Niemiecka nazwa wsi pochodziła jeszcze ze średniowiecza, kiedy lokowano ją według prawa magdeburskiego, ale też podkreślała tożsamość jej mieszkańców. Trudno bowiem w odniesieniu do nich mówić o polskiej świadomości narodowej. Upadek c.k. monarchii w 1918 roku był dla miejscowej ludności prawdziwą katastrofą. Końcem świata, z którego wyłoniło się nowe państwo – Polska. Ta nazwa budziła obawy, kojarzyła im się z pańszczyzną. W tej okolicy przypominała jeszcze jedno dramatyczne wydarzenie – rabację. To tutaj chłopci zgotowali szlachcie szykującej się do powstania krwawe zapusty. Wspomnienie palonych dworów było wciąż żywe. Co więcej, teraz wieści o reformie rolnej nie robiły na nikim takiego wrażenia, jak w innych częściach kraju. Tutaj nie było już czego dzielić, bo po spaleniu dworów ziemia została rozparcelowana i sprzedana, na czym zyskali przede wszystkim koloniści, a nie miejscowi, oskarżani o przelanie bratniej krwi.

Z takim oto bagażem doświadczeń polskojęzyczny Austriak (tak do niedawna określano galicyjskich chłopów w kancelariach c.k. monarchii) został latem 1920 roku wcielony do Wojska Polskiego i wysłany na wojnę z bolszewikami. Mogłoby się wydawać, że to idealny materiał na dezterera. Ta historia potwierdza jednak starą prawdę, że nie należy nikogo oceniać po pozorach. Fugiel nie tylko pamiętał, co Kozacy zrobili mieszkańcom jego wsi, lecz także doznał prawdziwego wstrząsu, kiedy w drodze na wojnę był świadkiem zderzenia dwóch sanitarnych pociągów. Po tej masakrze czuł solidarność z nieszczęśliwymi, którzy wracając ranni z frontu, znaleźli tak straszną śmierć na jego tyłach. Choć przeżył nędzę okopowej egzystencji, doświadczył huraganowego ognia artylerii bolszewickiej i wreszcie wziął udział w zwycięskiej bitwie nad Niemnem, najczęściej wracał pamięcią do obrazów z katastrofy kolejowej, w której w jednej chwili śmierć zabrała tylu jego rówieśników.

Nie dostał też żadnego orderu czy awansu. Z wojny wrócił do rodzinnej wsi, po demobilizacji, na bosaka, bo po drodze zdarły mu się buty. Na miejscu wciąż musiał borykać się z biedą. Co więcej, nadal uważał się za polskojęzycznego Austriaka – „galicjoka”, tak zawsze wykrzykiwał po wyjściu z knajpy. Jednocześnie jak relikwii pielęgnował orzełka z furażerki, którą nosił w 1920 roku. To była jedyna namacalna pamiątka

i wartość z tej wojny, resztę skrywał w sercu, jak na twardego chłopca przystało.

Józef Kaliciński był człowiekiem z zupełnie innego świata. Polski patriotyzm miał w genach i krwiobieg, jak sam podkreślał. Jego przodkowie bez wahania szli do kolejnych powstań, nic zatem dziwnego, że i on latem 1920 roku wstąpił do dywizji ochotniczej 5 Armii gen. ppor. Władysława Sikorskiego. Początkowo dowódca miał obawy, że ta dywizja księży i poetów – jak z przekazem o niej mówiono – będzie w jego armii zarzewiem niesubordynacji. Rozkazał nawet poddać ją szczególnie rygorystycznej dyscyplinie, ale te lęki szybko zostały rozwiane, kiedy żołnierze stanęli do walki. W czasie ofensywy nad Wkrą gimnazjaliści i studenci bili się jak lwy, a generał stwierdził, że byli niczym „la terreur de la Russie” (terroryści Rosjan).

Ci młodzi żołnierze, ubrani w większości w amerykańskie mundury i wyposażeni w ciężkie brytyjskie karabiny, bez żadnych kompleksów stanęli do walki z Kawkorem, czyli 3 Korpusem Kawalerii, który miał równie złą sławę jak 1 Armia Konna. 23 sierpnia 1920 roku ochotnicy zastąpili Kozakom drogę pod Grabowem. Wywiązała się zażarta walka na szable i bagnety, w której strzelec Kaliciński został ciężko ranny. Jeden z Kozaków, wyrwający się z matni ku niemieckiej granicy, ciął go szablą w głowę. Kiedy koledzy przenosili rannego na tyły, zauważyli, że taszczył w plecaku podręczniki prawa, które na front przyniósł prosto z zajęć na uczelni. W polowym szpitalu połatano mu głowę i po zakończeniu walk Józef Kaliciński wrócił na przerwane studia.

ENTUZJAZM GIMNAZJALISTY

O rozstaniu z wojskiem nie chciał słyszeć jego rówieśnik, Stanisław Koszutski. Uczył się zaledwie w szóstej klasie kieleckiego gimnazjum, gdy w listopadzie 1918 roku uciekł do szwadronu ułanów formowanego przez por. Janusza Głuchowskiego. Jakież było rozczarowanie gimnazjalisty, kiedy jako młodocianemu kazano mu wracać do domu. Rodzice pozwolili mu jednak wstąpić do Korpusu Kadetów nr 2 w Modlinie.

W lipcu 1920 roku Koszutski znalazł się na froncie – walczył w 5 baterii 1 Pułku Artylerii Ciężkiej. Jak dowcipnie uważał jego przyjaciel, ppłk Kornel Krzeczunowicz: „Przekonał się na własnej skórze, że wymarzone wojsko z bliska inaczej wygląda niż na obrazkach i w książkach. Miał jednak tyle siły charakteru, że nie dał się zniechęcić. Jego wrodzony entuzjazm okrzepł”. Tak skutecznie, że po zawieszeniu broni nie mógł wysiedzieć w Korpusie Kadetów. Na wieść o wybuchu III powstania śląskiego wraz z kilkoma kolegami zdezerterował ze szkoły i na ochotnika wstąpił do powstańczej artylerii. Tam awansował na kaprała i otrzymał Krzyż Walecznych. Takie były początki kariery przyszłego podpułkownika i dowódcy 2 Pułku Pancernego 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka.

Trzech żołnierzy – chłop, student i kadet, którego czekała świetna kariera wojskowa. Ludzie o odmiennych życiorysach i statusie społecznym, których połączyły służba i zwycięstwo w walce z bolszewikami. To największa wartość tej wojny. ■



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

IGRZYSKA ŻYCIA

14 sierpnia 1920 roku w Antwerpii odbyła się ceremonia otwarcia igrzysk olimpijskich. Do startu przygotowało się około stu reprezentantów Polski, ale ostatecznie żaden z nich nie stanął do rywalizacji.

JACEK SZUSTAKOWSKI

Wodradzającym się po 123 latach zaborów państwie polskim zaczął się intensywnie rozwijać sport, w dużym stopniu za sprawą armii – w wojskowych klubach z powodzeniem trenowało wielu czołowych zawodników różnych dyscyplin. W marcu 1919 roku Polska otrzymała od Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego zaproszenie do udziału w VII Igrzyskach Olimpijskich w Antwerpii. Dla naszych re-

prezentantów byłby to pierwszy w historii start w narodowych barwach. Polska poprzez udział w sportowej rywalizacji chciała przypomnieć o swoim istnieniu na międzynarodowej arenie. Dlatego rozpoczęto przygotowania najlepszych sportowców z wybranych dyscyplin.

1 marca 1920 roku na posiedzeniu Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich uchwalono, że reprezentacja wyjedzie już w połowie lipca i pozostanie w Belgii do końca igrzysk.

WICESZEF „POLSKI ZBROJNEJ” NA OLIMPIADZIE

Stanisław Sośnicki „Kucharz” znalazł się w gronie reprezentantów Polski, którzy mieli szansę wystartować na olimpiadzie w Antwerpii. Był jednym z najlepszych polskich lekkoatletów okresu międzywojennego. W 1920 roku na pierwszych mistrzostwach Polski we Lwowie zdobył aż sześć złotych medali. W swojej karierze zdobył 13 tytułów mistrza Polski: po trzy w trójskoku i skoku w dal, po dwa w biegu na 100 m i w sztafecie 4x100 m oraz po jednym w biegu na 200 m, skoku wzwyż i w dal z miejsca.



Służył najpierw w armii rosyjskiej, ale w 1918 roku wstąpił do Wojska Polskiego. W czerwcu 1931 roku rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i karierę w dyplomacji. W wojnie obronnej 1939 roku walczył pod Bydgoszczą, w bitwie nad Bzurą i w obronie Warszawy. Za bohaterstwo został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy. Po kapitulacji stolicy trafił do niewoli. Był więziony w obozach jenieckich w Lubece i Woltenbergu. W tym drugim współorganizował obozową olimpiadę. Po wyzwoleniu od marca do listopada 1945 roku był zastępcą redaktora naczelnego „Polski Zbrojnej”. Następnie wrócił do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W latach 1946–1948 był charge d'affaires w Ankarze. Usunięto go ze stanowiska za to, że kompromitował Polskę Ludową i utrzymywał kontakty z członkami byłego rządu londyńskiego.

Reprezentacja Polski w piłce nożnej zamiat do Antwerpii pojechała dopiero na Letnie Igrzyska Olimpijskie w Paryżu w 1924 roku. Stoją od prawej: bramkarz Mieczysław Wiśniewski (Wisła Kraków), Mieczysław Batsch (Pogoń Lwów), Wacław Kuchar (Pogoń Lwów), Leon Sperling (Cracovia), Wawrzyniec Cyll (ŁKS), Józef Kałuża (Cracovia), Henryk Reymann (Wisła Kraków), Stefan Fryc (Cracovia). Siedzą od prawej: Stanisław Cikowski (Cracovia), Zdzisław Styczeń (Wisła Kraków), Marian Społda (Warta Poznań).

Mieczysław Orłowicz, organizator i propagator masowej turystyki pieszej w Polsce, argumentował tę decyzję w czasopiśmie „Wychowanie Fizyczne” tym, że „będzie to miało dla naszego sportu ogromne znaczenie pedagogiczne”.

TYLKO KONI BRAK

Komitet Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich, nad którym patronat objął Józef Piłsudski, powstał 12 października 1919 roku w Krakowie. Kilka tygodni później, 1 grudnia, nazwę organizacji zmieniono właśnie na Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich. Jego głównym zadaniem było jak najszybsze stworzenie związków sportowych i przygotowanie reprezentacji do startu w Antwerpii.

Na początku marca 1920 roku w gmachu Ministerstwa Zdrowia Publicznego w Warszawie, gdzie mieściła się siedziba

PKOl-u, odbyło się posiedzenie olimpijskiej centrali, na którym omawiano stan przygotowania reprezentacji do startu w olimpiadzie. Dr Jan Weyssenhoff i kpt. Józef Szkolnikowski zajmowali się piłką nożną. Zapowiedzieli m.in. przyjazd do Polski angielskiego trenera, który miał w Krakowie wyselekcjonować reprezentacyjną drużynę. George Burford podjął się wyboru najlepszych piłkarzy z 40 różnych klubów, którzy otrzymali powołania na treningi. Stan przygotowań do igrzysk jeźdźców przedstawił zaś mjr Karol Römmel. Wyjaśnił, że treningi odbywają się równocześnie w kilku ośrodkach: w Starej Wsi, Przemyśle, Poznaniu i Grudziądzu. Zapowiedział również zgrupowanie w Garwolinie oraz zawody w Warszawie, po których dziesięciu najlepszych jeźdźców otrzyma szansę udziału w igrzyskach. Mówił przy tym: „Nie brak jest dobrych jeźdźców, ale brak odpowiednich koni”.

W WOJSKOWYCH KLUBACH Z POWODZENIEM TRENOWAŁO WIELU CZOŁOWYCH ZAWODNIKÓW PRZERÓŻNYCH DYSCYPLIN

Kpt. Tadeusz Kuchar raportował, że od 9 lutego w gmachu towarzystwa „Sokół Macierz” we Lwowie treningi rozpoczęli lekkoatleci. 30 zawodników szkolił szwedzki trener Knut Helgesson. W maju zaplanowano starty we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Łodzi i Poznaniu, a najlepsi sportowcy tych zawodów mieli otrzymać powołanie na dwumiesięczne zgrupowanie we Lwowie, kończące się zawodami kwalifikacyjnymi i wyłonieniem ostatecznego składu na olimpiadę.

Kolarze torowi przygotowywali się do igrzysk na torze w Warszawie, a szosowi mieli wystartować 1 maja w wyścigu kwalifikacyjnym w Krakowie. Sześciu z najwyższymi lokatami zapewniało sobie przepustki na trzymiesięczne zgrupowanie, z którego mieli się udać prosto do Belgii. Na maj zaplanowano też zawody kwalifikacyjne wioślarzy na kanale Brdy oraz strzelców, a najlepsi mieli zostać wysłani na dwumiesięczny obóz. Tenisiści zgłosili potrzebę budowy w Warszawie jednego lub dwóch kortów, wzorowanych na zachodnioeuropejskich.

Przygotowania szły pełną parą. W łódzkiej fabryce złożono nawet zamówienie na specjalne stroje dla olimpijczyków. Około stuosobowa ekipa, poza oficerami startującymi w zawodach jeździeckich, miała otrzymać czerwone bluzki z haftowanym orłem i białe spodenki. Niestety, elegancko ubrana reprezentacja nie zaprezentowała się publiczności na ceremonii otwarcia igrzysk. Symbolicznie z białoczerwoną flagą maszerował tylko belgijski chorąży. Zbliżające się do Warszawy wrogie wojska zmusiły PKIOI do podjęcia 12 lipca decyzji o wycofaniu polskiej reprezentacji z zawodów. Około 80% naszych reprezentantów było żołnierzami i urlopowani z wojska na czas przygotowań do igrzysk sportowcy udali się na front, aby walczyć z bolszewikami.

STRACONA SZANSA

Przed igrzyskami działacze nie ukrywali, że największe nadzieje ze startem w Antwerpii wiązali z jeźdźcami. W reprezentacji znaleźli się m.in. mjr Karol Rómmel i por. Józef Trenkwald. Co ciekawe, major miał już za sobą debiut na igrzyskach olimpijskich. W 1912 roku zakwalifikował się do jeździeckiej reprezentacji Rosji i w konkursie skoków, mimo upadku, zajął w Sztokholmie 15. miej-

sce. W Antwerpii Polacy mieli szansę na medal w klasyfikacji drużynowej. Musieli na niego jednak czekać aż osiem lat – na igrzyskach w Amsterdamie Rómmel i Trenkwald zdobyli wraz z Michałem Woysym-Antoniewiczem brąz we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego.

W drużynie lekkoatletycznej bardzo dobrymi wynikami przed igrzyskami w 1920 roku mogli się pochwalić m.in. lekkoatleta Polonii Warszawa por. Stanisław Sośnicki i reprezentant Pogoni Lwów por. Sławosław Szydłowski. Ten drugi był trzynastokrotnym mistrzem Polski. Tytuły zdobywał w rzutach: dyskiem, młotem, oszczepem i oszczepem oburącz. Obaj porucznicy na debiut w igrzyskach czekali aż cztery lata. O ile jednak w 1920 roku Sośnicki był w wyśmienitej formie i mógł się postarać o świetny wynik, o tyle w 1924 roku w Paryżu zajęł dalekie miejsca w skoku w dal i w biegu na 100 m. Szydłowski startował w rzucie dyskiem i oszczepem, ale nie wszedł do finałów w tych konkurencjach. Na osłodę pozostał mu zaszczyt bycia chorążym polskiej reprezentacji na paryskich igrzyskach.

Pewni startu na szermierczej planszy w Antwerpii byli też zawodnicy z Lwowskiego Klubu Szermierzy: por. Władysław Sobolewski i Emil Vambora. Cztery lata później pojechali do Paryża jako rezerwowi w drużynie szablistów, ale nie dane już im było posmakować olimpijskiej rywalizacji.

Na turnieju piłkarskim w Antwerpii mogli zagrać kpt. Wacław Kuchar, por. Henryk Reyman, ppor. Stefan Fryc, Mieczysław Batsch, Józef Kałuża, Leon Sperling i Zdzisław Styczeń. Na jedyny występ na igrzyskach musieli czekać cztery lata, ale w Paryżu, po porażce 0:5 z Węgrami w pierwszym meczu, Polska szybko odpadła z turnieju. W składzie drużyny na igrzyska w 1920 roku byli też napastnik Juliusz Miller i pomocnik Tadeusz Synowiec. Cztery lata później pojechali do Paryża jako rezerwowi.

Po stu latach od igrzysk w Antwerpii sportowcy mieli walczyć o olimpijskie medale w Tokio. Tym razem na drodze do spełnienia ich marzeń stała epidemia. Na start nie będą jednak czekać aż cztery lata. Nie muszą też walczyć na froncie. W 1920 roku nie wszyscy wyszli cało z okopów pod Warszawą, ale ci, którzy przeżyli, cieszyli się z innego zwycięstwa, ważniejszego niż sportowe. ■



NA IGRZYSKACH W ANTWERPII startowało 2669 zawodników z 29 państw. Rywalizowali o medale w 154 konkurencjach w 22 dyscyplinach sportu. Jeden z nich – brązowy w przeciąganiu liny – wywalczył wraz z ekipą Stanów Zjednoczonych Józef Krzyczewski.



KRZYSZTOF KUBIAK

Tajna armia CIA

Wojna indochińska toczona przez Stany Zjednoczone obejmowała szerokie spektrum działań niejawnych, planowanych i realizowanych przez służby wywiadowcze. Należało do nich tworzenie – z inicjatywy i za pieniądze Centralnej Agencji Wywiadowczej – antykomunistycznej partyzantki w północno-wschodnim Laosie. Rekrutowano do niej członków grupy plemiennej Hmongów. Zamieszkiwali oni obszary wyżynne, więc często określano ich wywodzącym się jeszcze z czasów francuskich słowem „montagnards” (górale). Działania Amerykanów były niekonwencjonalną reakcją na infiltrację, a potem faktyczną okupację przez Wietnam Północny, wschodnich obszarów Laosu i Kambodży. Przeprowadzili oni atak na „szlak Ho Chi Minha”, wielką arterię transportową umożliwiającą przerzut zaopatrzenia i żołnierzy do Republiki Wietnamu. Z przyczyn politycznych rozszerzenie lądowych działań konwencjonalnych i radykalne przecięcie owego szlaku było niemożliwe. Amerykanie wspierali więc szczerze królewską armię laotańską, która jednak słabo radziła sobie w konfrontacji z Wietnamczykami i korzystającymi z ich protekcji rodzimymi komunistami z organizacji Pathet Lao. Z Hmongami sprawy miały się zupełnie inaczej. Zachęceni do zbrojnego oporu od początku lat sześćdziesiątych poprzedniego wieku uczynili z wojny sposób życia. Początkowo, w ramach tajnego programu pomocowego, Amerykanie zamierzali wyposażać około 2 tys. żołnierzy tzw. sił samoobrony. W następnych latach przedsięwzięcie nabrało rozmachu, a intensywność działań plemiennej partyzantki wzrosła. Dość powiedzieć, iż według dostępnych szacunków w czasie największego rozwoju siły dowodzone przez gen. Vang Pao liczyły około 30 tys. ludzi, a w działaniach, do początku 1975 roku, poległo 18–20 tys. bojowników. Nękali oni przeciwnika, prowadzili rozpoznanie na rzecz amerykańskiego lotnictwa wykonującego „tajne bombardowania” Laosu, ratowali zestrzelonych lotników. Byli przy tym wyjątkowo skuteczni. Czarne chmury nad Hmongami zaczęły zbierać się wraz ze wzrostem dynamiki antywojennych protestów w Stanach Zjednoczonych. Zmęczone wojną, znajdujące się w stanie głębokiego kryzysu społecznego mocarstwo zdecydowało się ostatecznie opuścić Półwysep Indochiński. W styczniu 1973 roku podpisano w Paryżu porozumienie, dające Amerykanom złudne poczucie, że zachowali twarz. Partyzanci z Laosu nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, jak potraktują ich komuniści. Niemal połowa uciekła wraz z rodzinami do Tajlandii. W 1979 roku w obozach dla uchodźców przebywało ich około 120 tys. Ci, którzy zostali, padli ofiarą terroru zwycięzców, wielu przez dekady wegetowało w ukryciu w najwyższych partiach laotańskich gór. Najliczniejsze skupiska Hmongów wywodzących się z tajnej armii CIA żyją obecnie w Ameryce (około 300 tys.) i Tajlandii (około 100 tys.). Stany Zjednoczone, mimo że od 1975 roku przyjmowały uchodźców, oficjalnie nie potwierdzały przez wiele lat swojej roli w tworzeniu i utrzymywaniu partyzantki Hmongów. Zmieniło się to dopiero pod koniec poprzedniego stulecia. Wyraznym tego przejawem były dwie decyzje: o ułatwieniach imigracyjnych dla weteranów i ich rodzin przebywających nadal w tajskich obozach dla uchodźców oraz o budowie pomnika kombatantów z tego etnosu na cmentarzu wojskowym w Arlington.

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK jest pracownikiem naukowym Katedry Nauk o Bezpieczeństwie na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ ROZMOWA



BIEGA SIĘ GŁOWĄ

Z Damianem Drąszkiewiczem o tym, czego wojsko może nauczyć biegacza i dlaczego na trasie ultramaratonu psychika jest ważniejsza od kondycji, rozmawia Anna Dąbrowska.

Badwater 135

to jeden z najbardziej ekstremalnych i najtrudniejszych ultramaratonów na świecie. Odbywa się w lipcu w Dolinie Śmierci w Kalifornii, najgorętszym miejscu na Ziemi.



D

laczego wybrał pan ultramaratony? Czy w tej formie aktywności jest coś szczególnie fascynującego?

Za ultra uważany jest każdy bieg, którego dystans jest dłuższy niż maraton, czyli 42,195 km. Dla mnie to możliwość sprawdzenia się, pokonania kolejnego biegowego wyzwania, poznania innych ludzi i obcowania z naturą. To bieg dla przyjemności, poprawy sprawności fizycznej, z pięknymi widokami, zmęczeniem w nogach i lekkim sercem.

Któryś z takich biegów był wyjątkowy?

Pobiegłem ich kilka, ale najlepiej pamiętam Kaliską Setkę i Bieg Rzeźnika. To dwa skrajnie różne wyzwania. Pierwszy to bieg na 100 km po płaskich drogach w okolicach Kalisza. Wtedy pokonałem swój rekordowy dystans. Ten drugi, czyli 85 km w Bieszczadach, był moim pierwszym wyzwaniem ultraciężkim, ale wspinałem. To tam uczyłem się, czym jest bieg ultra. Rzeźnik pozwolił mi ocenić siebie i swoje możliwości, spojrzeć z pokorą na trasę i konieczność zmieszczenia się w czasie na kolejnych punktach. Wcześniej robiłem wycieczki biegowe na podobnym dystansie, ale bez limitu czasu i bez konkurowania z innymi biegaczami. Tam biegnie się w dwuosobowych drużynach, więc trzeba też nauczyć się odpowiadać nie tylko za siebie, lecz także za partnera. Dla mnie biegiem ultra był na swój sposób też Bałtycki Maraton Brzegiem Morza po Półwyspie Helskim. Cały biegnie się w mokrych butach po miękkim plażowym piasku, na dodatek w jedną stronę z wiatrem, a z powrotem pod wiatr. Do mety dotarłem po pięciu godzinach całkowicie wyčerpany.

Jakie są pana kolejne plany biegowe?

Teraz rzadziej biegam na takich dystansach. Musiałem odpuścić, bo coraz mocniej dają mi się we znaki stawy nadwężone lądowaniem po skokach spadochronowych. Marzę jednak jeszcze o Comrades Marathon w RPA. To najstarszy na świecie bieg ultra, liczący blisko 90 km. Jest swo-



ARCH. PRYWATNE

W Dolinie Śmierci asfalt rozgrzewa się do blisko 90 stopni. Zawodnicy mają do pokonania w takich warunkach 217 km w 48 godzin.

istym ukłonem w kierunku żołnierzy, bo zainicjował go weteran I wojny światowej, z pochodzenia Brytyjczyk, ku pamięci swoich towarzyszy broni. Trasę pokonuje się raz z zachodu na wschód, a raz w przeciwnym kierunku, więc w jednym roku biegnie się cały czas pod górę, a w kolejnym – w dół. Mniejsze dystanse nadal chętnie pokonuję, choć już nie zapisuję się, jak kiedyś, na dwa, trzy biegi w jeden weekend. Co roku z Klubem Biegacza „Maniac” wyjeżdżałem na jeden lub dwa maratony, startowaliśmy m.in. w Sztokholmie, Budapeszcie, Paryżu, Monako. Najbardziej niesamowity był ten zorganizowany w Grecji – z miejscowości Maraton do Aten. Finiszowaliśmy na stadionie liczącym ponad 2 tys. lat przy muzyce z filmu „Rydwany ognia”.

Podczas przygotowań do startów czerpie pan z doświadczeń wojskowych?

Bardzo wiele. Sporo zawdzięczam tacie, który był żołnierzem 6 Brygady Powietrznodesantowej w Krakowie i od dziecka wpajał mi wytrzymałość na trudy. Od siódmego roku życia chodziłem razem z nim po Tatrach. Uczyłem się też w klasie pływackiej w szkole sportowej i należałem do klubu spadochronowego Ligi Obrony Kraju. Instruktorzy wymagali od nas dużej sprawności i wytrzymałości. Każde zajęcia poprzedzone były kilkoma okrążeniami lotniska na Ligowcu pod Poznaniem. Kiedy przyszedł czas na służbę zasadniczą, marzyłem, żeby jak tata pójść do Czerwonych Beretów do Krakowa.

WIZYTÓWKA

ST. SZER. DAMIAN
DRAŹSKIEWICZ

Jest ultramaratończykiem, byłem żołnierzem kompanii specjalnej w 2 Samodzielnym Batalionie Rozpoznawczym w Gubinie. W 2018 roku był w składzie zespołu Artura Kujawińskiego podczas ultramaratonu Badwater 135 w Dolinie Śmierci w USA. Jest też projektantem kilkunastu medali, m.in. biegu Maniacka Dziesiątka i Biegu Niepodległości w Poznaniu. Medale niejednokrotnie wyróżniano mianem najlepszych projektów w Polsce. ■

Udało się?

Niestety nie. Za to trafiłem do Gubina do kompanii specjalnej w batalionie rozpoznawczym. Dwa lata służby były dla mnie prawdziwą szkołą wytrwałości. Mieliśmy bardzo fajnych, ale też surowych dowódców, którzy wymagali od nas wytrzymałości i sprawności fizycznej. Wpajano nam, że te umiejętności mogą nam na polu walki uratować życie. Skoro byliśmy kompanią specjalną, robiliśmy więcej niż inni żołnierze. Oni biegali na dystansie 5 km, a my – 10 km, oni zimą biegli w dresach, my – w krótkich spodenkach. Dzięki temu rosła nasza wytrzymałość na długie dystanse, mróz i upał. Kiedyś podczas zimowych manewrów wpadłem do wody, bo załamał się przede mną lód. Nikt się za bardzo tym nie przejął. Po wyjściu z wody musiałem biec dalej, w myśl zasady „mundur najlepiej schnie na żołnierzu”. Nieważne były rozwinięte mięśnie, bardziej liczyło się bycie tzw. żyłą, czyli wytrzymałym i nie do zdarcia. Moi dowódcy nie lubili określać „komandos”, ale my tak się właśnie czuliśmy.

Co z tego przeniósł pan do biegania?

Przede wszystkim bieganie, które na początku było przy-musem i obowiązkiem, potem stało się rutyną, aż wreszcie przyjemnością. Poza tym po wojsku stałem się bardziej obo-wiązkowy, punktualny i zorganizowany, nauczyłem się, że czasem trzeba zacisnąć zęby i walczyć dalej. Warto też wyty-czyć sobie plan i konsekwentnie go realizować. To wszystko przydaje się zarówno podczas startów, jak i organizacji im-prez, np. Biegu Niepodległości w Poznaniu, w którym bierze udział około 25 tys. biegaczy. To największy w historii Polski bieg na 10 km.

BIEG ULTRA TO WAL-
KA Z SAMYM SOBĄ,
WŁASNYMI SŁABO-
ŚCIAMI I PSYCHIKĄ

Na stronie polskiej ekspedycji Badwater Poland Team 2018 na ultramaraton w Dolinie Śmierci w USA napisano, że wniósł pan do zespołu „wojskowe podejście do trudnych rozwiązań i zawsze chłodną ocenę sytuacji”...

To prawda. Lubię proste sytuacje, staram się trzymać planu i swoich zasad. Dlatego m.in. ultramaratończyk Artur Kujawiński wybrał mnie do swojego zespołu. Wiedział, że jeśli się czegoś podejmę, to zrealizuję to dokładnie i zgodnie z planem.

Czym jest Badwater 135?

To jeden z najbardziej ekstremalnych i najtrudniejszych ultramaratonów na świecie. Odbywa się w lipcu w Dolinie Śmierci w Kalifornii, najgorętszym miejscu na Ziemi, gdzie zanotowano najwyższą temperaturę w cieniu +56,7 stopni Cel-sjusza, a asfalt rozgrzewa się do blisko 90 stopni. Zawodnicy mają w takich warunkach do pokonania 217 km w 48 godzin. Startują z największej depresji Ameryki Północnej – 85 m po-niżej poziomu morza i biegną pod górę, wspinając się na wyso-kość 2533 m n.p.m do podnóża najwyższego szczytu w USA Mount Whitney. W tym biegu startują tylko najlepsi. Nie moż-na się na niego zapisać. Zgłaszają się tysiące biegaczy z całego

świata, a elitarną setkę zawodników wy-biera komisja na podstawie dotychczas-owych dokonań kandydatów. No i każde-mu uczestnikowi biegu musi towarzy-szyć grupa licząca od dwóch do czterech osób, aby zapewnić mu bezpieczeństwo.

Organizator ma prawo do sprawdzenia członków supportu pod kątem ich doświadczeń, bo stawką jest życie biegającego. Dlatego członkowie drużyny wybierani są spośród najbardziej doświadczonych.

Jaka jest rola tego zespołu?

Ekipa jedzie samochodem za biegaczem i wspiera go na trasie, dba o jego nawodnienie, ochłodę, wyżywienie i odpoczynek. Jak Artur zatrzymywał się na chwilę odpoczynku, rozstawialiśmy mu fotel i parasol, szykowaliśmy picie, jedzenie, ochłodzenie. Spełnialiśmy jego zachcianki. Team jest bardzo ważny, w takich ekstremalnych warunkach na od-ludziu zapewnia biegaczowi bezpieczeństwo. Nasza grupa li-czyła cztery osoby. Damian Kaczmarek, ultramaratończyk, który jako pacemaker wspierał Artura na trasie, to znaczy biegł z nim prawie 100 km, nadawał tempo, dawał wsparcie psychiczne i polewał wodą ze spryskiwacza. Z kolei Grzegorz Kujawiński, brat Artura, też ultramaratończyk, był szefem



OSTATNI ZAWODNIK NA MECIE JEST NAJWIĘKSZYM ZWYCIĘZCĄ. MUSIAŁ WALCZYĆ Z WIELOMA SŁABOŚCIAMI I WYGRAŁ, WYGRAŁ DLA SIEBIE

supportu i pomocnikiem nawigatora, z bratem przebiegł prawie 50 km, a Marcin Pabiniak pojechał jako dokumentalista wyprawy i zmiennik kierowcy.

Jakie było pana zadanie?

Odpowiadałem za logistykę i nawigację. Analizowałem trasę, planowałem, co trzeba ze sobą zabrać, gdzie to umieścić w samochodzie, ile potrzebujemy wody – zabraliśmy 180 l, jak pomieścić jedzenie w lodówkach. Monitorowałem też na bieżąco stan Artura, robiąc pomiary cukru we krwi, dzięki temu mogłem dobrać mu odpowiedni posiłek. Przez dwie doby wszyscy musieliśmy być w pełnej gotowości. Do tego dochodziła temperatura. Było tak gorąco, że makaron podgrzewaliśmy na kamieniu, a zupkę chińską na dachu samochodu. Trzeba było też uważać podczas hamowania, gdy zjeżdżaliśmy z góry, aby nie zagrażać zbyt mocno hamulcowym i nie spalić samochodu. Ten bieg był większym wyzwaniem logistycznym, niż sądziłem, i jednocześnie wspaniałym doświadczeniem.

Co w biegach ultra jest najtrudniejsze?

Wszystko zależy od specyfiki i charakteru zawodów. Czy biegnie się po równinie, w górach, po koronie stadionu lub przez całą dobę wkoło po bieżni. Wytrenowany biegacz pokona nawet najdłuższą trasę, ale przeszkodzić mogą mu warunki po drodze i jego samopoczucie. Do startu przygotowujemy się, analizując biegi, które już się odbyły, a tak naprawdę każdy kolejny może być inny i nas zaskoczyć. Tak było na Rzeźniku. Zwykle podczas tego biegu jest dość chłodno i błotniście. Za to kiedy ja biegłem, było sucho i panował straszny upał. Wypiłem wtedy 12 l płynów. Dlatego zawsze powtarzam, że nowy dystans powinno się pobiec po to, by poznać trasę, a nie dla wyniku.

Najważniejsza na trasie jest sprawność fizyczna, dobra logistyka czy psychika?

Na większości biegów ultra w Polsce logistyka nie jest aż tak istotna, bo o gros spraw dbają organizatorzy. Samemu trzeba pamiętać o zabraniu wszystkich potrzebnych rzeczy i zaplanować, co wziąć na tzw. przepaki, czyli miejsca, gdzie możemy zmienić ubranie, buty. Trzeba też oczywiście być przygotowanym fizycznie, zresztą w wielu biegach ultra musimy przed starem legitymować się wcześniejszymi doświadczeniami. Moim zdaniem jednak najważniejsza jest psychika.

Dlaczego?

Tak na prawdę biega się głową. Można podczas treningów pokonywać 70 km, a na trasie może się zdarzyć, że psychika siądzie 10 km po starcie. Biegi ultra to walka z samym sobą, własnymi słabościami, psychiką. Nasze wytrzymałość i siła są dużo większe, niż nam się wydaje. Dzięki mocnej psychice i odporności na ból wiele osób potrafi wykrzesać z siebie więcej energii, niż sądzą. Trzeba nauczyć się pokonywać tzw. ścianę podczas biegu, kiedy wydaje się, że to koniec, że nie damy rady zrobić nawet kroku. Kiedy ją pokonamy, dobiegniemy do mety.

Gdy biegacz marzy o wyzwaniu ultra, jak powinien zacząć tę przygodę?

Jeśli dla kogoś pokonanie maratonu nie stanowi już wyzwania, przybiega na metę z zapasem sił, to może pokusić się o bieg na 50–70 km. Trzeba wybrać taki, jaki nam odpowiada, po płaskim czy po górach, w mieście czy na odludziu i wtedy zacząć się przygotowywać. Zawsze też zwracam uwagę na właściwe odżywianie się oraz – najważniejsze – nawadnianie organizmu.

Jak się najlepiej przygotować?

Jeśli wybraliśmy bieg górski, warto pojechać w góry, pochodzić po nich, pobiegać. Zobaczyć, czy damy radę poruszać się po nierównym terenie, czy nie przeszkadza nam rozrzedzone powietrze. To że po płaskim terenie ktoś pokonuje bez problemu 50 km, nie znaczy, że tak samo będzie na górskich ścieżkach. Warto też przetestować sprzęt i prowiant. Niesprawdzone posiłki czy napoje mogą doprowadzić do katastrofy. Podobnie jest z butami i odzieżą. Potem budujemy wytrzymałość i siłę fizyczną.

Czyli długie biegi?

Niekoniecznie. Kiedy szykowałem się do Biegu Rzeźnika, trenowałem na górkach pod Poznaniem, robiąc pętle długości 10–20 km i tylko raz pobiegłem 50 km. Ważne było, aby te treningi budowały wytrzymałość. W biegach ultra najważniejsze było dla mnie bezpieczne ukończenie dystansu. Zawsze myślę o ostatnim zawodniku, gdyż dla mnie on jest największym zwycięzcą. Dla niego pokonanie trasy oznaczało złamanie wielu barier psychicznych i fizycznych. Musiał walczyć z wieloma słabościami i wygrał, wygrał dla siebie. ■

Blisko 300 żołnierzy i pracowników resortu obrony narodowej wzięło udział w I Rajdzie Motocyklowym Weteranów.

RAJD PAMIĘCI

PIOTR LISOWSKI/CWDP.GP

Gdyby zsumować kilometry przejechane przez wszystkich uczestników rajdu, okazałoby się, że kilka razy okrążyli oni kulę ziemską.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Marcin. Dzięki, że jesteś wariatem i zorganizowałeś ten rajd. Odbił się on bardzo pozytywnym echem w naszej wojskowej – i nie tylko – społeczności. Mam nadzieję, że natchnąłeś mnie do organizacji podobnych akcji”, napisał płk Adam Bera ze Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w liście podsumowującym zakończenie I Rajdu Motocyklowego Weteranów.

OD SŁOWA DO SŁOWA

Wszystko zaczęło się dwa lata temu podczas „Projektu Wojownik”. St. chor. Marcin Michalak z 1 Dywizjonu Lotniczego 25 Brygady Kawalerii Powietrznej opowiedział o rajdzie motocyklowym, który zorganizował ku pamięci gen. broni Andrzeja Błasika. Kilkunastu żołnierzy motocyklistów odwiedziło jednostki, w których służył dowódca sił powietrznych. „Uznaliśmy obaj, że to dobry pomysł na inicjatywę z okazji Dnia Weterana. Tyle że nie miałem wówczas ani motocykla, ani prawa jazdy”, wspomina płk Szczepan Głuszcak, dyrektor Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa.

W całym kraju na apel Centrum (inicjatora i organizatora I Rajdu Motocyklowego Weteranów) o udział w tej akcji odpowiedziało blisko 300 żołnierzy i pracowników resortu obrony narodowej ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Połączyły ich motocyklowa pasja oraz chęć upamiętnienia kolegów, którzy nie wrócili z misji do domów. „Taki był główny cel naszej inicjatywy – odwiedzić 70 grobów żołnierzy, którzy zginęli w Iraku, Afganistanie i Kosowie”, dodaje płk Głuszcak.

Zadaniem st. chor. Marcina Michalaka, który został koordynatorem rajdu, było przypisanie uczestników tej wyprawy do różnych jednostek, niedaleko których znajdują się mogiły poległych. Żołnierze, oprócz złożenia kwiatów i zapalenia zniczy na grobach kolegów, mieli spotykać się z rodzinami poległych, odwiedzić sale tradycji w pobliskich jednostkach. St. chor. Michalak opowiada, jak dzięki tym wyjazdom poznał wielu wspaniałych ludzi, a także spotkał kolegów z misji, z którymi służył kilkanaście lat temu. „Odwiedziny na grobach były przeżyciem pełnym emocji nie tylko dla rodzin, lecz także dla nas”, wspomina.

I Rajd Motocyklowy Weteranów ruszył 29 maja 2020 roku spod pomnika Żołnierzy Poległych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Państwa – 30 motocyklistów pojechało do podwarszawskiej Zielonki, gdzie został pochowany mjr Krzysztof Woźniak, pierwszy żołnierz wojsk specjalnych, który zginął podczas operacji bojowej w Afganistanie. Nie wszyscy uczestnicy rajdu byli weteranami. Płk Krzysztof Krakowski, który na co dzień wykłada w Akademii Sztuki Wojennej, podkreśla, że o naszych bohaterach trzeba pamiętać i dawać temu wyraz. Mówi, że poprzez udział w rajdzie chce okazać szacunek tym, którzy polegali.

SYMBOLICZNE GESTY

W czerwcu żołnierze i pracownicy wojska na hondach, kawasaki, bmw czy yamahach przemierzali Polskę wzdłuż i wszerz. Docierali na lokalne cmentarze. Pokazywali, że pamiętają o poległych kolegach. Z jedną z takich grup spotkał się szef SGWP →

gen. Rajmund Andrzejczak, aby – jak mówił – „nadać tej inicjatywie odpowiednią rangę i symbolikę”. Dlatego wręczył uczestnikom rajdu proporzec Sztabu Generalnego WP. Jadący na czele kolumny płk Adam Bera z SGWP przypiął go do swojego motocykla. W czasie spotkania generał prosił o chwilę refleksji nad żołnierskim losem, nad tym, że czasem przychodzi wojskowemu zapłacić najwyższą cenę. Tak jak kpr. Pawłowi Staniaszkowi z 2 Mazowieckiej Brygady Saperów, ciężko rannemu na VI zmianie PKW w Afganistanie, który zmarł półtora roku później w szpitalu. Szef Sztabu Generalnego WP przypomniał, że kapral jest kawalerem Orderu Krzyża Wojskowego, najwyższego odznaczenia, jakie może otrzymać żołnierz za bohaterskie czyny podczas misji. Spośród ponad 100 tys. żołnierzy, którzy brali udział w zagranicznych operacjach, odznaczenie to otrzymało 173, w tym 47 pośmiertnie.

Na dziedzińcu Sztabu Generalnego WP rozległ się ryk silników i motocykliści ruszyli w drogę – 40 żołnierzy i pracowników Wojska Polskiego z warszawskich jednostek pojechało na grób kolegi. Na cmentarzu w miejscowości Luszyn koło Sochaczewa czekała na nich Wiesława Staniaszek. Podziękowała im za to, że pamiętają o jej synu. Mówiła, że na grobie Pawła często płoną znicze od jego kolegów.

Żołnierze żandarmerii i członkowie Żandarmskiego Klubu Motocyklowego odwiedzili z kolei w Olsztynie grób kpr. Grzegorza Bukowskiego, a w Łodzi – sierż. Marcina Pastusiaka. Obaj służyli w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim i zginęli na misji w Afganistanie. „Opiekujemy się także ich rodzinami”, zapewnił płk Piotr Koniec z Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej.

OSOBISTE EMOCJE

„Wjechali motocyklami na cmentarz, aby odwiedzić grób żołnierza”, podał 26 czerwca 2020 roku na swojej stronie internetowej portal Jarocińska.pl. Na nekropolii w Jarocinie zjawili się kilkunastu motocyklistów z 1 Dywizjonu Lotniczego 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Towarzyszyło im kilku żołnierzy z Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, Sztabu Generalnego WP, Akademii Sztuki Wojennej, Biura Konwentu Dziekanów, Centrum Operacji Powietrznych, również chcących zapalić znicze na grobie kpt. Daniela Ambrozińskiego, który zginął w 2009 roku w Afganistanie. Na cmentarzu w Jarocinie czekały Krystyna Ambrozińska, matka kapitana, jego żona Natalia oraz córka Marysia. Posterunek honorowy przy grobie oficera wystawili żołnierze z 16 Batalionu Remontu Lotnisk w Jarocinie.

Dla niektórych żołnierzy były to osobiste i pełne emocji odwiedziny. „Gdy stanęliśmy przy grobie Daniela, trudno było opanować wzruszenie”, przyznaje st. chor. Marcin Michalak. W Afganistanie brał udział w akcji, podczas której zginął kpt. Ambroziński. Był strzelcem pokładowym w śmigłowcu. „Przewieźliśmy trumnę z ciałem kapitana z bazy w Ghazni do Bagram, ale nie mogliśmy wziąć udziału w jego pogrzebie, bo zostaliśmy na misji”, wspomina chorąży. Podobne wspomnienia ma jego kolega st. chor. sztab. Kamil Olczak z 1 Dywizjonu Lotniczego 25 Brygady, który również uczestniczył w tamtej



PIOTR LISOWSKI / CWD PGP (2)

MOŻE W KOLEJNYCH LATACH WARTO BYŁOBY ODWIEDZIĆ WETERANÓW, KTÓRZY ZOSTALI NA MISJACH RANNI I NIE PEŁNIĄ JUŻ SŁUŻBY?

akcji. Obaj są zgodni: trzeba pamiętać o poległych kolegach i odwiedzać ich groby.

Żona Daniela, kpt. Natalia Ambrozińska z Biura Konwentu Dziekanów to jedyna kobieta, która wzięła udział w rajdzie. „Dla mnie to była okazja do upamiętnienia męża, ale to też



Płk Szczepan Głuszcak, dyrektor Centrum Weterana: „Wszystko zaczęło się dwa lata temu podczas »Projektu Wojownik«. Nie miałem wówczas ani motocykla, ani prawa jazdy. Zapisalem się na kurs prawa jazdy, nauczyłem się jeździć na motocyklu i kupilem kawasaki”. Na zdjęciu z matką kpr. Pawła Szweda



Motocykliści, którzy do Siedlec wyruszyli z Warszawy, zboczyli nieco z trasy, aby zjechać na cmentarz w Górnicy koło Garwolina. Złożyli tam kwiaty przy grobie kpr. Pawła Szweda.

wspaniała inicjatywa, która sprzyja integracji środowiska wojakowego”, mówi.

Wyprawa, która rozpoczęła się podczas obchodów Dnia Weterana, zakończyła się miesiąc później w siedleckiej 18 Dywizji Zmechanizowanej, dokąd zaprosił uczestników rajdu gen. dyw. Jarosław Gromadziński. Ta najmłodsza dywizja w kraju opiekuje się dwiema rodzinami poległych z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Wojskowi, którzy oddali życie w służbie ojczyźnie, będą upamiętnieni, gdy zostanie wybudowany nowy sztab dywizji, a przed budynkiem pojawi się ławeczka i zostanie zasadzony dąb ku ich pamięci. „Oni byli wśród nas, musimy o nich pamiętać”, podkreśla generał.

Motocykliści, którzy do Siedlec wyruszyli z Warszawy, zboczyli nieco z trasy, aby zjechać na cmentarz w Górnicy koło Garwolina. Tam, przy grobie kpr. Pawła Szweda, niedaleko głównej alejki, czekali matka poległego żołnierza, Hanna Szwed, kapelan ksiądz por. Karol Biegluk z 2 Mazowieckiego Pułku Saperów oraz chor. Przemysław Piotrowski z 2 Mazowieckiej Brygady Saperów, w której służył kapral.

Aby dotrzeć na cmentarz, trzeba przejechać przez wieś. Z daleka słychać było warkot, który zapowiadał pojawienie się kolumny ponad 20 motocykli. Mieszkańcy wychodzili przed domy zaciekawieni, co się dzieje. „We wsi będzie głośno o waszej wizycie”, mówiła Hanna Szwed. Opowiadała, że Paweł był jej najstarszym synem. W Górnicy przed wyjazdem do Afganista-

nu zaczął budować dom. Po powrocie planował założyć rodzinę. Nie zdążył. 150-kilogramowa mina, która 20 sierpnia 2008 roku wybuchła pod jego humvee, nie dała mu żadnej szansy. Chor. rez. Sebastian Bartkiewicz z Centrum Weterana na cmentarzu odczytał wspomnienie o żołnierzu. „Koleczy pamiętają. Często tu przyjeżdżają”, mówiła Hanna Szwed, odchodząc od grobu syna.

NABIERAJĄ ROZPEŁDU

W rajdzie wzięli udział motocykliści z 47 jednostek. „Swoją postawą udowodniliście, że pamięć o naszych kolegach jest wciąż żywa, a żołnierze to wspinała rodzina, która potrafi się wspierać”, napisał płk Szczepan Głuszcak na dyplomach, które na zakończenie rajdu otrzymał każdy z uczestników.

„Pokazaliśmy, że potrafimy, i że można. Mam nadzieję, że w przyszłym roku rajd nabierze rozpędu”, mówił gen. Gromadziński, zapraszając do udziału w II Rajdzie Motocyklowym Weteranów. „Ilu nas będzie?”, zastanawiał się st. chor. Michałak. Listy podsumowujące wydarzenie wysłali mu koordynatorzy z poszczególnych jednostek. Żołnierze z 21 Bazy Lotnictwa Transportowego w Świdwinie napisali: „Uwagi pozytywne – wspinała idea. Uwagi negatywne – brak. Propozycje zmian – kontynuować”. Ich koledzy z Dowództwa Garnizonu Warszawa dodali, że może w kolejnych latach warto byłoby odwiedzić weteranów, którzy zostali ranni i nie pełnią już służby. ■



CENA ODWAGI

Ludzkich charakterów nic nie odsłania tak jak moment, kiedy trzeba się zmierzyć z własnym lękiem. Gdzie jest granica, której przekroczenie zmienia człowieka w zaszczute zwierzę lub bohatera? O tym jest arcydzieło Henriego-Georges'a Clouzota z 1953 roku.

PIOTR KORCZYŃSKI

Nie wiemy, co sprawiło, że tych kilku Europejczyków z „Ceny strachu” Henriego-Georges’a Clouzota znalazło się w Las Piedras, latynoamerykańskim miasteczku. Z jednym wyjątkiem: Francuz Jo (Charles Vanel) przyleciał do Las Piedras, bo liczył, że tutaj nie odnajdą go jego byli wspólnicy, gangsterzy, których oszukał. Nie mylił się, ale też nie sądził, że egzystowanie w takim miejscu będzie gorsze od śmierci. Jedyną pociechą było to, że spotkał rodaka, Korsykanina Maria (Yves Montand). Z nim trwonili ostatnie pieniądze w miejscowym barze i planował, jak odmieni swój los. Nowemu przyjacielowi imponował gangsterską przeszłością, a w scenie kłótni z właścicielem baru dowiódł, że lepiej z nim nie zadzierać.

Niespodziewanie pojawiła się szansa wyrwania się z tej matni. W pobliskiej rafinerii, należącej do amerykańskiego koncernu, wybucha pożar. By ugasić płonący szyb, niezbędna jest nitrogliceryna. Problem w tym, że trzeba ją przewieźć z Las Piedras dwoma rozklekotanymi ciężarówkami po kamienistej drodze, wijącej się przez skalistą i dziką pampę. Każdy gwałtowniejszy wstrząs grozi natychmiastową eksplozją, więc osoba prowadząca wóz z takim ładunkiem musi być mistrzem kierownicy, ale też mieć nerwy ze stali. Mimo takiego ryzyka do biura koncernu zgłaszają się niemal wszyscy bezrobotni mężczyźni z baru. Dyrektor ogłasza więc konkurs na najlepszego szofera. Który po próbnym jazdach na pustyni

wygrywają czterej śmiałkowie. Prócz Jo i Mario z ładunkiem nitrogliceryny wyruszają Kalabryjczyk Luigi (Folco Lulli) i Niemiec Bimba (Peter van Eyck).

OTO CZŁOWIEK!

Wydawałoby się, że postawa bohaterów ukazana przez Clouzota przed wybuchem pożaru w rafinerii będzie determinować ich zachowanie w czasie niebezpiecznej misji. Tutaj jednak następuje nieoczekiwana wolta, która z sensacyjnego filmu czyni dzieło egzystencjalne. Oto przebojowy Jo, najbardziej nastawiony, by zdobyć nagrodę, nie wytrzymuje nerwowo napięcia i strach dosłownie rozkłada go na łopatki. Staje się przez to śmiertelnym zagrożeniem dla swego partnera w szoferce – Mario. Korsykanin zaś okazuje swe prawdziwe oblicze – jest coraz bardziej zdeterminowany i bezwzględny.

Kiedy pierwsza ciężarówka, prowadzona przez Luigiego i Bimbę, wylatuje w powietrze, na drodze tworzy się olbrzymi lej wypełniony ropą. Mario bez pardonu wpycha do niego Jo, by sprawdził, czy będzie można przejechać. Były gangster grzęźnie w bagnie. Mario nie waha się wtedy wjechać ciężarówką i pokonuje przeszkodę, gruchocąc przy tym kołami nogę kolegi. Oto człowiek! Oto tchórz! Oto bohater! Patrzcie i zapamiętajcie. Pomyślcie też, zanim będziecie wydawać arbitralne sądy – zdaje się mówić do widzów w tej scenie Clouzot.



Roman Kłosowski, Leon Niemczyk i Emil Karewicz w filmie „Baza ludzi umarłych”, polskiej wizji tematu podjętego przez Clouzota.

Mario dociera do rafinerii, dzięki czemu pożar zostaje ugaszony. Bohater dostaje całą nagrodę dla siebie i wyluzowany wraca pustą ciężarówką tą samą krętą drogą do miasteczka. W scenie tej słychać muzykę z walcu Johanna Straussa „Nad pięknym modrym Dunajem” – ta muzyka idealnie pasuje do happy endu. W barze na dzielnego mężczyznę czeka już jego piękna latynoska narzeczona... To jednak nie jest film z dobrym zakończeniem – Mario także musi zapłacić cenę za swą odwagę...

NASTĘPNY DO PIACHU

Sukces kasowy filmu Clouzota spowodował, że szybko zainteresowali się nim Amerykanie i już w 1958 roku premierę miał jego remake – „Violent Road” Howarda W. Kocha. Drugi raz do tego tematu wrócił w 1977 roku William Friedkin w „Sorcerer”. Istnieje jednak obraz, któremu bliżej do ducha pierwotnego arcydzieła. To „Baza ludzi umarłych” Czesława i Ewy Petelskich z 1958 roku. Scenariusz do niego napisał Marek Hłasko na podstawie swej noweli „Następny do raju”. Tutaj także poznajemy grupę wykolejeńców, którzy zaszyli się w bieszczadzkich ostępach. Nie prowadzą przy tym spokojnego życia, o nie! To kierowcy, którzy z tamtej-

MEŹCZYŹNI Z „CENY STRACHU” HENRIEGO-GEORGES’A CLOUZOTA TO WYKOLEJEŃCY, KTÓRZY KŁADĄ NA SZALI SWE ŻYCIE W ZAMIAN ZA MOŻLIWOŚĆ ZDOBYCIA 2 TYS. DOLARÓW

szych wyrębów wożą zdezelowanymi ciężarówkami drewno. Ich kursy po krętych, górskich drogach są równie niebezpieczne jak ten z nitrogliceryną. Co chwilę któryś z nich wpada w przepaść i ginie. Na miejsce nieszczęśnika od razu zjawia się kolejny kandydat, który chce zapomnieć o tym co było, a nieopatrznie staje w kolejce do raju.

Ten wyścig ze śmiercią nabiera tempa, kiedy do bazy dociera Stefan Zabawa (Zygmunt Kęstowicz), aktywista partyjny, który ma podwyższyć efektywność pracy brygady, a tym samym zwiększyć transport drewna do miasta. Tylko jak to zrobić kilkoma zdezelowanymi ciężarówkami kierowanymi przez typów spod ciemnej gwiazdy? Na swoje nieszczęście Zabawa przyjeżdża do bazy ze swą piękną żoną, która pragnie tylko jednego: wyrwać się za wszelką cenę do miasta, zdobyć mieszkanie i pieniądze. Jest rozczerwona mężem, bo zawiódł jej nadzieje, co od razu zauważają kierowcy i zaczynają rywalizować o kobietę.

W tym wyścigu najmniejsze szanse zdaje się mieć „Warszawiak” (Emil Karewicz), którego awanse kobieta z miejsca odrzuca, nie widząc w nim mężczyzny, który mógłby spełnić jej pragnienia. W finale zmienia zdanie, ale wówczas mężczyzna już nie może na nią nawet patrzeć... W „Bazie ludzi umarłych” strach i odwaga, poświęcenie i poświęcenie mają tę samą wysoką cenę.

W filmie Clouzota swą wielką wymowę ma „Nad pięknym modrym Dunajem”, a u Petelskich podobną funkcję pełni ballada Stanisława Grzesiuka „Bał na Gnojnej”. Wymowne są jej słowa: „Harmonia na trzy czwarte z cicha łka,/ Ferajna tańczy, ja nie tańczę./Dlaczegoż bał na Gnojnej jak co dnia,/Gdy niejednej pary dziś brak?”. Tak, nigdy nie wiadomo, kto zostanie zwycięzcą, a kto przegranym. Dopóki toczy się ta śmiertelna gra zwana życiem. ■



NOWA WYSTAWA

15.07–30.09.2020

SKRZYDŁA NA FALI



100. ROCZNICA
ZAŚLUBIN POLSKI Z MORZEM



100-LECIE
POLSKIEGO LOTNICTWA
MORSKIEGO



Organizatorzy

Partnerzy

Patronat medialny





Cywilie z Nasielska ładują taśmy amunicyjne. Sierpień 1920 roku

Bitwa na scenie

Wielka historia pokazana z perspektywy zwykłych ludzi – taki cel przyświecał wojskowym artystom, którzy przygotowali spektakl o wydarzeniach z roku 1920.

ANNA DĄBROWSKA

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Opowieść o Bitwie Warszawskiej to epicka historia pokazująca najważniejsze wydarzenia z okresu odradzania się polskiego państwa, mówi kmr ppor. Jarosław Rywalski, dyrektor Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Z okazji setnej rocznicy zwycięstwa z 1920 roku przygotował spektakl, na który złożą się sceny teatralne oraz historyczne pieśni i piosenki. Opowieść rozpoczyna się od wybuchu I wojny światowej, potem są m.in. sceny z rewolucji w Rosji, odzyskania przez Polskę niepodległości, zawarcia traktatu wersalskiego, walk na Ukrainie, wybuchu wojny polsko-bolszewickiej, wielkiej mobilizacji, aż do zwycięstwa nad bolszewikami.

„Zależało mi, aby przedstawić tę historię inaczej, nie tylko z perspektywy najważniejszych bohaterów tych wydarzeń. Dlatego pokazujemy losy, motywacje i przeżycia zwykłych osób”, tłumaczy Natalia Babińska, reżyserka i autorka scenariusza przedstawienia. Jak dodaje, sięgnęła do pamiętników, listów i dzienników z tego okresu, których autorami byli żołnierze i ludność cywilna. „Chciałam zobaczyć, co nimi powodowało, że porzucali swoje majątki, zostawiali rodziny i szli walczyć. Czasem wojenna sytuacja ich przerastała, innym razem była motywacją do heroicznych czynów”, opowiada reżyserka.

Najbardziej znani bohaterowie wydarzeń sprzed stu lat, m.in. marszałek Józef Piłsudski, pojawiają się w czytanych

rozkazach, dokumentach oraz prezentacjach multimedialnych. „Aby dopełnić spektakl plastycznie i zadziałać na wyobraźnię widza, pokazujemy archiwalne zdjęcia i filmy, mapy, fotografie pamiątek z tamtych dni i fotokopie dokumentów”, wylicza Natalia Babińska. Materiały historyczne do tych prezentacji pochodzą z Muzeum Wojska Polskiego, Centralnej Biblioteki Wojskowej i Archiwum Akt Nowych,

Warstwę narracyjną spektaklu uzupełniają utwory muzyczne, m.in. takie znane piosenki, jak: „Pierwsza Kadrowa”, „Pierwsza Brygada”, „Pieśń o wodzu miłym”, „Hej, Orle Białe”, „Hymn do Bałtyku”, „Szara piechota” czy „Wojenko, wojenko”. „Wiele z tych utworów jest w nowych aranżacjach. Przygotowaliśmy także kilka piosenek specjalnie skomponowanych do spektaklu”, zapowiada dyrektor Reprezentacyjnego Zespołu. Dodaje, że widzów mogą zaskoczyć też efekty pirotechniczne podczas kulminacyjnego momentu spektaklu, którym będzie bitwa pokazana w formie sceny baletowej.

W półtoragodzinnym przedstawieniu bierze udział około 55 artystów: śpiewacy, muzycy i tancerze z towarzyszeniem 36-osobowej orkiestry symfonicznej. „To pierwszy tak duży spektakl od co najmniej dwóch lat”, mówi Grzegorz Mielimaka, kierownik muzyczny Reprezentacyjnego Zespołu. Dodaje, że widowisko nawiązuje do przedwojennej tradycji zespołu, czyli grup teatralno-estradowych i teatrzyków wojskowych.

Po premierze „Opowieści o Bitwie Warszawskiej” w Teatrze Polskim w Warszawie 14 sierpnia 2020 roku artyści będą jeździć ze spektaklem po kraju. Przedstawienie będzie też można zobaczyć na płytach DVD lub online.



ANDRZEJ FĄFARA

Pachołek i repatriant

Mam zamiar napisać książkę o Władysławie Skoneckim. Wiem, wiem. Znam żart, że więcej jest teraz piszących książki niż czytających. Przejąłem się jednak hasłem, które zobaczyłem na jednym z portali społecznościowych: „Nie czytasz, nie idę z tobą do łóżka”. Mam nadzieję, że jako autor zapewnię sobie znacznie korzystniejsze warunki niż jako czytelnik.

A zatem Skonecki. Był tenisistą wybitnym, niespełnionym i tajemniczym. To wystarczające powody, by przyrzeć się bliżej jego życiu. Nie bez znaczenia dla moich zamiarów jest setna rocznica urodzin sportowca, która minęła 12 lipca. Dla czytelników „Polski Zbrojnej” argumentem też może być fakt, że Skonecki przez długie lata reprezentował Legię, niegdyś klub wojskowy, jedną z najpotężniejszych tego rodzaju organizacji na świecie.

Skonecki do wojska zupełnie nie pasował, zwłaszcza do tego z lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Był barwnym ptakiem, człowiekiem lubiącym modne stroje, wizyty w nocnych lokalach i hazard we wszelkich postaciach. Alkoholu prawie nie pił, gdyż tenis traktował mimo wszystko bardzo poważnie.

Dopóki był lojalny wobec komunistycznej władzy, ta hołubiła go, jak mogła. Pod koniec 1949 roku otrzymał tytuł zasłużonego mistrza sportu, zdarzało mu się przemawiać na plenerach i zgromadzeniach. Walczył zaciekle o pokój, co było w owym czasie obsesją partyjnych bonzów. I oto ten Skonecki, niby obłaskawiony i posłuszny, wiosną 1951 roku wybrał wolność. Po rozegranym w Zurychu meczu ze Szwajcarią nie wrócił do kraju.

W jednej chwili stał się zdrajcą i pachółkiem imperialistów. Polska prasa mieszała go z błotem przez kilka dni, po czym zniknął jak kamfora, zdematerializował się całkowicie. Nie wiadomo, co robił i jakie miał wyniki. W polskich mediach (gazety, radio, telewizji jeszcze nie było) przestał po prostu istnieć. Nieoficjalnymi kanałami dochodziły wieści, że wygrał mnóstwo turniejów, że zwyciężał najlepszych graczy świata i że dorobił się na Zachodzie sporego majątku. Nieoficjalne kanały nie ustaliły, czy na tenisie, czy na hazardzie.

Po pięciu latach Skonecki wrócił do kraju. Już nie jako pachółek imperialistów, ale jako repatriant. Musiał jednak posypać głowę popiołem i złożyć publiczną samokrytykę na zebraniu członków Legii. Dwa tygodnie później już grał w meczu z Austrią o Puchar Davisa w Warszawie. Obyczajów nie zmienił. Zadawał szyku eleganckimi marynarkami i jasnoniebieskim chevroletem. Grał na wyścigach i w ulubioną grę karcianą kariokę.

Po raz wtóry wyjechał z kraju w 1965 roku. Tym razem oficjalnie, na kontrakt trenerski do Austrii. Zamieszkał w Wiedniu, wiążąc się z wdową po fabrykancie guzików. Nie wspominałem o tym, że cieszył się dużym powodzeniem u kobiet. Musiał zapewne dużo czytać, choć tego do końca nie jestem pewien.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

SPRZEDAŻ MIESZKANIA A ULGA

Wykupiłem mieszkanie z zasobów AMW z przysługującą ulgą w wysokości 95%. Planowałem je sprzedać i pieniądze przeznaczyć na cele mieszkaniowe, a dokładnie na spłatę części kredytu zaciągniętego na zakup większego mieszkania. Wiem, że w przypadku sprzedaży mieszkania przed okresem pięciu lat należy opłacić podatek od dochodu, chyba że środki uzyskane ze sprzedaży przeznaczy się na cele mieszkaniowe. Na takie cele zamierzam przeznaczyć pieniądze. Dowiedziałem się jednak, że nie mogę sprzedać mieszkania przez pięć lat od daty wykupu, bo w takiej sytuacji AMW zażąda ode mnie zwrotu ulgi, jaką otrzymałem przy jego wykupie. Czy tak jest rzeczywiście?

→ Zasady sprzedaży lokali przez Agencję Mienia Wojskowego zostały uregulowane w ustawie z 10 lipca 2015 roku o Agencji Mienia Wojskowego. Z przedstawionego przez autora pytania stanu faktycznego wynika, że kupił mieszkanie od Agencji, korzystając z prawa do ulgi w wysokości 95%, i obecnie rozważa jego sprzedaż, a uzyskane środki zamierza przeznaczyć na zakup większego mieszkania.

Podstawę prawną do zastosowania ulgi w wysokości 95% stanowi art. 79 ust. 2 pkt 1 ustawy o AMW. Zgodnie z art. 79 ust. 5 wymienionej ustawy Agencja zażąda zwrotu kwoty równej udzielonemu pomniejszeniu (na podstawie ust. 2 pkt 1 lub 2), jeżeli nabywca lokalu mieszkalnego przed upływem pięciu lat od dnia jego kupna zbył ten lokal lub wykorzystał na cele inne niż mieszkalne.

Podsumowując, należy stwierdzić, że ustawa o Agencji Mienia Wojskowego nie zabrania osobie, która kupiła lokal od Agencji z ustawową ulgą, sprzedaży lokalu. Musi ona jednak liczyć się z tym, że jeżeli sprzeda go przed upływem pięciu lat od dnia jego nabycia, będzie zobowiązana do zwrotu kwoty ulgi równej 95%. Fakt, że uzyskane z tej sprzedaży środki zostaną przeznaczone na zakup większego mieszkania, nie będzie miał żadnego znaczenia. Ustawa nie przewiduje żadnych wyjątków od powyższego obowiązku. ■

Podstawa prawna:
ustawa z 10 lipca 2015 roku o Agencji Mienia Wojskowego (DzU z 2020 roku, poz. 231) – art. 79 ust. 5.

DOROTA GUDALEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki



Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

NOWE CZY STARE ZASADY EMERYTALNE?

Byłem w służbie zasadniczej od 26 stycznia 1996 roku do 21 kwietnia 1997 roku. Po jej zakończeniu wstąpiłem do służby nadterminowej (cztery lata, od 22 kwietnia 1997 roku do 21 kwietnia 2001 roku). Następnie, w związku z istniejącymi przepisami i niemożnością przedłużenia służby, zostałem z niej zwolniony. Potem przez 12 lat pracowałem w cywilu. Powróciłem do wojska na kontrakt starszego marynarza 7 maja 2013 roku i jako młodszy podoficer służę dziś w marynarce wojennej. W 2013 roku uznano, że mój początek służby to 22 lutego 2008 roku. Jakie zatem zasady emerytalne mnie dotyczą, skoro wcześniej byłem w służbie przez pięć lat?

➔ Zgodnie z art. 18a ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin **żołnierzowi powołanemu do zawodowej służby wojskowej lub służby kandydackiej po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku emerytura przysługuje w wysokości i na zasadach, które zostały określone w ustawie** (emerytura przysługuje żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, który w dniu zwolnienia posiada co najmniej 25 lat służby wojskowej w Wojsku Polskim – art. 18b ust. 1 wymienionej ustawy). W myśl art. 18a ust. 2 cytowanej ustawy przepisu ust. 1 nie stosuje się jednak do żołnierza: pełniącego służbę kandydacką 1 stycznia 2013 roku, w przypadku powołania do zawodowej służby wojskowej bezpośrednio po ukończeniu służby kandydackiej; powołanego do zawodowej służby wojskowej po 31 grudnia 2012 roku, jeżeli przed tym powołaniem pełnił służbę w Policji, Urzędzie Ochrony Państwa, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, Służbie Wywiadu Wojskowego, Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej

Straży Pożarnej lub Służbie Więziennej, do której został powołany przed 1 stycznia 2013 roku.

Definicja zawarta w art. 6 ust. 1 pkt 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych określa, że żołnierz zawodowy to żołnierz pełniący stałą albo kontraktową zawodową służbę wojskową. Służba zawodowa polega na wykonywaniu obowiązków na podstawie powołania. Autor pytania został powołany do zawodowej służby wojskowej po raz pierwszy dopiero po 31 grudnia 2012 roku. Wcześniej nie odbył też służby kandydackiej.

Należy dodać, że żołnierzami w czynnej służbie wojskowej do 2010 roku były osoby, które odbywały zasadniczą służbę wojskową, nadterminową zasadniczą służbę wojskową, przeszkolenie wojskowe, ćwiczenia wojskowe i okresową służbę wojskową lub pełnią służbę wojskową w razie ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny (art. 59 ustawy z dnia 21 listopada 1967 roku o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej). Przyjęcie do takiej służby było równoważne z zawarciem przez żołnierza kontraktu z armią, który zobowiązywał go do służby w czasie ustalonym umową. Zarówno zasadnicza służba wojskowa, jak i nadterminowa służba wojskowa uprawnia do nabycia prawa do emerytury na podstawie art. 12 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin. Okres tej służby wojskowej jest więc uwzględniany przy ustalaniu tzw. wysługi lat. Jednakże nadterminowa zasadnicza służba wojskowa i służba zasadnicza nie są służbą zawodową ani służbą kandydacką, nie zostały również uwzględnione w katalogu wyłączeń zawartym w art. 18a ust. 2 ustawy. Okres nadterminowej i zasadniczej służby wojskowej nie umożliwia zatem nabycia uprawnień emerytalnych na starych zasadach. ■

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne:
ustawa z 10 grudnia 1993 roku o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin (DzU z 2019 roku, poz. 289 ze zm.) – art. 12, 18a i 18b;
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2019 roku, poz. 330 ze zm.) – art. 6 ust. 1 pkt 1.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Opinia inaczej

MON zaproponowało zmiany w opiniowaniu żołnierzy rezerwy. Ma być ono prostsze i mniej czasochłonne.

Nie tylko żołnierze zawodowi podlegają od 2014 roku opiniowaniu służbowemu, lecz także rezerwiści: odbywający ćwiczenia wojskowe, pełniący okresową służbę wojskową (np. w czasie klęski żywiołowej), a także służący w narodowych siłach rezerwowych. Przełożeni oceniają m.in. poziom wyszkolenia danego żołnierza oraz to, jak wywiązuje się on ze swoich obowiązków.

Obecnie cały ten proces jest czasochłonny i zdaniem wielu dowódców nieadekwatny do rodzaju i czasu trwania tej służby. Dlatego MON zaproponowało zmiany w przepisach, które mają sprawić, że opiniowanie rezerwistów będzie szybsze i prostsze. Cały system ma być podobny do tego, który obowiązuje dziś żołnierzy zawodowych.

Po zmianach arkusz zostanie zunifikowany i zamiast sześciu stron, będzie liczył zaledwie dwie. Nie będzie w nim już danych dotyczących posiadanego przez żołnierza rezerwy wykształcenia, odbytych szkoleń i kursów oraz znajomości

języków obcych, a także przebiegu służby. Wszystkie te informacje nie wpływają bowiem na ocenę, a ponadto są dostępne w elektronicznym systemie ewidencji wojskowej.

Zamiast szczegółowych kryteriów, pojawi się skala punktowa, która posłuży do oceny m.in. odpowiedzialności, umiejętności współdziałania, komunikatywności oraz predyspozycji dowódczych.

W miejsce ocen za każdy przedmiot pojawiają się tylko trzy najważniejsze – za szkolenie ogólnowojskowe, specjalistyczne oraz WF. W nowym arkuszu została skrócona część opisowa opinii dotycząca predyspozycji i uzdolnień żołnierza rezerwy, jego przydatności oraz możliwości dalszego wykorzystania w ramach powszechnego obowiązku obrony. Nową, wpisywaną w tym miejscu informacją będzie z kolei ta dotycząca m.in. kwalifikacji i uprawnień, które żołnierz zdobył poza siłami zbrojnymi od czasu ostatniego powołania do czynnej służby wojskowej. PG/PZ

Sto procent za kwarantannę

Żołnierze, którzy przechodzą kwarantannę lub przebywają na zwolnieniu lekarskim w związku z COVID-19, mają prawo do pełnego wynagrodzenia.

Przed 1 kwietnia żołnierze przebywający w izolacji, na kwarantannie lub zwolnieniu lekarskim związanym z zakażeniem COVID-19 ponosili konsekwencje finansowe swojej nieobecności. Zgodnie bowiem z przepisami ich absencja w pracy traktowana była jako niezwiązana ze służbą, w związku z czym dostawali 80% wynagrodzenia.

Podczas prac rządu nad przepisami dotyczącymi działań osłonowych przedstawiciele resortu zwrócili uwagę, że pakietem takim powinni zostać objęci także żołnierze.

Odpowiednie przepisy pojawiły się ostatecznie w rządowej ustawie z 14 maja 2020 roku w zakresie działań osłonowych w związku z rozprze-

strzenianiem się wirusa SARS-CoV-2 (tzw. tarcza antykryzysowa 3.0). Zakłada ona, że w czasie stanu zagrożenia epidemicznego lub stanu epidemii żołnierzowi zawodowemu za okres nieobecności w służbie spowodowany przebywaniem na obowiązkowej kwarantannie, w izolacji lub na zwolnieniu lekarskim związanym z zakażeniem COVID-19, jeżeli nieobecność ta jest skutkiem wykonywania czynności służbowych, przysługuje prawo do 100% uposażenia wraz z dodatkami o charakterze stałym.

Aby zapobiec nadużywaniu tego uprawnienia, przepisy zakładają, że w przypadku żołnierza kierowanego na obowiązkową kwarantannę jej związek z wykonywanymi wcześniej zadaniami służbowymi musi potwierdzić w rozkazie przełożony żołnierz. PG/PZ

Krótsza droga do armii

Od 24 sierpnia 2020 roku będzie obowiązywał uproszczony system rekrutacji do wojska.

Zmiany obejmą głównie kwestie proceduralne. Wciąż pierwszym krokiem do wstąpienia do armii będzie złożenie wniosku w wojskowej komendzie uzupełnień. Można zrobić to jak dotąd, czyli w formie papierowej albo przez platformę ePUAP, ale pojawi się także trzecia możliwość – aplikowanie przez nowy resortowy portal rekrutacyjny.

Zostanie też skrócona sama rekrutacja ochotników. Dziś każdy etap – m.in. stawienie się w wojskowej komendzie uzupełnień oraz badania w wojskowych komisjach lekarskich – kandydaci przechodzą w różnych miejscach w kraju. W praktyce trwa to nawet 190 dni, po zmianach zajmie zaś nie więcej niż 50. Będzie to możliwe dzięki utworzeniu tzw. wojskowych centrów rekrutacyjnych, w których skład wejdą przedstawiciele wojskowych komend uzupełnień, wojewódzkich sztabów wojskowych, lekarze, psycholodzy oraz żołnierze z jednostek wojskowych. Nowe placówki przejmą zatem wszystkie czyn-

Powstaną tzw. wojskowe centra rekrutacyjne, w których skład wejdą przedstawiciele wojskowych komend uzupełnień, wojewódzkich sztabów wojskowych, lekarze, psycholodzy oraz żołnierze z jednostek wojskowych. Nowe placówki przejmą wszystkie czynności związane z naborem kandydatów.

ności związane z naborem kandydatów. W ciągu 24 godzin, nie licząc założenia ewidencji wojskowej, ochotnik zostanie tam poddany niezbędnym badaniom lekarskim i odbędzie rozmowę kwalifikacyjną. Jeśli przejdzie te etapy pozytywnie, będzie mógł dostać kartę powołania do służby przygotowawczej. Po jej zakończeniu i złożeniu przysięgi otrzyma stopień żołnierza rezerwy, a jeśli będzie chciał wstąpić do służby zawodowej, wojsko przedstawi mu listę wolnych etatów w jednostkach.

Za utworzenie nowego portalu informacyjnego jest odpowiedzialne Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni. Sztab Generalny Wojska Polskiego z kolei ma m.in. opracować zunifikowany model szkolenia podstawowego. Zgodnie z założeniami dla osób, które nigdy nie służyły w wojsku i nie składały przysięgi wojskowej, ma zostać ono skrócone z 90 do maksymalnie 30 dni. Będzie się jednak odbywać znacznie częściej niż teraz. PG/PZ

Ułatwienia dla kandydatów

Przygotowany w MON-ie projekt nowelizacji rozporządzenia w sprawie orzekania o zdolności ochotników do pełnienia czynnej służby wojskowej dotyczy m.in. osób chcących odbyć przeszkolenie wojskowe, służbę przygotowawczą lub wstąpić do terytorialnej służby wojskowej. Główne zmiany polegają na aktualizacji listy schorzeń, które dziś dyskwalifikują kandydatów do służby czynnej. Jak pokazuje praktyka orzecznicza, powodem odrzucenia są często niegroźne schorzenia, które, uwzględniając postępy w medycynie, nie miałyby wpływu na wykonywanie zadań służbowych w woj-

sku. Przepisy łagodzą więc niektóre kryteria orzecznicze. Chodzi o m.in. pewne schorzenia alergiczne oraz zwyrodnieniowe kręgosłupa, a także niedoczynność tarczycy. Szansę na służbę zyskają osoby z tzw. zespołem Gilberta. To choroba genetyczna, która – choć nie wymaga leczenia i nie zagraża zdrowiu – dziś dyskwalifikuje kandydatów. Możliwość ubiegania się o powołanie do służby czynnej zyskają też osoby po przebytych pourazowych zaburzeniach stresowych, których stan zdrowia się poprawił i rokuje na pełny powrót do normalnego funkcjonowania. Zmieniły się także kryteria

orzecznicze dotyczące wrodzonych wad serca, dotąd dyskwalifikujące ochotników. W projekcie znalazł się przepis pozwalający na orzeczenie kategorii A w stosunku do osób, które pomimo wady serca funkcjonują prawidłowo, bez powikłań i istotnych zaburzeń.

Propozycje przewidują wprowadzenie ułatwień w naborze kandydatów na terytorialsów. Żołnierze rezerwy i osoby po kwalifikacji wojskowej – z orzeczoną już wcześniej zdolnością do czynnej służby wojskowej – nie będą musiały po raz kolejny stawiać przed komisją lekarską.

Nowe przepisy mają sprawić, że służba wojskowa będzie bardziej powszechna, a szansę na włożenie munduru zyska więcej osób. Według szacunków, odsetek kandydatów dyskwalifikowanych na etapie badań w komisjach może spaść z 11% do 5%. PZ/PG

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje

Panu Robertowi Gierałowskiemu
z powodu śmierci

Taty

składa szef WAO Inspektoratu Uzbrojenia
wraz z pracownikami wydziału.

Panu płk. Mariuszowi Skulimowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia i otuchy
z powodu śmierci

Siostry

składają szef, żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

ppłk. Ignacego Międlarza,

zasłużonego pilota wojskowego, wspaniałego żołnierza
i szlachetnego, życzliwego ludziom Człowieka.

Łącząc się w ból i żalobie,

Pani Małgorzacie Międlarz

oraz Rodzinie i Najbliższym,

wyrazy szczerzego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej

Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu kmdr. Andrzejowi Świątłemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Taty

składają koledzy i koleżanki
z Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Wyrazy szczerzego żalu i współczucia
oraz słowa otuchy pograżonej w żalobie

Żonie, Rodzinie i Bliskim

kpt. Edmunda Semrau,

jednego z ostatnich żołnierzy

1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka,

zasłużonego uczestnika bitwy pod Falaise

i walk o Brede,

składają dowódca, żołnierze i pracownicy

resortu obrony narodowej

Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

ppłk. lek. Mariusza Dynka,

wspaniałego żołnierza i specjalisty, zasłużonego lekarza
wojskowej służby zdrowia, uczestnika misji pokojowych
poza granicami państwa.

Pani Krystynie Dynek oraz Najbliższym

wyrazy szczerzego współczucia oraz słowa wsparcia
i ukojenia w trudnych chwilach

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej

Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu gen. bryg. pil. Wojciechowi Pikule,
dowódcy 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego,
wyrazy głębokiego żalu oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Każdy człowiek, nawet najskromniejszy,
zostawia ślad po sobie, Jego życie
zahacza o przeszłość i sięga w przyszłość...”.
Św. Jan

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Pana ppłk. Mariusza Dynka,
żołnierza Zarządu Wojskowej Służby Zdrowia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Rodzinie i Bliskim
szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
składają inspektor rodzajów wojsk
gen. dyw. Sławomir Owczarek,
żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
Zarządu Wojskowej Służby Zdrowia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu gen. bryg. pil. Wojciechowi Pikule,
Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
oraz słowa wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy
składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Panu ppłk. Pawłowi Szymanowskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów.

Z ogromnym smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
mjr. Mariana Słowińskiego,
uczestnika kampanii wrześniowej 1939 roku,
walecznego i zasłużonego w działaniach wojennych
żołnierza 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka.

Pograżonej w smutku
Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje składają
dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu mjr. Michałowi Bąkowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teścia
składają szef oraz kadra Zespołu ds. Służby
w Międzynarodowych Strukturach Wojskowych.

„Śmierć jest spoczynkiem podróznego,
kresem mozołu wielkiego”.

Panu kmdr. Markowi Tuzińskiemu
oraz Jego Najbliższym
szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają koledzy i koleżanki
z Inspektoratu Marynarki Wojennej – DG RSZ.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
Panu mjr. Marcinowi Adachowi
z powodu śmierci
Ojca
składają koledzy
z Połączonego Centrum Operacyjnego
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem zawiadamiam,
że dnia 2 czerwca 2020 roku zmarł w Warszawie
śp.

mjr Marian Słowiński

urodzony 8 maja 1919 roku w Inowrocławiu.
Uczestnik Wojny Obronnej 1939 roku
w składzie 67 Pułku Piechoty w Brodnicy
i 167 Zapasowego Pułku Piechoty w Rzeszowie,
do kwietnia 1940 roku internowany w Érsekújvár
na Węgrzech. Po przedostaniu się na teren Francji
i wstąpieniu do Wojska Polskiego uczestniczył
w walkach z Niemcami w kampanii francuskiej.
Po wywakuowaniu do Wielkiej Brytanii służył
w 65 Batalionie Czołgów 1 Pułku Pancernego 1 Dywizji
Pancernej. Jako dowódca czołgu przeszedł cały szlak
bojowy 1 Dywizji Pancernej, od walk w Normandii
na linii Chambois – Falaise w Operacji Overlord,
poprzez wyzwolenie Belgii i Holandii,
po zdobycie bazy Kriegsmarine w Wilhelmshaven.
Po demobilizacji z wojska w maju 1947 roku
powrócił do Polski.
Był człowiekiem szczególnie zasłużonym
w upowszechnianiu wiedzy o czynie zbrojnym
1 Polskiej Dywizji Pancernej Generała Stanisława
Maczka.
Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu
Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu
Odrodzenia Polski, Francuskim Orderem Legii
Honorowej, Medalem Pro Bono Poloniae
oraz innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi.
Cześć Jego pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Z głębokim żalem zawiadamiam,
że dnia 5 czerwca 2020 roku zmarł w Londynie
śp.

płk Marian Tomaszewski

urodzony 13 lipca 1922 roku w Przemyślu.
W listopadzie 1939 roku po aresztowaniu przez NKWD,
następnie zesłany do Karagandy w Kazachstanie.
Po amnestii, w sierpniu 1941 roku w Buzuluk wstąpił
ochotniczo do Armii Polskiej formowanej w ZSRR.
W lipcu 1942 roku ukończył Szkołę Podchorążych Broni
Pancernej przy 6 Dywizji Piechoty w Shahrissabz
w Uzbekistanie. Jako dowódca czołgu w 6 Pułku
Pancernym „Dzieci Lwowskich”
w składzie 2 Warszawskiej Brygady Czołgów
przeszedł cały szlak bojowy 2 Korpusu Polskiego
w kampanii włoskiej. Uczestniczył w walkach
frontowych z Niemcami o Monte Cassino, Piedimonte
San Germano, Ankonę i Bolonię.
W kwietniu 1945 roku awansowany do stopnia
podporucznika.
Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii,
gdzie aktywnie włączył się w działalność
niepodległościową i kombatantką.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu
Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych, Krzyżem
Monte Cassino, Medalem Pro Bono Poloniae
oraz innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi.
Cześć Jego pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Panu st. sierż. Piotrowi Owczarkowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu mjr. Zbigniewowi Wasylowi,

dowódcy 21 Batalionu Logistycznego w Rzeszowie,
najszczersze kondolencje i wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
21 Brygady Strzelców Podhalańskich.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 849 213,
261 849 147, 261 849 262

**Panu ppłk. Rafałowi Zapertowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia, szczerą kondolencję
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
po śmierci ukochanej
Mamy
składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
Panu ppłk. Romanowi Kocińskiemu
z powodu śmierci
Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
7 Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku.

**Kapelanowi 3 Flotylli Okrętów
ks. kmdr. ppor. Arturowi Samselowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, kadra i pracownicy
3 Flotylli Okrętów.

Z ogromnym smutkiem i żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego kolegi i współpracownika
ppłk. rez. Marka Grucy.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
składają komendant, kadra i pracownicy
Centrum Wsparcia Systemów Dowodzenia
Dowództwa Generalnego RSZ.



kpt. Daniel Ambroziński
10 sierpnia 2009 roku
PKW Afganistan



kpr. Grzegorz Rusinek
19 sierpnia 2004 roku
PKW Irak

st. kpr. Marek Dziak
14 sierpnia 1994 roku
UNPROFOR b. Jugosławia

plut. Waldemar Sujdak
20 sierpnia 2008 roku
PKW Afganistan



Pamiętamy

plut. Jerzy Abram
14 sierpnia 2000 roku
KFOR Kosowo

kpr. Paweł Szwed
20 sierpnia 2008 roku
PKW Afganistan



st. chor. Łukasz Sroczyński
3 sierpnia 2013 roku
PKW Afganistan



por. Łukasz Kurowski
14 sierpnia 2007 roku
PKW Afganistan



kpr. Paweł Brodzikowski
20 sierpnia 2008 roku
PKW Afganistan



st. kpr. Dariusz Tyłenda
6 sierpnia 2010 roku
PKW Afganistan



sierz. Szymon Sitarczuk
18 sierpnia 2011 roku
PKW Afganistan



kpr. Krystian Andrzejczak
21 sierpnia 2004 roku
PKW Irak

sierz. Wiktor Lenczewski
8 sierpnia 1992 roku
UNDOF Syria

kpr. Sylwester Kutrzyk
19 sierpnia 2004 roku
PKW Irak

st. chor. sztab. Mirosław Łucki
24 sierpnia 2013 roku
PKW Afganistan



POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl



DARMOWA PRZESYŁKA

